

JAYNE ANN KRENTZ

**Przygoda
na Karaibach**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Trochę późno kawaleria przybywa z odsieczą.
- Zmasakrowany mężczyzna o jasnoszarych, niemal srebrnych oczach, ściskający w ręku hebanową laskę, rozciągnął wargi w ponurej parodii uśmiechu, po czym opierając się barkami o murowaną ścianę, osunął się na kolana. - Ale cóż, lepiej późno niż wcale.

Krzywiąc się z bólu, zamknął oczy. Widać było, że potwornie cierpi, mimo to nie wypuszczał z ręki laski.

Tabitha Graham, która zaledwie parę sekund temu skręciła w brudną wąską alejkę wyłożoną kocimi łbami, stała bez ruchu, z przerażeniem wpatrując się w zakrwawionego, skatowanego człowieka. Rozpoznawszy go, cisnęła na bruk torby z zakupami i nie

myśląc o fortunie, którą wydała na różne pamiątki, podbiegła do rannego.

- O Boże! Co się stało? - Przykucnąwszy obok mężczyzny, nerwowo usiłowała sobie przypomnieć zasady pierwszej pomocy.

Beżowe spodnie, koszulę, a także twarz miał umazane krwią, ale nie widać było żadnej głębokiej rany, która by obficie krwawiła. Tabitha wstrzymała oddech i próbowała wziąć się w garść. Musi pomóc temu biedakowi.

Dobrze, spokojnie... Zastanów się, co masz zrobić. Tyle czasu minęło, odkąd zdała egzamin z pierwszej pomocy! Wsunąwszy ręce, zaczęła delikatnie obmacywać rannego. Najpierw ramiona, potem klatka piersiowa, brzuch. Kiedy dotknęła żeber, mężczyzna wciągnął z sykiem powietrze.

- Uwierzy mi pani, jeśli powiem, że zderzyłem się z murem? - mruknął, nie otwierając oczu.

- Uwierzę, że ktoś panu pomógł zderzyć się z murem - odparła, kończąc powierzchowną inspekcję.

- Niech się pan na moment położy. Na szczęście nie stracił pan zbyt wiele krwi. Chyba ma pan pęknięte żebro, ale nie widzę żadnych złamań. Nie kręci się panu w głowie? Nie zemdleje pan?

- To baby mdleją! Faceci tracą przytomność.

- Osunął się niżej, szorując plecami o mur.

- Dobrze. - Przytrzymała go, by nie runął bezwładnie na ziemię. - A więc jest pan bliski utraty przytomności?

- Tak.

- Proszę się położyć. - Pomogła mu wyciągnąć się na boku. - Zostawię pana i spróbuję wezwać pomoc.

- Nie!

Otworzył oczy. Zobaczyła w nich stanowczy sprzeciw.

- Statek odpływa za jakieś pół godziny, prawda?

- Tak. Ale wydaje mi się, że...

- Nie chcę ryzykować, że odpłynie beze mnie.

Poza tym na pokładzie jest lekarz, a diabli wiedzą, jakie szpitale mają na wyspie.

Tabitha przygryzła wargę.

- Nie wiem, czy to...

Zamknął ponownie oczy. Zmieniając nieco pozycję, jęknął z bólu.

- Pani też płynie tym statkiem, prawda?

- Tak.

- No właśnie, widziałem panią na pokładzie. -- Zamilkł. - Błagam, niech mnie pani dowiezie na nabrzeże.

Zmarszczyła z namysłem czoło. Nie dziwiła się mężczyźnie. Też nie chciałyby utknąć na małej karaibskiej wyspie, do której dziś po południu przybił wielki luksusowy statek pasażerski. Podobnie jak ranny mężczyzna, wołałyby się oddać w ręce amerykańskich lekarzy na statku, niż trafić do jakiegoś miejscowego, pewnie nie najlepiej wyposażonego szpitalika.

- W porządku, proszę się nie martwić. Spróbuję złapać taksówkę. Zaraz wrócę...

Mężczyzna nie odpowiedział; był zbyt słaby, by cokolwiek mówić. Omiótłszy wzrokiem zwiniętą

z bólu postać, Tabitha poderwała się z klęczek i rzuciła pędem do wylotu alejki. O mało nie potknęła się o leżącą na ziemi torbę z plecionym koszykiem i rzeźbą przedstawiającą pięknego drewnianego smoka.

Wybiegłszy na ulicę, zatrzymała pierwszy samochód, jaki pojawił się w polu widzenia. Nie była to taksówka, ale nie miało to znaczenia. Jak się przekonała po zejściu na ląd, ilekroć do portu przybijał statek, wszystkie samochody na wyspie zamieniały się w taksówki. Na widok turystki z uniesioną ręką kierowca zahamował z piskiem opon i wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Taksi, proszę pani?

- Tak, ale nie jestem sama. Tu w alejce leży ranny człowiek. Byłabym wdzięczna, gdyby pomógł mi pan doprowadzić go do samochodu. Oczywiście zapłacę podwójnie - dodała szybko.

- Nie ma sprawy. - Uśmiechając się jeszcze szerzej, kierowca wysiadł ze swego poobijanego auta. - St. Regis to przyjazna wyspa. Mieszkają tu dobrzy ludzie.

Tabitha wróciła pośpiesznie do rannego. Leżał bez ruchu. Oczy miał zamknięte, czoło zlane potem, rękę wciąż mocno zaciśniętą na lasce.

Kierowca taksówki przeciągle gwizdnął.

- Oj, nieładnie. Bardzo nieładnie. Jedziemy do szpitala, tak?

- Nie, wracamy na statek - oznajmiła Tabitha.
- Proszę mi pomóc go podnieść.

Kierowca wzruszył ramionami i podszedł bliżej.

Wspólnymi siłami podnieśli z ziemi rannego, który zaciskał z bólu zęby.

Z pomocą kierowcy Tabitha umieściła swojego współpasażera na tylnym siedzeniu. Sama okrążyła samochód i wsiadła z drugiej strony. Instynktownie otoczyła rannego ramieniem; chciała przytrzymać go podczas jazdy, a jednocześnie dodać mu otuchy. Zdławiwszy bolesny jęk, mężczyzna oparł się o nią. Tabitha popatrzyła na jego potargane czarne włosy, posiniaczoną twarz, długie ciemne rzęsy ocieniające umazane krwią policzki.

- Mam dobre lekarstwo — rzekł kierowca. Schyliwszy się, wyciągnął spod siedzenia niedużą flaszkę rumu. - Pani mu da trochę. Na pewno pomoże.

Tabitha popatrzyła niepewnie na to „lekarstwo”.

- Nie jestem przekonana, czy w takim stanie powinien pić alkohol.

Mężczyzna otworzył oczy.

- Powinien- mruknął, próbując sięgnąć po butelkę.

Tabitha zdecydowanym ruchem odepchnęła jego rękę, odkręciła nakrętkę, po czym starannie przetarła szyjkę.

- No dobrze, jeden łyk - zgodziła się, przysuwając mu butelkę do ust. Wymagało to dużej ekwilibrystyki, zważywszy, w jaki sposób kierowca prowadził wóz.

Kramarze ustawieni po obu stronach głównej ulicy nie zwracali uwagi na pędzące auto - byli przyzwyczajeni do takiej jazdy. Statek pasażerski odpływał za niecałe pół godziny; wszyscy chcieli dobić

targu, tym bardziej że po wyspie kręciło się coraz mniej turystów. Większość wróciła już do portu.

Ranny pociągnął z butelki łyk rumu. Gdy po chwili usiłował ponownie podnieść butelkę do ust, Tabitha zaprotestowała.

- Chyba starczy, nie powinien pan więcej...

Wbił w nią swoje srebrzyste oczy.

- Proszę - szepnął. - Tak strasznie mnie wszystko boli.

Wiedząc, że nie może mu zaoferować nic innego na uśmierzanie bólu, Tabitha ustąpiła. Mężczyzna przytknął butelkę do ust, pociągnął łapczywie parę łyków, po czym nagle osunął się na jej kolana.

- O Boże! - szepnęła wystraszona. - Panie kierowco, szybciej. Niech się pan pospieszy!

Wpatrywała się z przerażeniem w rannego. Z drobnych ran na twarzy sączyła się krew, która wsiąkała w jej białe spodnie, barwiąc je na czerwono. Zaciśnęła rękę na nadgarstku mężczyzny, usiłując sprawdzić jego tętno. Odetchnęła z ulgą: było miarowe, dość silnie wyczuwalne. Nieco spokojniejsza, powiodła wzrokiem po bezwładnej postaci.

W ciągu tych trzech dni, odkąd statek wypłynął w morze, kilkakrotnie mijała wysokiego bruneta o dziwnych, jakby srebrzystych oczach, lecz ani razu z nim nie rozmawiała. Nie wiedziała, kim jest. Zawsze miał przy sobie hebanową laskę, zarówno na pokładzie słonecznym, jak i w sali restauracyjnej. Nawet teraz, gdy leżał nieprzytomny, wciąż zaciskał na niej dłoń.

Nosił ją nie dla szpanu, lecz z konieczności - wyraźnie kulał.

Ależ on jest ciężki, pomyślała, czując, jak jej nogi drętwieją. Nic dziwnego; był barczysty, dobrze zbudowany, bez grama zbędnego tłuszczu. Przypominał duże, doskonale umięśnione zwierzę. Miał gęste kręcone włosy w kolorze kawy, krótko przycięte, jakby w celu ujarznienia ich. Teraz - po bójce, którą stoczył w wąskiej alejce - były potargane, ale nieład na głowie wcale go nie odmładzał. Na statku, obserwując go z odległości, Tabitha dawała mężczyźnie mniej więcej czterdzieści lat. Patrząc na niego z bliska, nie zmieniła zdania.

Głębokie bruzdy przecinające twarz wskazywały na to, że mógł nawet przekroczyć czterdziestkę. Przyjrzała mu się uważnie. Prosty, dość wydatny nos, mocno zarysowana szczęka, wysokie kości policzkowe. Była to twarz człowieka dojrzałego, który niejedno w życiu widział. Twarz, z której emanowała siła. Tabitha westchnęła. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego mężczyzna utyka na lewą nogę. Może miał wypadek...

Ciekawa też była, co się wydarzyło w tej alejce. Czy zaatakowała go banda młodocianych wyrostków, którzy czyhali w ukryciu na turystę? Akurat ten konkretny turysta, kulejący, z laską, mógł im się wydawać wyjątkowo łatwym celem.

Obmacawszy kieszeń mężczyzny, Tabitha wyciągnęła z niej stary skórzany portfel. W środku znajdowało się prawo jazdy wydane w Teksasie na

nazwisko Devlin Colter. Na szczęście napastnicy nie ukradli pieniędzy i dokumentów.

Devlin Colter. Przynajmniej teraz zna tożsamość rannego. Kiedy taksówka z piskiem opon zatrzymała się na nabrzeżu, Tabitha, czując lekkie wyrzuty sumienia, pospiesznie wsunęła portfel na miejsce. Devlin Colter drgnął niespokojnie, chyba bardziej reagując na nagły bezruch niż na to, że ktoś mu grzebie po kieszeniach.

- Dojechaliśmy - szepnęła, delikatnie gładząc go po ramieniu. - Poproszę, żeby przyniesiono nosze.

- Nie rób tego! Proszę! - wycharczał, nieświadomie zwracając się do niej per ty. - Sytuacja jest dostatecznie krępująca. Po prostu pomóż mi wysiąść...

- Dobrze, ale wydaje mi się...

Sprawił wrażenie, jakby było mu najzupełniej obojętne, co jej się wydaje. Całą uwagę miał skoncentrowaną na tym, by z pozycji leżącej przejść do pozycji siedzącej. Wysiłkowi towarzyszyły siarczyste przekleństwa. Po chwili kierowca wyskoczył z taksówki, żeby pomóc swoim pasażerom. Spostrzegłszy Tabithę i wspartego o nią rannego, trzech stojących przy trapie marynarzy również rzuciło się na pomoc.

- Emerson, wezwij lekarza - polecił najstarszy, zajmując miejsce Tabithy przy boku Devlina Coltera. - I zawiadom kapitana. Jeden z pasażerów jest ciężko ranny. - Zmrużywszy oczy, popatrzył na kobietę. - Wypadek samochodowy?

- Nie sędzę. Natknęłam się na niego przypadkiem,

leżał w alejce odchodzącej od placu targowego. Podejrzewam, że został pobity przez miejscowych chuli-ganów.

- Hm, kto wie. Nigdy dotąd nie mieliśmy żadnych kłopotów na St. Regis. - Marynarz pokiwał smutno głową. Razem ze swoim młodszym kolegą ostrożnie prowadził rannego w stronę trapu. - Niech pani weźmie jego łaskę, tylko nam przeszkadza.

- Nie - warknął przez zęby raimy. - Nie oddam.

Widząc, jak bardzo mężczyzna boi się rozstać z przedmiotem, który dawał mu poczucie bezpieczeństwa podczas chodzenia, Tabicie zrobiło się go żal. Przymuszczałnie dla Coltera łaska stanowi przedłużenie jego samego; bez niej czułby się jak kaleka.

- Będę jej dobrze pilnować - obiecała łagodnie.
- Panowie mają rację, na razie tylko przeszkadza.

Przez chwilę sądziła, że mężczyzna nie wypuści swego skarbu z ręki. Podtrzymywany przez dwóch rosłych marynarzy popatrzył na Tabithę spod przy-mkniętych powiek. Przymuszczałnie jednak doszedł do wniosku, że jest na straconej pozycji.

- W porządku - mruknął. - Ale zostań przy mnie. Obiecuję, że nie odejdziesz.

Była wzruszona jego niemal błagalnym tonem.

- Dobrze - przyrzekła. - Zostanę tak długo, jak będziesz chciał.

Srebrzyste oczy świdrowały ją przez kilka długich sekund. Wreszcie mężczyzna skinął głową, najwyraźniej usatysfakcjonowany odpowiedzią, a chwilę po

tym -jakby decyzja o powierzeniu jej laski pozbawiła go resztek energii - zemdłał.

Nie, nie zemdłał, poprawiła się w myślach Tabitha, drepcząc za marynarzami, którzy nieśli bezwładne ciało, tylko stracił przytomność. Z całej siły ścisnęła hebanową laskę.

Dwie godziny później, wciąż z ręką zaciśniętą na lasce, siedziała na brzegu łóżka w małym, lecz doskonale wyposażonym szpitalu pokładowym. Podczas gdy lekarz opatrywał mu rany, Devlin Colter na zmianę to tracił, to odzyskiwał świadomość. Za każdym razem gdy otwierał oczy, szukał wzrokiem Tabithy. Jej widok działał na niego uspokajająco. Jakieś pół godziny temu - dzięki środkom uśmierzającym ból - zapadł w głęboki sen. Jego ciało pokrywały plastry, gdzieś tam bandaże, a twarz - sińce. Żebra na szczęście miał tylko potłuczone, a nie złamane, chociaż lekarz uprzedzał, że przez kilka dni będą porządnie dawały mu się we znaki. W każdym razie, zważywszy na to, co się stało, można powiedzieć, że Devlin Colter wyszedł ze swej przygody obronną ręką.

Siedząc na łóżku, Tabitha zastanawiała się, dlaczego jej obecność działa na Devlina tak kojąco. Nie miał żadnych halucynacji, więc na pewno z nikim jej nie myli. Tym bardziej że ona nie należała do kobiet, które zapadają w pamięć. Przeciwnie, raczej ludzie jej nie zauważali. Osoby ciche, skromne i nieśmiałe zazwyczaj nie rzucają się w oczy. Czasem bywa to zbawienne, niekiedy frustrujące.

Kobieta nieśmiała, lecz o olśniewającej urodzie, pewnie nie spędzałyby życia, obserwując innych. Szybko znalazłoby się wielu mężczyzn, którzy uznaliby, że tak delikatną, wrażliwą i piękną istotę trzeba otoczyć troskliwą opieką.

Ale w wieku dwudziestu dziewięciu lat Tabitha Graham miała pełną świadomość tego, że nie poraża urodą. Uważała się za dość przeciętną. Włosy miała ciemnoblonde, ucięte tuż nad ramionami, twarz owalną, o regularnych rysach, usta pełne, nos nieco zadarty. Ktoś kiedyś powiedział, że wygląda jak zdrowa dziewczyna.

Może jedynie jej oczy przykuwały uwagę. Lekko ukośne, kocie. Zdradzały inteligencję oraz poczucie humoru. Ruchy też miała kocie; wiele osób jej to mówiło.

Jeśli chodzi o resztę, to określenie hoża dziewczyna jak najbardziej do niej pasowało. Niestety. Miała wyraźnie zaznaczone biodra i biust, których ani za pomocą diety, ani za pomocą ćwiczeń nie była w stanie zredukować. Diety, o czym przekonała się już dawno temu, przynosiły jeden wymierny skutek: pozwalały nie przybierać na wadze. Jednakże nieograniczone ilości jedzenia serwowane na luksusowym statku nie ułatwiały walki z nadwagą. Przeciwnie, zdecydowanie ją utrudniały. Trzy dni temu, kiedy statek wyruszał z portu, Tabitha uznała, że trudno, na czas rejsu zawiesza dietę. Skoro wybiera się na zasłużony odpoczynek, to nie powinna się katować.

Wcześniej, z myślą o karaibskim rejsie, kupiła luźne bawełniane ubrania, które nie przypominałyby jej

stale o potrzebie liczenia kalorii. Między innymi białe, wiązane sznurkiem w talii spodnie, które teraz były poplamione krwią. Oprócz tych spodni miała na sobie prostą białą górę z dekoltem w karo oraz srebrny wisiołek w kształcie gryfa. Groźnie wyglądające stworzenie - skrzydlaty lew z głową orła - pochodził prosto ze stron średniowiecznego bestiarius. Obracając w palcach gryfa, nagle przypomniała sobie małą drewnianą rzeźbę przedstawiającą smoka, którą porzuciła u wylotu wąskiej alejki.

Smok nie był jedyną pamiątką, którą zostawiła na ulicy, ale akurat tej najbardziej żałowała. Było to wyjątkowo urodzive smoczysko o smukłym łbie i długich pazurach. No trudno, pomyślała, spoglądając na Coltera; jednego potwora zgubiła, drugiego - większego i chyba bardziej interesującego - znalazła. Uśmiechając się pod nosem, zauważyła, że mężczyzna otwiera oczy.

- Nie martw się, wciąż ją mam - zapewniła go, pokazując mu laskę.

Przeniósł spojrzenie z jej twarzy na rękę i z ręki znów na twarz.

- Dziękuję - rzekł z powagą. - Za wszystko. Jestem twoim dłużnikiem.

Potrząsnęła głową.

- Bez przesady. Każdy na moim miejscu postąpiłby tak samo. Po prostu byłam pierwszą osobą, która cię mijała po tym, jak zostałeś napadnięty. Aha... kapitan chce z tobą porozmawiać. Podejrzewam, że

chce się dowiedzieć, co się stało. Właściciele statku pewnie nie lubią, jak tubylcy biją pasażerów. - Na moment zamilkła. - Swoją drogą, ktokolwiek to był, nie zabrał ci portfela.

Przez dłuższą chwilę Devlin wpatrywał się w nią bez słowa. Widać było, że z trudem trzyma oczy otwarte; środki nasenne zapewne nie przestały jeszcze działać.

- Szczęście w nieszczęściu - mruknął z nutą ironii w głosie. - Kim jesteś, moja wybawicielko?

- Nazywam się Tabitha Graham. Pochodzę z Waszyngtonu.

- Ze stanu czy z miasta?

- Ze stanu. - Skrzywiła się. - Nie wiem dlaczego, ale jak się mówi, że jest się z Waszyngtonu, wszyscy zakładają, że chodzi o stolicę.

Pokiwał głową i zacisnął z bólu zęby.

- Bardziej wyglądasz na mieszkankę stanu niż miasta. - Na moment zamknął oczy i wziął kilka głębokich oddechów.

- Tak? A dlaczego?

- Bo ja wiem? - Zamyślił się. - Spędziłem w stolicy parę lat. Ludzie, którzy tam mieszkają, są bardziej przebojowi, bezwzględni i... - Urwał, szukając właściwego słowa.

- Wyrafinowani? Światowi?

- Chyba tak - zgodził się. - A ty sprawiasz wrażenie miłej...

- ...i sympatycznej dziewczyny z sąsiedztwa?

- No właśnie.

Był wyraźnie zmęczony; tracił zainteresowanie jej osobą. Nie dziwiło to Tabithy. Przywykła do tego, że mężczyźni szybko tracą nią zainteresowanie. Sądziła, że Devlin już zasnął, kiedy nagle uniósł powieki.

- A czym się zajmujesz w stanie Waszyngton?

- Prowadzę małą księgarnię w małym staroświeckim miasteczku leżącym nad zatoką Pugeta. To takie miłe, sympatyczne zajęcie, prawda? W sam raz dla dziewczyny z sąsiedztwa - oznajmiła pogodnym tonem. - A ty?

Przez dłuższy czas milczał. Zastanawiała się, czy rozmyśla nad jej słowami, czy jednak tym razem zasnął.

- Mam równie miłe i sympatyczne zajęcie - rzekł w końcu. - Jestem właścicielem niedużego biura podróży.

- I co? Pewnie od razu po powrocie skreślisz St. Regis z listy polecanych turystom miejsc wypoczynkowych?

- Nie przeczę, że pokusa jest silna.

- Powiedz, Devlin, co się wydarzyło w tej alejce?

- Dev, nie Devlin, dobrze? Co się wydarzyło? Zostałem napadnięty przez dwóch młodych bandziorów, którzy chcieli podwoić swój roczny dochód.

- Ale im się nie udało - stwierdziła z satysfakcją.
- Nie zabrali ci pieniędzy.

- W pewnym sensie jest to pocieszające - mruknął.

- Prawdę mówiąc, wolałbym, żeby zwyczajnie w świecie poprosili o moją książeczkę czekową,

zamiast brutalnie starać się mi ją odebrać. - Westchnął. - Powiedz kapitanowi, że nie śpię.

Wstała z łóżka, po czym z zatroskaną miną pochyliła się nad rannym.

- Na pewno czujesz się na siłach?

- Żeby z nim rozmawiać? - Popatrzył w jej skupione oczy. - Na pewno. Pilnuj mojej laski, dobrze?

- Nie zgubię jej - zapewniła go z uśmiechem.

- Coś ci podać, przynieść?

- Buteleczka whisky byłaby mile widziana.

- Chyba nie powinienesz pić alkoholu, zwłaszcza po tych wszystkich środkach przeciwbólowych, którymi cię nafaszerowano.

- Whisky lepiej uśmierza ból niż tabletki. Proszę...

- Przymilnym uśmiechem próbował wpłynąć na jej decyzję.

- Nic z tego. Lekarz na pewno by nie pochwałał takich metod. - Wyprostowała się. - Odpocznij sobie, a ja zawiadomię pielęgniarkę, że się obudziłeś. Ona wezwie kapitana.

Poklepała go lekko po przykrytej prześcieradłem ręce, po czym ruszyła ku drzwiom.

- Tabi! - zawołał z nutą niepokoju w głosie.

- Tabi? - powtórzyła, marszcząc ze zdziwieniem brwi.

- Przepraszam. Masz coś niesamowicie kociego w ruchach i w oczach, a ja przez wiele lat mieszkałem pod jednym dachem z cudowną kotką buraską o imieniu Tabi. - Uśmiechnął się speszony.

- Ze słodką buraską, tak? No dobrze, o co chodzi, Dev?

- Chciałem ci tylko przypomnieć o lasce.

- Nie bój się, nigdzie jej nie zapodzieję.

Ściskając ją mocno w rękę, wyszła z pokoju. Biedny człowiek, pomyślała; przypuszczalnie bez laski czuje się bardzo niepewnie. Mężczyźni na ogół są aroganccy i zadufani. Pierwszy raz spotkała mężczyznę wrażliwego, bezbronnego i skromnego.

Zawiadomiwszy pielęgniarkę, że pacjent się obudził, udała się do swojej kabiny. Godzinę później, szykując się do kolacji, wciąż dumiała nad Devlinem. Luźna żółta sukienka, którą wydobyła z szafy, była wygodna i całkiem atrakcyjna. Idealnie nadawała się na wieczór. Tabitha przyjrzała się sobie w lustrze. Świetnie: tak ubrana nie rzuca się w oczy.

Przeciagnawszy szczotkę po włosach, zawahała się. Po chwili zdjęła z szyi srebrny wisiołek, a zamiast niego włożyła szeroką mosiężną bransoletę z wygrawerowanym jednorożcem. Zadowolona z siebie, chwyciła z łóżka torebkę i skierowała się ku drzwiom. Trzymała już rękę na klamce, kiedy zadzwonił stojący na szafce nocnej telefon. Któż to może być? Nie znała nikogo na statku. Pewnie ktoś wykręcił niewłaściwy numer. Wzdychając niecierpliwie, sięgnęła po słuchawkę.

- Tabi?

Zaskoczona uniosła brwi, bowiem rozpoznała ten niski, ochryply głos.

- Wszystko w porządku, Dev - powiedziała, uśmiechając się pod nosem. - Nie zgubiłam laski.

- To miło, ale nie dlatego dzwonię. Chciałem cię prosić, żebyś przyniosła mi talerz zupy. Mogłabyś?

- Ojej! Pielęgniarka nie zamówiła ci kolacji?

- Już nie jestem w szpitalu. Jestem u siebie w kabinie. Nie mogłem wytrzymać tej szpitalnej bieli.

- Czy nie powinienesz spędzić chociaż jednej nocy pod okiem wykwalifikowanego personelu? Minie sporo czasu, zanim odzyskasz siły.

- Równie dobrze odzyskam je w kabinie. Jeśli dostanę coś do jedzenia. To co? Poprosisz kelnera, żeby dał ci dla mnie trochę zupy?

- Jasne. - Zastanawiała się, dlaczego Devlin nie zadzwonił po stewarda. Hm, może nie chciał mu tłumaczyć, że został pobity na lądzie i ledwo może się ruszać. Sądząc po głosie, wciąż był bardzo osłabiony.

- Na pewno coś skombinuję. Gdzie mieszkasz?

Podał jej numer kabiny, po czym się rozłączył. Tabitha odłożyła słuchawkę na widełki. Najwyraźniej, tak jak ona, podróżował sam. I podobnie jak ona, nie zaprzyjaźnił się tu z nikim. Może rozmawiał z paroma osobami, ale nie czuł się z nimi na tyle zaprzyjaźniony, by prosić ich o pomoc. Poczwała do niego instynktowną sympatię. Sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie człowieka, który nie lubi się narzucać. I który nie potrafi się włączyć w życie towarzyskie, jakie kwitnie na statkach pasażerskich.

Po prostu by! kimś, z kim mogła się zidentyfikować.

W restauracji wytłumaczyła szefowi sali, co się stało, i zamówiła do kabiny Devlina kolację dla dwóch osób. Pół godziny później, z triumfalnym uśmiechem na twarzy, zastukała do jego drzwi. Towarzyszył jej steward, który pchał wózek z jedzeniem.

Zamroczony głos odpowiedział:

- Proszę wejść!

Już w drzwiach zorientowała się, że Devlin wygląda równie kiepsko jak w sali szpitalnej. Leżał w łóżku, a jego obnażony tors pokrywały szersze i węższe bandaże. Tabitha przystanęła z cenną laską w dłoni, przyglądając mu się z z troskaniem.

- Może jednak byłoby lepiej, żebyś spędził noc w szpitalu?

- Nie! - burknął. - Nic mi nie jest. - Z zaciekawieniem powiódł po niej wzrokiem. - Po prostu sińce nabrały koloru, to wszystko. Jutro będą wyglądać jeszcze gorzej.

- Mówisz jak prawdziwy ekspert - zauważyła kwaśno. Odłożywszy na bok laskę, dała znak stewardowi, żeby wniósł zamówione przez nią dania.

Devlin przeniósł spojrzenie z Tabithy na ogromną tacę z jedzeniem, którą steward postawił na stoliku przy łóżku.

- Rany boskie, prosiłem tylko o zupę, a tu widzę kilkudaniowy posiłek.

- Dla ciebie jest zupa z owoców morza, reszta jest dla mnie - wyjaśniła z uśmiechem, wręczając stewardowi napiwek.

- Naprawdę? - ucieszył się Devlin. - To miło z twojej strony. Trochę zaczęła mi doskwierać samotność.
- Tak podejrzewałam. Dasz radę usiąść?
- Z pomocą...
- No tak, oczywiście.

Podeszła do łóżka i wsunęła ręce pod pachy Deva. Dotyk ciepłej gładkiej skóry podziałał na nią elektryzująco. Krzywiąc się z bólu, usiłował podciągnąć się wyżej, tak by oprzeć się plecami o wezgłowie. Kiedy wreszcie opadł na stos poduszek, Tabitha odskoczyła pospiesznie, niemal strącając tacę na podłogę.

- Ostrożnie - powiedział lekkim tonem. - O mało nie wylałaś mojej zupki.
- Przepraszam.

Odwróciła się, by nie dostrzegł wyrazu zmieszania i podniecenia w jej oczach. Kiedy postawiła przed nim talerz z zupą i podała mu kawałek chleba, była już w pełni opanowana. Jej dotyk w najmniejszym stopniu nie poruszył Devlina. Czego się spodziewałaś? - zganiła się w myślach. Facet jest półżywy, zamroczony lekami. Pewnie nawet nie zdaje sobie sprawy z własnej nagości. Zresztą nawet gdyby nie był zamroczony, twój dotyk wcale nie musiałby go przyprawić o dreszcz. Przecież zdrowych mężczyzn też nie podnieca twoja bliskość!

- O jak dobrze! - zawołał, przerywając jej rozmyślenia. - Przyniosłaś wino.
- Dla siebie - odparła ze śmiechem, ustawiając talerze. - Uznałam, że idealnie pasuje do pasztetu z homara i fettuccini.

Uniosła pokrywkę z ostatniego talerza, odsłaniając świeżą sałatkę ze szpinaku, i nagle dostrzegła oburzoną minę Devlina.

- Mam patrzeć, jak jesz te pyszności i jeszcze popijasz je winkiem?

- Chciałeś samą zupę - przypomniała mu. Do stolika z jedzeniem przysunęła krzesło.

- Zmieniłem zdanie - odrzekł, obserwując, jak Tabitha nalewa wino do kieliszka.

- Spodziewałam się tego. - Pokiwała z zadowoleniem głową. - Dlatego zamówiłam podwójne fettuccini i poprosiłam o dwa kieliszki. - Wydobywszy drugi kieliszek zza srebrnej wazy, uśmiechnęła się promiennie. - Rozmawiałam z lekarzem. Powiedział, że działanie środków odurzających już minęło i kieliszek wina nie powinien ci zaszkodzić.

- Uff! - Devlin odetchnął z ulgą. - Przeraziłem się, że pod tą sympatyczną buzią ukrywa się wiedźma o sadystycznych skłonnościach.

Tabitha roześmiała się wesoło, po czym wręczyła Devlinowi grzanekę posmarowaną pasztetem z homara.

- Za bardzo lubię dobre jedzenie, aby go komukolwiek odmawiać. Ale wiesz, gdybym chciała się nad tobą poznać, to niewiele mógłbyś zdziałać.

- To prawda - przyznał. - Dziś bym muchy nie pokonał. Chryste, wszystko mnie boli! Nawet palce u nogi. No nie... - Skrzywił się zniesmaczony. - Zobacz, ręka mi drży. Co za cholerny świat!

- To reakcja organizmu na szok. Pomogę ci.

- Kiedy zamawiałem kolację, nie przypuszczałem, że będę wymagał karmienia - mruknął.

Z apetytem opróżnił talerz. Dzięki zupie nabrał sił i fettuccini był już w stanie jeść samodzielnie.

Przyglądając się, jak Devlin pochłania kolację, Tabitha pogratulowała sobie w duchu. Gdyby nie poprosiła szefa sali o pełną kolację, jej pacjent obyłby się zupą. A to stanowczo za mało dla takiego wysokiego mężczyzny. Zaskoczona instynktem opiekuńczym, jaki się w niej obudził - nigdy nie uważała się za samarytanę - wspaniałomyślnie oddała Devlinowi ostatnie pół kieliszka beaujolais.

- Rany, jakie to było pyszne. - Wzdychając błogo, oparł się o poduszki, podczas gdy Tabitha zabrała mu kieliszek. - Nawet nie sądziłem, że jestem aż tak głodny. A to wino... hm, działa o niebo lepiej niż te wszystkie leki, które mi zaaplikowano.

- Wyglądasz na zmęczonego - powiedziała, odstawiając naczynia na tacę. - Powinieneś odpocząć.

- Wiem. Ale miło z kimś pogadać. Możesz zostać chwilę dłużej?

Devlin miał niemal błagalną minę. On naprawdę chce, żebym została, pomyślała. Może po brutalnej napaści nawet silny mężczyzna wzdraga się na myśl o spędzeniu samotnie nocy?

- Oczywiście, jeśli ci na tym zależy - odparła cicho. - Może masz ochotę pograć w karty?

- Nie. - Potrząsnął przecząco głową. - Po prostu pogadajmy, dobrze? Na pewno szybko zasnę.

Zrozumiała. Chodzi mu o to, by posiedziała z nim, dopóki nie zmorzy go sen. Przynajmniej krzesło bliżej łóżka, instynktownie przyłożyła rękę do czoła mężczyzny.

- Jak głowa?

- Boli jak diabli. Zresztą wszystko mnie boli - przyznał. Obrócił się lekko, tak by jego czoło mocniej przylegało do jej dłoni. - Masz taki cudownie chłodny dotyk.

- Może wilgotna ściereczka pomoże...

Cofnąwszy rękę, Tabitha wstała, weszła do niedużej łazienki i wzięła mały ręcznik. Zamoczyła go w zimnej wodzie, po czym wróciła do kabiny. Devlin leżał z zamkniętymi oczami, zmęczony i obolały. Kiedy przytknęła mu ręcznik do czoła, westchnął z ulgą.

- Och, jak dobrze - szepnął, nie unosząc powiek. Zakrył ręką jej dłoń, następnie przycisnął jej palce do swojej skroni. - O, tu boli najbardziej.

Przygryzła niepewnie dolną wargę. Po chwili wahania zaczęła delikatnie masować mu skroń. Znowu westchnął. Poczwała, jak opuszcza go napięcie. Ściągnięte rysy twarzy zaczęły się wygładzać. Tabitha przyglądała mu się w milczeniu; był przystojny, miał regularne rysy i piękne, dziwne w kolorze oczy. Kojarzyły się jej z oczami smoka.

Uśmiechnęła się w duchu do swoich myśli. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że Devlin śpi.

Jeszcze przez kilka sekund kontynuowała masaż, wreszcie zabrała rękę. Czas wracać do siebie.

- Nie - sprzeciwił się przez sen. Przytrzymał jej rękę, po czym przysunął z powrotem do swojej skroni.

Nie może wstać i odejść, bo on jej potrzebuje. Wziąwszy głęboki oddech, przesiadła się z krzesła na brzeg łóżka. W ten sposób nie musiała się tak bardzo pochylać.

Jakby wyczuwając, że Tabitha nie zamierza go opuścić, Devlin Colter zapadł w kamienny sen. Z czułością wpatrywała się w jego śpiącą twarz. Chociaż go właściwie nie знаła, był jej dziwnie bliski. Może dlatego, że to ona znalazła go w mrocznej alejce i bezpiecznie dowiozła do portu? A może dlatego, że tak bardzo potrzebował dziś jej pomocy i opieki. Tak czy owak, pragnęła go pocieszyć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Wzruszała ją jego bezradność. I podobało się to, że Devlin zachowuje się normalnie, że nie próbuje ukryć swoich słabości. Sprawiał wrażenie dobrego, wrażliwego człowieka, który nie potrafiłby nikogo skrzywdzić.

Takiego mężczyznę mogłaby pokochać. Poczwała na plecach gęsią skórę. Tak, postanowiła; otoczy troskliwą opieką swojego pacjenta, dopóki nie wróci on do zdrowia.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie kłamał; naprawdę miał kotkę o imieniu Tabi.

Tabitha leżała obok niego, zwinięta niczym mrużka z zadowoleniem kocica. Tyle że wcale nie mrużka. Szkoda, pomyślał. Po prostu spała. Ciekawe, co musiałby zrobić, by z jej gardła dobył się niski, cichy pomruk?

Nie ruszał się, niemal nie oddychał. Obserwując przez bulaj karaibskie niebo, które rozjaśniały pierwsze promienie słońca, nagle coś sobie uświadomił: leży bez ruchu nie dlatego, że boi się bólu, który wczoraj tak bardzo go nękał, ale dlatego, że nie chce zbudzić śpiącej kobiety. Wiedział, że kiedy Tabi w końcu otworzy te swoje wielkie kocie oczy i zobaczy, gdzie jest, będzie mocno zawstydzona.

A tak jak teraz było dobrze. Spała na jego łóżku, z głową na jego poduszce, spokojna, odprężona, ufna. Z całej siły powstrzymywał się, by nie wyciągnąć ręki i nie pogłodzić jej po pupie. Korciło go, ale wiedział, że jeśli ulegnie pokusie, Tabitha się zbudzi. A ten moment chciał maksymalnie odwlec w czasie.

Fascynowały go nie tylko jej pośladki - Tabitha miała również ponętnie zaokrąglony biust. Uśmiechnął się do siebie, po czym zaskoczony skrzywił się z bólu. Nie spodziewał się, że uśmiech może powodować tak duży dyskomfort. Potem zatrzymał wzrok na ukrytych pod sukienką piersiach kobiety. Ciekawe, jak by zareagowały na dotyk męskich rąk?

Nie, poprawił się szybko; nie na dotyk męskich rąk, tylko na dotyk jego ręki. Czy natychmiast by stwardniały? Czy rozchyliłaby uda? Rany boskie, człowieku, co się z tobą dzieje! Sam nie mógł się sobie nadziwić. Wczoraj porządnie oberwał, bolały go wszystkie mięśnie, każdy skrawek ciała, a on od rana snuje fantazje erotyczne. Których przypuszczalnie nawet nie byłby w stanie spełnić, bo każdy najmniejszy ruch stanowił dla niego istną torturę. Nie mówiąc o tym, że nawet gdyby odważył się dotknąć Tabithy, ta zerwałaby się z łóżka, wystraszona uciekłaby do swojej kabiny i do końca rejsu by się z niej nie wyłoniła.

Uzmysłowił sobie, że nie chciałby tego za żadne skarby świata. Dobrze mu było ze śpiącą Tabi u boku. Jak od najprawdziwszej kotki bił od niej spokój, ciepło, jakaś pozytywna energia. Kobiety,

które dotychczas spotykał na swej drodze, emanowały seksem, a nie ciepłem i dobrocią.

Kiedy wczoraj pojawiła się u wylotu alejki, natychmiast wyczuł, że nie jest to typ kobiety, która wpada w panikę lub bezradnie przestępuje z nogi na nogę. Owszem, na widok jego twarzy przeżyła szok, ale szybko wzięła się w garść. Rzuciła na ziemię torby z zakupami i przybiegła mu na pomoc. Kiedy zaczęła delikatnie badać jego obolałe ciało, wiedział, że może jej zaufać. Nie umiał tego wyjaśnić. Devlin rzadko ufał ludziom, natomiast ufał swojemu instynktowi, który nieraz ocalił mu życie.

Drogę na statek pamiętał słabo, chyba stracił w tak-sówce przytomność. Ale pamiętał, że leżał na tylnym siedzeniu z policzkiem przyciśniętym do ciepłego uda. A potem w szpitalu, kiedy lekarz opatrzył mu rany, ucieszył się, widząc naprzeciwko siebie zatroskaną twarz Tabi. Jeszcze żadna kobieta nie patrzyła na niego z taką czułością, sympatią i niepokojem w oczach. Dlatego nie oparł się pokusie, by zadzwonić do niej wieczorem i poprosić, by przyniosła mu talerz zupy na kolację.

Zacisnął wargi. Właściwie nie powinien się sobie dziwić. To zupełnie normalne, że kiedy mężczyzna się budzi i widzi leżącą koło siebie kobietę, to ma fantazje erotyczne. A kiedy jeszcze tą kobietą jest słodka istota, która wybawiła go z opresji i tak czule się nim opiekowała, to...

No dobrze, może było to normalne, ale Devlin

doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby chciał urzeczywistnić swoje marzenia i rzucić się na Tabithę - oczywiście mała szansa, że w obecnym stanie zdrowia potrafiłby cokolwiek zdziałać - gorzko by tego pożałował. Po prostu wyrwałaby mu się i uciekła.

Powoli odkrywał o sobie nowe rzeczy, na przykład że mniej mu zależy na seksie, a bardziej na dotyku, na czułości. Pragnął tego, czego doświadczył wczoraj. Marzył o tym, aby dziś Tabitha znów przy nim była, żeby go wspierała, obdarowywała spojrzeniem i uśmiechem. W swoim czterdziestoletnim życiu rzadko stykał się z ciepłem, dobrocią i bezinteresownością. Teraz pragnął nadrobić straty, cieszyć się tym, co tak niespodziewanie znalazł w Tabi. Na szczęście miał na tyle rozumu w głowie i samokontroli, aby nie ulec pożądaniu.

Kiedy Tabitha poruszyła się, czym prędzej zamknął oczy. Postanowił zdać się na niezawodny instykt, na intuicję.

Czuła się zdezorientowana. Przez chwilę zwlekała z otwarciem oczu, usiłując przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Cichy jednostajny szum silników brzmiał znajomo, lekkie kołysanie też było znajome, ale nic poza tym. Zawsze sypiała sama, a teraz obok niej leżało czyjeś twarde ciało. Przerażona zamrugała powiekami.

Tkwiała bez ruchu, bojąc się nabrać do płuc powietrza. I bojąc się zerknąć na twarz Devlina. Boże, co on

sobie o niej pomyśli? Jak to możliwe, że wczoraj tu zasnęła? Pamiętała jedynie, że wyciągnęła się na moment, kiedy masowała mu skronie, a potem... potem już nic nie pamiętała. Musiała zasnąć. Co za głupia sytuacja, krępująca dla obojga.

Wreszcie, zdobywając się na odwagę, przekreśliła nieznacznie głowę i spojrzała na leżącego obok mężczyznę. Uff! Odetchnęła z ulgą. Śpi. Zażenowanie ustąpiło miejsca zatroskaniu. Biedny człowiek. Musiał być potwornie zmęczony. Niech śpi, wypoczynek dobrze mu zrobi.

Ostrożnie zsunęła się z wąskiego materaca. W głębi duszy odczuwała satysfakcję. To, że Devlin zasnął i spał do tej pory, było po części jej zasługą. Włożyła pośpiesznie sandaalki, które musiała zrzucić w nocy, i czym prędzej wymknęła się na korytarz.

Popatrzyła w prawo i w lewo. Na szczęście wokół było pusto - nikt nie widział, jak bladym świtem wychodzi z nie swojej kabiny. Zresztą kogo by to interesowało? - pomyślała cierpko, wracając na własny pokład. Wszyscy chcą miło spędzić czas, pływając po Morzu Karaibskim. Dlaczego mieliby jej żałować tego samego?

Rzecz w tym, że Tabitha nie lubiła rzucać się w oczy ani być w centrum uwagi. Na samą myśl o tym, że ktoś mógłby zobaczyć, jak wymyka się cichcem z pokoju mężczyzny, oblała się rumieńcem. Jeszcze by zaczęto o niej plotkować, zastanawiać się, co ją łączy z Devlinem. Nie zniosłaby tego. Nienawidziła skan-

dali, plotek, rozgłosu. Próbowwała w siebie wmawiać, że to dlatego, że jest skromna i wrażliwa, ale prawda wyglądała inaczej. Nie chodzi o wrażliwość, lecz o brak pewności siebie.

Nie spotykając po drodze żywego ducha, dotarła do swojej kabiny. Gorący prysznic! To mi pomoże odzyskać spokój, uznała, ściągając przez głowę sukienkę. Na widok swojego nagiego ciała uśmiechnęła się kpiąco. Ciekawe, co by sobie Devlin pomyślał, gdyby się obudził i znalazł ją w łóżku koło siebie?

Czy spodobałyby mu się jej zaokrąglone kształty? Może tak, a może nie, uznała filozoficznie. Ale raczej nie. Dawno temu przekonała się, że owszem, są mężczyźni, którzy gustują w bujnych piersiach i pełnych biodrach, jednakże kobieta musi czuć się dobrze we własnym ciele, emanować zmysłowością, aby przyciągać męski wzrok. A jej brakowało pewności siebie oraz - co jej były małżonek wielokrotnie podkreślał - seksapilu.

Krzywiąc się w duchu, weszła pod prysznic. Jak tylko się umyje i osuszy, zamówi śniadanie dla Devlina. Wczoraj wieczorem apetyt mu dopisywał, może dziś też dopisze? Ludzie chorzy lub osłabieni powinni się dobrze odżywiać. Z myślą o Devlinie zaczęła układać w głowie odpowiednie menu. Planowanie posiłku pomogło jej odzyskać równowagę psychiczną.

Pół godziny później, odświeżona i opanowana, zastukała do drzwi swojego pacjenta. Odpowiedział jej rześki, energiczny głos.

- Dzień dobry - rzekła pogodnym tonem, wchodząc do pokoju. Tak jak poprzednim razem, tuż za nią wkroczył steward z tacą pełną jedzenia. - Jak się czujesz? Zapraszam na śniadanie.

Devlin siedział na brzegu łóżka, ubrany w czyste beżowe spodnie. Tors miał goły, włosy wciąż wilgotne po kąpieli i zaczesane do tyłu. Biel plastrów odcinała się od brązu skóry.

- Wspaniale - oznajmił, wpatrując się w Tabithę.
- Jestem głodny jak wilk. Właśnie się zastanawiałem, czy po porannym prysznicu mam dość siły, aby zejść do restauracji. To miło, że o mnie pomyślałaś.

Uśmiechnęła się promiennie. Co za uroczy człowiek! Uprzejmy, serdeczny, wdzięczny za wszystko, co się dla niego robi. Czego więcej można chcieć? Kto wie, może ktoś taki potrafiłby docenić zalety pełniejszej figury?

- Będziesz potrzebował jakichś środków przeciwbólowych? - spytała i podziękowawszy stewardowi, zamknęła za nim drzwi. Na tacy stała miseczka z jajecznicą, grzanki z masłem, dwie połówki grejpfruta.
- Mogę poprosić lekarza...

- Dzięki, ale chyba wystarczy mi dziś zwykła aspiryna - odparł, patrząc na krzątającą się Tabithę.

Czując na sobie jego wzrok, pośpiesznie ustawiała talerze i sztucce. Po chwili wskazała Devlinowi jedno z dwóch krzeseł przy niedużym stoliku. Całe szczęście, że zdołała wymknąć się z jego kabiny, zanim się obudził!

- Zastanawiam się, czy dzisiejszego dnia nie powinieneś spędzić w łóżku - powiedziała, kiedy usiadł naprzeciwko niej. - Na pierwszy rzut oka widać, że jeszcze nie jesteś w formie.

- To prawda, nadał mnie wszystko pobolewa - przyznał. - Ale może wygrzanie się na słońcu dobrze mi zrobi. Jak myślisz?

- Może masz rację - zgodziła się po namyśle. - Taki ciepły kompres... Dobrze, po śniadaniu łykniesz parę tabletek aspiryny, a potem wyciągniemy się na leżakach przy basenie.

- Wspaniale - ucieszył się, po czym dodał cicho: - Nie podziękowałem ci za wczorajszy wieczór, Tabi. Dzięki tobie spałem jak niemowlę.

Zamrugła niepewnie. Czyżby czegoś się domyślał, coś podejrzewał? Ale po chwili, widząc jego niewinną minę, uznała, że nie.

- Nie musisz dziękować. Nie zmęczył mnie masaż skroni... A swoją drogą, jak zareagował kapitan, kiedy powiedziałaś mu, co się stało na St. Regis?

Devlin wzruszył ramionami, po czym zacisnął zęby z bólu. Nie powinien wykonywać żadnych gwałtownych ruchów.

- Obiecał skontaktować się z miejscową policją, chociaż podejrzewa, że to nic nie da. Takie rzeczy jak napady na turystów zdarzają się na całym świecie. Sam jestem sobie winien. Nie powinienem był się zapuszczać w tę alejkę.

- Skąd mogłeś wiedzieć, że tam jest niebezpiecznie?

- zdenerwowała się Tabitha. - Sama zamierzałam w nią skręcić. Gdybym pojawiła się parę minut wcześniej, to ja bym leżała pobita na ziemi, a nie ty.

Popatrzył na nią jakoś dziwnie.

- Czego tam szukałaś? - spytał, wbijając łyżeczkę w połówkę grejfruta.

- Na murze, tuż przed skrzyżowaniem w alejkę, zobaczyłam tablicę ze strzałką wskazującą drogę do pracowni rzeźbiarskiej - odparła. - Godzinę wcześniej kupiłam do swojego zbioru cudowną drewnianą rzeźbę smoka i miałam nadzieję, że przed powrotem na statek uda mi się znaleźć kolejną, równie fascynującą. Nigdy nie wiadomo, na co się trafi w takich ukrytych sklepikach.

- Jakiego rodzaju rzeczy zbierasz? - zaciekał się.

- Takie - odparła, wyciągając rękę z pierścieniem o kunsztownym wzorze.

Devlin zmarszczył czoło.

- Co to jest?

- Wąż morski. Nie widzisz? Tu ma łeb, a tu płetwy...

- Faktycznie... To znaczy, zbierasz węże morskie?

Roześmiała się wesoło.

- Nie tylko. Uwielbiam różne fantastyczne stwory. Smoki, jednorożce, gryfy, harpie. Od lat mnie fascynują. Nie umiem tego wytłumaczyć.

- Może dlatego, że sama jesteś jak kotka?

Zdumiała ją jego słowa.

- Bez przesady. Zresztą koty to najpospolitsze zwierzęta pod słońcem.

- Wszystko jest względne. Nam się wydają pospolite, bo widzujemy je na co dzień. Ale reakcja kogoś, kto nigdy w życiu nie zetknął się z kotem, byłaby zupełnie inna.

- Słusznie - przyznała. - Masz absolutną rację. Kiedy średniowieczni mnisi pisali bestiaaria, umieszczali w nich opisy wielu stworzeń, których nigdy na oczy nie widzieli. Te nieznanne zawsze wydawały im się najdziwniejsze.

- Bestiaaria?

- Utwory z alegorycznym komentarzem opisujące zachowanie i wygląd różnych zwierząt - wyjaśniła. - To były takie jakby... hm, podręczniki historii naturalnej. Zawierały mnóstwo informacji o florze i faunie, o zwierzętach zamieszkujących dalekie kraje. Czasem w tych opisach zwierzęta przybierały jeszcze dziwniejsze formy... Wiesz, co uwielbiam? Usiąść z bestiaarium i na podstawie tego, co czytam, próbować sobie wyobrazić, jak wyglądał gryf albo jednorożec.

- A co mnisi pisali o kotach? - spytał Devlin.

- Niewiele. Że przydają się do łowienia myszy. Na ogół pod hasłem kot następuje krótki, nieciekawy opis. Może działa zasada, o której mówiłeś: że to, czego nie znamy, zawsze bardziej nas fascynuje. - Postanowiła zmienić temat. Już raz Devlin porównał ją do kotki; nie chciała, by rozmowa przybrała zbyt osobisty ton. - Powiedz, a ty... wybrałeś się w rejs z misją wywiadowczą? Żeby obejrzyć nowe miejsca, które mógłbyś zaproponować później swoim klientom?

Zawahał się, jakby wolał wrócić do rozmowy o zwierzętach. W końcu jednak ustąpił.

- Tak. To jedna z niewątpliwych zalet posiadania własnego biura podróży.

- Od dawna zajmujesz się turystyką?

- Już jakiś czas - odparł.

- Pewnie zdążyłeś zwiedzić kawał świata?

- Owszem, byłem w paru ciekawych miejscach.

- Uśmiechnął się kwaśno. - A ty? To twój pierwszy rejs, prawda?

- Po czym poznałeś? - zdumiała się.

- Trzymasz się na uboczu, nie włączasz do życia towarzyskiego. W ciągu ostatnich paru dni mijałem cię kilka razy. Zawsze byłaś sama.

Zaczerwieniła się.

- Ty też.

Twarz mu się rozpromieniła.

- To znaczy, że zwróciłaś na mnie uwagę? Zanim się spotkaliśmy w tej alejce?

Roześmiała się, widząc jego uradowane spojrzenie.

- Owszem, zwróciłam.

- To przez tę laskę. - Nagłe zmarkotniał. - Trudno być niezauważonym, kiedy się kuleje.

- Jeśli wcześniej gapiono się na ciebie z powodu laski, to jak teraz wyjdiesz taki posiniaczony, dopiero ludzie wybałuszą oczy! - zażartowała.

- No dobra, chyba właśnie mnie przekonałaś, że-bym nie wychodził.

- Nonsens! - sprzeciwiła się. - Tak jak mówiłeś,

słońce dobrze ci zrobi. Nie zgadzam się, żebyś siedział tu skwaszony, kiedy możesz wygrzewać się nad basenem. Zresztą jak włożysz koszulę, prawie nic nie będzie widać. A z sińcem na policzku i podbitym okiem będziesz wyglądał bardzo tajemniczo. Jak pirat. Powodzenie u pań masz zagwarantowane!

- To jest rejs służbowy - oznajmił. - A ja nie jestem tu po to, by wywoływać sensację.

Czując, że go uraziła, Tabitha pochyliła się nad stołem.

- Przepraszam. - Ścisnęła go za rękę. - Po prostu żartowałam. Nie gniewaj się.

Kiedy skinął głową, przyjmując jej przeprosiny, cofnęła szybko dłoń. Skierował wzrok tam, gdzie przed chwilą go dotykała, po czym podniósł widelec i przystąpił do jedzenia jajecznicy.

Tabitha uśmiechnęła się w duchu. Coraz bardziej podobał się jej Devlin Colter. Nie spotkała dotąd mężczyzny, którego speszyłyby wiadomość, że wzbudza zainteresowanie kobiet. Większość przedstawicieli płci brzydkiej grzeszy nadmierną arogancją i pewnością siebie. Doskonale rozumiała irytację Devlina. Też byłaby zażenowana, gdyby ktoś zasugerował jej, że wyglądem usiłuje przyciągnąć uwagę mężczyzn.

Czas płynął spokojnie. Tabitha, czując się po trosze odpowiedzialna za zdrowie człowieka, którego wczoraj uratowała, wzięła ster w swoje ręce. Devlin nie miał nic przeciwko temu; posłusznie wykonywał wszystkie jej polecenia. Po godzinie na słońcu bez

protestu przesiadł się w półcień, a w południe z przyjemnością zjadł zamówiony przez nią lunch: kurczaka w sosie orzechowym. O trzeciej zaś na podwieczorek skonsumował kilka małych słodkich rogalików.

Tabitha zdobyła talię kart. Grali w remika, rozmawiali. Od początku rozmowa toczyła się żywo, nie było żadnych krępujących przerw. Devlin z zapałem opowiadał o swojej pracy, o wycieczkach, jakie jego biuro ma do zaoferowania, ona zaś opowiadała o urokach prowadzenia księgarni w małym rybackim miasteczku, w którym czas jakby się zatrzymał.

- Mamy wiele wspólnego - rzekł, kiedy po raz trzeci pokonała go w remika. - Na przykład oboje wiemy, jak to jest, kiedy się prowadzi własny biznes.

Na myśl o tym, że coś ich łączy, uśmiechnęła się promiennie. Devlin patrzył na nią z takim wyrazem twarzy, jakby zapomniał, co zamierzał powiedzieć. Jakby nie mógł oderwać od niej oczu. Wreszcie otrząsnął się.

- Słuchaj, tylko dlatego, że ja nie za bardzo mogę się ruszać, nie znaczy, że ty nie możesz sobie popływać. Skorzystaj z basenu. Słońce grzeje, a woda kusi.

- Och, nie! - zaprotestowała. - Dobrze mi na leżaku. Wcale nie chce mi się pływać.

Boże! Miałyby wystąpić przed nim w kostiumie kąpielowym? Za żadne skarby świata!

Zdumiała ją własna reakcja. Dlaczego czuła opory przed pokazaniem się Devlinowi w kostiumie? Prze-

cież pływała już w basenie na statku i nie przejmowała się tym, jak wygląda ani co sobie ktoś o niej pomyśli. No ale inni nie zatrzymywali na niej dłużej wzroku. Omiatali ją spojrzeniem i szukali atrakcyjniejszych obiektów do obserwacji. Miała skromny, nierzucający się w oczy kostium, jednoczęściowy, w którym - na tle kobiet w skąpych bikini - czuła się prawie niewidoczna. Ale dziś, dlatego że spędziła tyle czasu z Devlinem, nie byłaby już anonimowa. Gdyby pojawiła się w kostiumie, pewnie obejrzałby ją dokładnie od stóp do głów. Ona by tak zrobiła, gdyby on nagle włożył kąpielówki.

- No, śmiało, Tabi - zachęcał ją. - Ja sobie powygrzewam obolałe mięśnie, a ty wskakuj do wody. Zobacz, wszycy się moczą.

- Ja nie... to znaczy... - dukała, wreszcie zamilkła. Nie wiedziała, jak się wykręcić, jakich użyć argumentów. Przecież nie może powiedzieć mu prawdy. Zawałała się. Devlin Colter jest dżentelmenem. Jako dżentelmen nie porównywałby jej z innymi kobietami w basenie, nie zniżyłby się do takiego zachowania. - No dobrze - rzekła po chwili. - Jeśli nie będzie ci przeszkadzało, że zostaniesz sam, to może faktycznie zejść na dół i się przebiorę.

Wstydzi się, pomyślał z rozbawieniem, odprowadzając Tabithę wzrokiem. Powinien zatem postępować z nią ostrożnie, tak żeby jej nie wystraszyć. Z każdą godziną miał coraz większą chęć porwać ją w objęcia, ale instynkt mówił mu, że to niedobry

pomysł. Że uleganie popędowi może tylko zakończyć się katastrofą. Należy działać wolno. Niech się Tabi odpręży, poczuje pewnie, niech sama nabierze ochoty.

Krzywiąc się lekko z bólu, zmienił nieco pozycję, po czym zamknął oczy i uzbroił się w cierpliwość. Z napięciem czekał na powrót swojej kocicy. Czuł się jak średniowieczny myśliwy, który wyrusza na łowy, żeby schwytać nieznane stworzenie opisane w bestiariusz. Uświadomił sobie ze zdziwieniem, że podrzuca przynęty, szykuje zasadzki. Nigdy dotąd tego nie robił. Cóż takiego Tabi w sobie ma, że nie może się jej oprzeć? Że chce być stałe przy niej? Może chodzi o jej szlachetność i bezinteresowność, o ciepło, jakie od niej bije? Rzadko się stykał z takimi cechami.

Kobiety w jego życiu można było zaliczyć do jednej z dwóch kategorii. Były albo groźne i drapieżne, albo piękne i zmysłowe. Innych nie znał, toteż nie zdawał sobie dotąd sprawy z tego, co traci. Bo niby skąd ma człowiek wiedzieć, że powinien dalej szukać, skoro nie orientuje się, że istnieją inne, ciekawsze odmiany?

Tabitha wróciła na pokład po dwudziestu minutach owinięta ogromnym ręcznikiem plażowym. Zbliżając się do leżaka, uśmiechnęła się niepewnie i odruchowo mocniej zacisnęła rękę na ręczniku. Devlin odwzajemnił uśmiech; starał się zachowywać przyjaźnie.

- Daj, popilnuję ci ręcznik.

Wyciągnął rękę, nie zostawiając jej wielkiego pola manewru. Przez moment wahała się, w końcu doszła

do wniosku, że co ma być, to będzie. Z udawaną nonszalancją wręczyła mu ręcznik.

- Przepłynę parę długości i wkrótce wyjdę - obiecała.

Patrzył, jak przysiada na krawędzi basenu, spuszcza nogi, potem zsuwa się do wody. Uniósł się na leżaku, by ją lepiej widzieć. Miała niesamowity kostium kąpielowy. Jednoczęściowy, czarny, przełamany gdzieniegdzie małymi kwiatkami. Niewielkie wycięcie pod szyją, szerokie ramiączka. Tak ubrana wyraźnie odstawała od kobiet w jaskrawych bikini składających się z samych trójkątów. Pewnie nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Przepuszczała pragnęła jak najmniej zwracać na siebie uwagę i dlatego wybrała mocno zabudowany kostium. Skutek jednak był odwrotny.

Chociaż kostium miał na celu maksymalnie zasłaniać ciało, to jednak nie do końca spełniał swoje zadanie. Devlin z przyjemnością wodził wzrokiem za Tabi. Sprawiała wrażenie miękkiej, delikatnej, kobiecej. Przypominał sobie, jak wczoraj wieczorem masowała mu skroń. Przeszył go dreszcz. Niektórzy mężczyźni uciekają się do siły, aby zdobyć coś, czego bardzo pragną. W przeszłości on też stosował tę metodę. Ale czuł, że z Tabi nic siłą nie wskóra. Że ważniejsze jest opanowanie i cierpliwość.

Zmrużywszy oczy przed słońcem, obserwował, jak Tabitha wychodzi z basenu, a potem potrząsa włosami, by strącić z nich krople wody. Nagle zdał sobie

sprawę, że nie on jeden śledzi wszystkie jej ruchy. Rozglądając się uważnie, zauważył dwóch innych wpatrzonych w nią facetów. Niezadowolony zmarszczył czoło.

W tym samym momencie uzmysłowił sobie jeszcze jedną rzecz, a mianowicie, że Tabitha jest najzupełniej nieświadoma tych natarczywych spojrzeń. Niektóre kobiety, pewne swojej atrakcyjności, udają, że nie widzą zamieszania, jakie wywołują. Tabi natomiast niczego nie udawała; autentycznie nie wierzyła, że może wzbudzać zainteresowanie. Może brak reakcji z jej strony, to, że się nie prężyła, że zachowywała się naturalnie, sprawił, że w końcu tamci dwaj skierowali wzrok na bardziej skąpe kostiumy.

No ale oni nie leżeli pobici w ciemnej alejce na małej karaibskiej wyspie, przekonani, że zaraz umrą. To nie im Tabitha pospieszyła na ratunek. Oni nie znali delikatnego dotyku jej rąk. A on oczywiście nie zamierzał dzielić się z nimi tą wiedzą.

- Tak się zastanawiałam... - zaczęła niepewnie, podchodząc do leżaka, na którym się wygrzewał.

Zauważyła, że patrzy jej prosto w oczy, a nie na biodra czy biust. Że uśmiecha się przyjaźnie, nie lubieżnie. Naprawdę był miłym człowiekiem. Owinęła się szybko ręcznikiem, który jej podał, i usiadła obok.

- Dasz radę zejść do restauracji na kolację?

- Z każdą minutą czuję się coraz lepiej. Myślę, że to zasługa słońca i tej ilości jedzenia, jaką dziś we

mnie wmusiłaś. - Oparł się wygodnie, wsunął ręce pod głowę. - Kolacja nie powinna więc stanowić żadnego problemu.

- Świetnie. Może... jeśli się oczywiście zgodzisz, to mogłabym spytać kelnera, czy nie miałyby nic przeciwko temu, żebyś się przesiadł. Przy moim stole jest jedno wolne miejsce, a skoro podróżujesz sam...

Wpadła na ten pomysł w wodzie. Starając się ukryć zdenerwowanie, czekała na reakcję Devlina. Tak chętnie przyjmował dziś wszystkie jej propozycje... Jeśli tę odrzuci, to trudno. Uznała jednak, że zaryzykuje.

- To doskonały pomysł - szepnął, przymykając oczy przed rażącym blaskiem słońca. - Naprawdę doskonały.

Uradowana wyciągnęła się na leżaku, żeby ją słońce osuszyło. Z każdą chwilą jej pewność siebie rosła. Devlin nie sprzeciwił się jej pomysłowi! Przeciwnie, ucieszył się. Jak dobrze, że zdobyła się na odwagę i przejęła inicjatywę. Może on też chciał zaproponować, aby siedzieli razem podczas posiłków, ale krępował się, wychodząc z założenia, że już i tak za bardzo ją absorbuje? Co jak co, ale Dev Colter nie należy do mężczyzn, którzy się narzucają. Tabitha westchnęła błogo.

Promieniała szczęściem, kiedy wieczorem, trzymając Devlina pod rękę, weszła do sali restauracyjnej. Ubrana w zwiewną białą suknię ozdobioną u dołu i pod szyją delikatną aplikacją, czuła się lekko i kobieco. Devlin miał na sobie jasne spodnie i ciemną

marynarke; hebanowa laska dodawała mu powagi. Silny, szarmancki, doskonale zbudowany stanowił uosobienie spokoju i męskości. W dodatku wpatrywał się w nią tak, jakby była jedyną kobietą w sali.

- Wyglądasz prześlicznie, Tabi - powiedział, kiedy zajmowali miejsca przy stole. - Żałuję jedynie, że nie będę mógł cię później poprosić do tańca.

Zerknęła na niego zmieszana.

- Z powodu zmęczenia? - spytała cicho.

W skrytości ducha liczyła na to, że wieczór nie zakończy się od razu po deserze. Na samą myśl, że tak by miało być, zrobiło się jej smutno.

Podniósł ze stołu menu.

- Nie, nie zmęczenia. Po prostu... - skierował oczy na laskę zawieszoną na oparciu krzesła - nie jestem zbyt dobrym tancerzem.

Tabitha odetchnęła z ulgą.

- Ach, o to chodzi?

- Owszem, o to. Laska w znacznym stopniu ogranicza moje możliwości - odparł sztywno.

- Zdradzę ci, że ze mnie też jest kiepska tancerka - powiedziała ze śmiechem. - Usiądziemy sobie przy jednym z tych małych stolików, będziemy sączyć drinki i czynić błyskotliwe uwagi na temat umiejętności tanecznych tych, którzy wirują po parkiecie.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu. Otworzył usta, jakby chciał ją o coś spytać, ale zrezygnował z tego zamiaru, kiedy zaczęli schodzić się inni pasażerowie. Przy ich stole usiadły dwie pary, obie

w średnim wieku. Oczywiście słyszeli o tym, co się wydarzyło na St. Regis, i kiedy zorientowali się, że ich towarzyszem przy stole jest właśnie człowiek, który padł ofiarą bandyckiej napaści, zaczęli zasypywać go pytaniami. Ku zdumieniu Tabithy Devlin całkiem chętnie zdał im relację z przebiegu zajścia, podkreślając rolę, jaką ona odegrała.

- Proszę mi wierzyć, jeszcze nigdy w życiu nie cieszyłem się tak, jak na widok panny Graham.

- Bo ja wiem? - wtrąciła Tabitha. - Jeśli dobrze pamiętam, powiedziałeś: trochę późno kawaleria przybywa z odsieczą. Wyobrażacie sobie państwo?

- Roześmiała się wesoło. Nie sądziła, że będzie potrafiła tak lekko opowiadać o tym ponurym zdarzeniu. - Zamiast być mi wdzięczny, zaczął narzekać. Najpierw że przybyłam za późno, potem, kiedy wracaliśmy taksówką do portu, że nie pozwoliłam mu opróżnić całej butelki rumu, i wreszcie na statku, kiedy zamówił do pokoju talerz zupy, a ja się zjawiłam z normalnym pełnym posiłkiem. Niektórych trudno zadowolić!

Devlin przybrał zboląłą minę.

- Ten rum, który taksówkarz tak wspaniałomyślnie nam zaoferował, na pewno bardzo by mi pomógł.

Towarzystwo przy stole wybuchnęło śmiechem.

- Jestem tego samego zdania - powiedział jeden z mężczyzn, podnosząc do ust szklankę z whisky.
- Też bym wolał rum od zastrzyków przeciwbólowych.

Dopiero kiedy przeszli do eleganckiego baru, Devlin zadał pytanie, którego nie zdążył zadać przed kolacją, a które cały czas go nurtowało.

- Dlaczego uważasz, że jesteś kiepską tancerką? Wzruszyła ramionami.

- Może dlatego, że brak mi wprawy. Im więcej się tańczy, tym pewniej się człowiek czuje na parkiecie.

Wykrzywił usta.

- Wiesz, ja i przed wypadkiem nie należałem do wybornych tancerzy. Teraz dzięki lasce mogę bez wyrzutów sumienia podpierać ścianę.

- Przed wypadkiem? To znaczy... - zaczęła zaintrygowana, nie bardzo jednak wiedząc, czy wypada pytać o takie rzeczy.

Devlin zamówił drinki. Ignorując jej pytanie, kontynuował zadawanie własnych.

- A dlaczego brak ci wprawy? Czy w tym małym staroświeckim miasteczku, w którym mieszkasz, nie chadza się na randki?

- Chadza, chadza - odparła z uśmiechem. - Nie jesteśmy aż tak staroświeccy. Po prostu od czasu rozwodu nie prowadzę zbyt bujnego życia towarzyskiego. - Przygryzła wargę. - Właściwie przed małżeństwem też nie prowadziłam. Ani w trakcie.

Zerknął na nią z ukosa.

- Byłaś mężatką?

- Tak. Parę lat temu. Przez zaledwie rok.

- Dlaczego się rozstaliście?

- Hm, można powiedzieć, że przestało nas to bawić. Że straciliśmy sobą zainteresowanie.

- A dokładniej to kto je stracił?

Po raz pierwszy odkąd się poznali, popatrzyła na niego nieufnie.

- Naprawdę cię to ciekawi?

Uśmiechnął się speszony.

- Przepraszam. Pytam dlatego, że mnie też się to przydarzyło. Moja była żona straciła zainteresowanie małżeństwem zaraz po tym, jak uległem wypadkowi.

- Boże! To straszne. - Zrobiło jej się żal Devlina. - Wyobrażam sobie, jak się musiałeś czuć. Nagle cały świat się wali. Człowiek czuje się odtracony...

- To prawda - przyznał cicho. - Ale dziwi mnie, jak ktoś mógłby stracić zainteresowanie tobą.

- A mnie dziwiło, że ktoś taki jak Greg w ogóle się ze mną ożenił. Wiesz, w szkole średniej zarabiałam całkiem nieźle jako opiekunka do dzieci. Miałam mnóstwo wolnego czasu, bo nikt mnie nie zapraszał na randki. W college'u zawsze oddawałam pracę semestralną co najmniej miesiąc wcześniej, bo wieczorami nigdzie nie wychodziłam. Potem odniosłam sukces jako właścicielka księgarni, bo żyłam książkami dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiedy Greg poprosił mnie o rękę, byłam tym faktem równie zaskoczona, jak wszyscy wkoło.

- I co się stało? Dlaczego się rozwiedliście?

Srebrzyste oczy zdawały się przenikać ją na wylot.

- Dopiero po fakcie dowiedziałam się, że Greg

przyjechał do Waszyngtonu, żeby lizać rany po szalonym romansie, który zakończył się wbrew jego woli. Stanowiłam przeciwieństwo tamtej kobiety. Cicha, spokojna, mało wymagająca, w niczym jej nie przypominałam. Nasze małżeństwo... po prostu Greg szukał pocieszenia. Od początku widać było, że nic z tego nie wyjdzie. Ciągłe mnie porównywał z największą miłością swojego życia. Dość szybko zorientowałam się, że popełniliśmy błąd. Greg też miał tego świadomość. A potem nagle pojawiła się tamta kobieta. No i sprawa sama się rozwiązała.

- Czyli wrócił do największej miłości swojego życia?

- Tak. I dobrze. W każdym razie w trakcie małżeństwa nie zdążyłam poćwiczyć tańca - dodała, siląc się na nonszalancję. Po chwili zebrała się na odwagę:
- Powiedz, Dev, żona naprawdę odeszła od ciebie z powodu twojego wypadku?

Teraz z kolei on wzruszył ramionami.

- Już przed wypadkiem nie najlepiej nam się układało. Nie spełniałem oczekiwań żony. Liczyła na to, że nasze życie będzie bardziej ekscytujące, że ja okażę się bardziej fascynujący. Niektórym się wydaje, że jak człowiek ma biuro podróży, to sam jest... hm, światowcem, bon vivantem. A ja po prostu jestem ciężko pracującym biznesmenem. Po wypadku długo dochodziłem do zdrowia, a kiedy jako tako się poczułem, podjęliśmy decyzję o rozstaniu. Zanim otrzymaliśmy rozwód, żona już znalazła sobie kogoś innego.

- Wygląda na to, że rzeczywiście mamy wiele wspólnego - zauważyła kwaśno Tabitha.

- Prawda? - Na moment zamilkł. - Nie nudzę się z tobą, Tabi.

- Na tym polega urok wakacyjnych romansów - rzekła, nie zastanawiając się nad tym, co mówi. - Zanim człowiek zdąży się znudzić, statek przybija do portu i każdy idzie w swoją stronę.

Nagle się zreflektowała. Chryste! Najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Co on sobie pomyśli? Że proponuje mu wakacyjny romans? Nie o to jej chodziło!

Na szczęście Devlin nie analizował jej słów, nie doszukiwał się w nich żadnych ukrytych znaczeń. Uśmiechając się łagodnie, skierował wzrok na parkiet, który powoli zapełniał się tańczącymi.

- Jak myślisz, kto spośród nich przeżywa wakacyjny romans? - spytał lekkim tonem. - Moim zdaniem... hm, ta para w kącie. Widzisz?

Z westchnieniem ulgi Tabitha przyłączyła się do gry-

- A po czym poznajesz?

- Ciągłe się dotykają. Nie mogą oderwać od siebie rąk.

- Może to nowożeńcy?

- Nie mają obrączek.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy - stwierdziła zdumiona, że z takiej odległości, w przyćmionym świetle, zauważył tak drobny szczegół.

- Mam dobry wzrok - oznajmił, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie. - I również dobry słuch.

- Lepszy niż inni? - spytała. Miała ochotę zażartować, zacytować Czerwonego Kapturka, którego dziwi, że babcia ma tak duże oczy i uszy, ale powstrzymała się.

- Podobno. No, twoja kolej.

- Stawiam na... na tę parę przy barze.

- Nie. Są małżeństwem.

- Mają obrączki?

- Tak. Ale poza tym facet co rusz spogląda nad ramieniem żony na blondynkę przy oknie. Widzisz? Flirtuje z nią.

- Wypowiadasz się jak prawdziwy ekspert.

- E tam, od razu ekspert? - zaproponował. - Jak facet. Znam męską naturę.

- Żonaci mężczyźni zawsze flirtują?

- Nie wszyscy, ale ten akurat tak. Rozejrzyjmy się jeszcze...

- To całkiem wciągająca rozrywka - powiedziała Tabitha, wodząc wzrokiem po barze.

Kiedy spojrzała na zegarek, zdziwiła się, że minęły dwie godziny. Dawno się tak dobrze nie bawiła. Zazwyczaj ograniczała się do dwóch drinków; teraz właśnie kończyła trzeci. Tryskała humorem i energią. Wiedziała, że powodem tego jest nie tylko alkohol, ale również obecność Devlina. Coś się między nimi rodziło, jakaś szczególna więź.

- Oczy ci błyszczą - rzekł, kiedy opuścili bar i wyszli na pokład, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Wyglądasz na szczęśliwą.

Poruszał się z trudem. Przemknęło jej przez myśl, że nawet jak rany się zagoją, wciąż będzie powłóczył lewą nogą i podierał się laską. Nigdy nie będzie całkiem sprawny.

- Bo jestem - powiedziała z rozmarzeniem, wpatrując się w wielką srebrzystą kulę zawieszoną na czarnym niebie. - Chociaż nie... - dodała, czując niespodziewany przypływ pewności siebie. Wsparłszy się o burzę, ujęła Devlina pod ramię. - Do pełnego szczęścia brakuje mi jednego...

Nie wierzyła własnym uszom. Czy te słowa naprawdę wyszły z jej ust? Zamarła z przerażenia.

Przyjrzał się jej uważnie. Stał tyłem do księżyca; nie potrafiła wyczytać nic z jego spojrzenia.

- Czego, Tabi? - spytał łagodnie. - Powiedz.

Wzięła głęboki oddech, po czym zdobywając się na odwagę, popatrzyła mu prosto w oczy.

- Czy mogłabym cię pocałować na dobranoc?
- zapytała.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie musisz się mnie obawiać - szepnęła z uśmiechem, kiedy nie zareagował. - Nie wyrządę ci żadnej krzywdy. Kotki to niegroźne stworzonka.

- Nie byłbym tego taki pewny - odparł cicho. - Te niegroźne stworzonka mają ostre pazurki... Oczywiście, że możesz mnie pocałować. Ale powinienem cię uprzedzić: już nie pamiętam, kiedy ostatni raz całowałem się z kobietą w blasku księżyca. To było wieki temu.

Pogładziła go po policzku. Do tej pory - po brutalnej napaści na St. Regis - wydawał się jej kruchy i bezbronny pod względem fizycznym. Teraz miała wrażenie, że jest bezbronny również pod względem emocjonalnym.

- Naprawdę, Dev?

Opuścił wzrok, jakby był speszony brakiem doświadczenia w sprawach męsko-damskich, po czym zawiesiwszy łaskę na metalowej balustradzie, oparł się o burtę.

- Odkąd rozstałem się z Amandą, dużo czasu spędzam samotnie. Chyba stanowczo za dużo, skoro musisz pytać, czy możesz mnie pocałować. Bo to ja powinienem porwać cię w ramiona i zmiążyć ci wargi w pocałunku. - Wykrzywiwszy usta w ironicznym uśmiechu, zacisnął rękę na dłoni Tabithy.

Instynktownie przysunęła się bliżej.

- Nie bądź śmieszny, Dev. Gdybyś ni stąd, ni zowąd się na mnie rzucił, wystraszyłabym się. Takie zachowanie byłoby zupełnie nie w twoim stylu.

- Nie?

Zdecydowanym ruchem pokręciła głową.

- Podobasz mi się właśnie dlatego, że różnisz się od innych mężczyzn. Jesteś wrażliwy i nieśmiały. Dobrze się z tobą czuję, wiesz? Bezpiecznie. Mężczyźni ciągle odgrywają rolę twardzieli, takich macho. Ty tego nie robisz. Jesteś szczerzy, delikatny, nie oglądasz się za każdą piękną dziewczyną, która przechodzi obok, nie flirtujesz. Nienawidzę gierki i podchodów, nie znoszę fałszu. A my... Mam wrażenie, że nadajemy na tych samych falach, dlatego bez strachu zapytałam, czy mogę cię pocałować.

- No a gdybym jednak rzucił się na ciebie? - spytał zaciekawiony.

Roześmiała się wesoło.

- Uznałabym, że za dużo wypieś. Nie należę do kobiet, na które mężczyźni się rzucają. A ty nie należysz do mężczyzn, którzy rzucają się na kobiety.

Zmrużył oczy.

- I to mnie nie czyni nudziarzem i sztywniakiem?

- To cię czyni wspaniałym, uroczym facetem - szepnęła czule. Wspięła się na palce, objęła go za szyję i delikatnie musnęła wargami jego usta.

Do niczego więcej nie dążyła - to miał być jeden krótki, niewinny pocałunek. Po prostu czując rodzącą się między nimi więź, chciała ją jakoś umocnić. Pogłębić.

Wiedziała, że nie może pozwolić sobie na nic więcej, by nie wzbudzić niepokoju Deva. Jeszcze zacznie się zastanawiać, co ją naszło. Nie chciała go wystraszyć, żądać więcej, niż mógł lub chciał jej dać. Pocałunek miał być przypieczętowaniem przyjaźni, oznaką sympatii.

Nie spodziewała się jednak, że przeszyje ją dreszcz. Że Devlinowi ręka zadrży, że serce zabije mu mocniej. Oderwała usta od jego ust. Ich twarze dzieliły ze trzy centymetry, czuła na wargach jego oddech. Wciąż stała na palcach i wciąż obejmowała go za szyję.

- Mogę jeszcze raz? - spytała szeptem.

- Proszę - odparł zmienionym głosem.

Tym razem przywarła do niego całym ciałem.

Kiedy zbliżyła usta do jego ust, usłyszała, jak Devlin wypowiada szeptem jej imię. Zakręciło się jej w głowie.

- Tabi, moja słodka Tabi.

Jedną rękę zacisnął mocniej na jej dłoni, drugą nieśmiało, jakby z wahaniem, objął ją w talii. Miała wrażenie, że oboje są równie zdenerwowani i speszeni. Pomyślała sobie, że powinna przejąć inicjatywę. Że taki wrażliwy człowiek jak Dev nie będzie chciał się narzucać.

Dziwne to było: prowadziła, wyznaczała granicę. Dawało jej to niesamowite poczucie swobody. Nigdy nie czuła się tak wolna, jak w objęciach Devlina. Nie musiała się zastanawiać, co partner zrobi, czy ją zaakceptuje, czy odrzuci. Wsunęła palce w jego lśniące gęste włosy, poruszyła biodrami. Usłyszała cichy jęk rozkoszy. Ogarnęła ją euforia. Dev nie całował jej z poczucia obowiązku albo żeby nie sprawić jej przykrości. Reagował na jej dotyk. Wyraźnie czuła jego podniecenie.

Zamknęła oczy. Stał w lekkim rozkroku, oparty plecami o burzę, ona zaś stała pomiędzy jego nogami. Ciepło, jakie od niego biło, przenikało przez cienki materiał jej sukienki. Nie napierał, nie naciskał; pozwalał, by trzymała ster, by decydowała o tym, jak daleko mogą się posunąć.

Budziło się w niej uśpione pożądanie. Zdała sobie sprawę, że pragnie czegoś więcej - mocniej się wtulić, goręcej całować. Uważaj, ostrzegł ją wewnętrzny

głos, bo go wystraszysz. Nie rób nic, co by mogło zepsuć waszą znajomość.

Zacisnął uda, a rękę, która spoczywała na jej talii, przesunął niżej na biodro. Zaczął je gładzić, a językiem i wargami wyczyniał cuda. Tabicie zakręciło się w głowie. Jeszcze nigdy w życiu nie przeżywała tylu silnych doznań, nie odbierała tylu cudownych bodźców. Ale wiedziała, że tym pieścizotom musi położyć kres. Resztkami sił, pokonując wewnętrzny opór, bo wcale nie chciała nic kończyć, oderwała usta od ust Deva.

- Tabi?

- Już dobrze, Dev - szepnęła. - Wiem, że wszystko dzieje się trochę za szybko. Ale nie martw się, panuję nad sytuacją.

- Tabi... Ja... - Zamilkł i zmarszczył czoło, jakby szukał właściwych słów.

- Nie. - Przytknęła palce do jego ust. - Nic nie mów. Oboje jesteśmy zaskoczeni, nie spodziewaliśmy się tego. Niczego jednak nie zepsuję, przysięgam. To pewnie przez wino i ten księżyc na niebie. Widać, że żadne z nas nie jest szczególnie biegłe w sztuce uwodzenia. - Uśmiechnęła się figlarnie.

Przez chwilę milczał.

- Ja na pewno nie jestem - szepnął w końcu.

- Wiem. I to jedna z rzeczy, która tak bardzo mi się w tobie podoba - przyznała szczerze.

- Naprawdę?

- Tak. Mam wrażenie, że cię znam. Że cię rozu-

miem. Że wyznajemy podobne wartości. Że wierzymy w to samo i odczuwamy ten sam strach.

- Strach?

- Przed angażowaniem się w nowy związek. Chcemy, żeby on coś znaczył. Nie interesują nas powierzchowne znajomości, przygody wakacyjne. Och, Dev, tak dobrze cię znam. - Pokręciła ze zdumieniem głową. - To niesamowite, jak wiele nas łączy. Wiesz, nic dziwnego, że nie pasujemy do reszty towarzystwa. Jesteśmy odludkami, prawda?

- W pewnym sensie. - Roześmiał się. - Podejrzewam, że przygotowując broszury reklamowe, armator faktycznie miał przed oczami nieco innych pasażerów niż ty i ja. Bardziej... hm, rozrywkowych. Ja wybrałem się w rejs w celach służbowych. A ty, Tabi? Co cię skłoniło do zakupu tej wycieczki?

- Marzenia - odparła cicho. - Od dawna marzyłam o tym, żeby popływać luksusowym statkiem po Morzu Karaibskim. Ciepłe noce, słoneczne dni, egzotyka, mnóstwo nowych wrażeń... Nie wiem, pewnie mi się wydawało, że na statku przeżyję metamorfozę, że stanę się kimś innym. Ale już po pierwszym dniu uwiadomiłam sobie, że nadal jestem tą samą osobą, którą byłam na lądzie, i te pozostałe dziesięć dni niczego we mnie nie zmienia.

- Naprawdę chciałaś być inna? Chociaż przez dziesięć dni?

- Każda kobieta, która uważa się za przeciętną, czasem marzy o tym, żeby choć na moment stać się

femme fatale. Żeby przez dzień czy dwa wieść życie jak z bajki. Mężczyźni nie mają takich marzeń?

Zaskoczyło go jej pytanie.

- Mają. Skłamałbym, mówiąc, że nie. W ostatnim czasie wielokrotnie marzyłem o tym, żeby być kimś innym.

- Och nie! - zaprotestowała. - Nie chciałabym, żebyś cokolwiek w sobie zmieniał.

- Odpowiadam ci taki, jaki jestem teraz?

- Tak. - Czubkami palców gładziła go po twarzy, jakby próbowała zetrzeć z niej oznaki niepewności.

- Bardzo mi się podoba to, co widzę. I nie zmieniłabym w tobie absolutnie nic.

Zerknął na hebanową laskę zawieszoną na poręczy burty.

- Nawet tego?

Uśmiechnęła się.

- Twój wypadek wiązał się z bólem, z długą rehabilitacją. Dlatego wolałabym, żeby nigdy się nie zdarzył. Ale jeśli chodzi o laskę, to nie, w niczym mi nie przeszkadza. Dodaje ci powagi, podobnie jak siwizna.

- Wielkie dzięki - odrzekł z nutą ironii. - Siwizna to oznaka zbliżającej się starości. Mam już prawie czwarty krzyżyk na karku.

Delikatnie zmierzwiła mu włosy.

- Uwielbiam te srebrne niteczki. Wyglądają jak cieniutkie promienie księżyca prześwitujące przez czerni nieba.

- Chyba, moja słodka Tabi, naczytałaś się zbyt wiele romansideł, ale nie narzekam. - Wciąż stała uwięziona między jego nogami, a on obejmował ją w talii. - Czyli co? Jesteśmy parą marzycieli, którzy muszą stawić czoło rzeczywistości?

- Ładnie to ująłeś. - Czy jej się wydawało, czy przesunął dłoń nieco niżej? Nie, chyba ponosi ją fantazja.

- Wiesz, jeśli rzeczywistość wygląda tak jak teraz, to wolę ją znacznie bardziej od romantycznych przygód na wzburzonych morzach.

Wstrzymała oddech. Czy aby się nie przesłyszała?

- Ja też, Dev - szepnęła. - Dawno nie spędziłam tak uroczego wieczoru. Żałuję tylko, że wciąż odczuwasz skutki tego paskudnego incydentu na St. Regis.

- Och nie, czuję się już całkiem dobrze - zapewnił ją szybko.

- Nie musisz udawać. - Obdarzyła go ciepłym uśmiechem. - Nie zapominaj, że to ja cię znalazłam w tej alejce. Wiem, jak wyglądałeś i jak bardzo dalek jesteś obolały. Myślę, że czas najwyższy, abyś wrócił do łóżka. Lekarz zalecił ci dużo odpoczynku.

Wysunawszy się z jego objęć, wzięła go za rękę i skierowała się w stronę schodów prowadzących na niższy pokład.

- Ukołyszysz mnie do snu? - spytał, posłusznie wędrując za nią do kabiny.

Przez moment analizowała jego ton: czy brzmiała

w nim prośba, nuta nadziei, a może po prostu on żartuje? A potem przemknęło jej przez myśl, że może, tak jak wczoraj, boli go głowa i w ten nieco zawołowany sposób prosi ją, by znów pomasaowała mu skronie.

- Boli cię głowa? - zapytała.

- Nie -, odparł odruchowo, po czym ugryzł się w język, jakby pożałował swoich słów. Spojrzawszy na Tabithę, wykrzywił wargi w łobuzerskim uśmiechu. - Po prostu bardzo przyjemnie mi się wczoraj zasypiało ze świadomością, że jesteś obok.

- Nikt nie lubi cierpieć w samotności. - Szli długim korytarzem, po obu stronach którego ciągnął się rząd drzwi do kabin pasażerskich. - Cieszę się, że mogłam ci pomóc.

Odetchnęła z ulgą. A więc nie domyślił się, że zasnęła na jego łóżku i opuściła go dopiero nad ranem. Wcześniej nie była tego pewna.

- Dobranoc, Dev - powiedziała, zatrzymując się przed drzwiami swojej kabiny. - Miłych snów.

- Zadzwoń rano do ciebie. Może będziesz miała ochotę zjeść ze mną śniadanie? - dodał speszony.

- Bardzo chętnie. - Pogładziła go po policzku, chcąc rozproszyć jego obawy, po czym wspięła się na palce i musnęła jego usta. - Do zobaczenia rano.

Zanim zdążył zareagować, weszła do swojej kabiny i przekręciła klucz w zamku. Była zaskoczona własnym tupetem i odwagą.

Przez moment Devlin wpatrywał się w zamknięte

drzwi. Zacisnął mocniej rękę na lasce. Psiakość! Nie był przyzwyczajony do tego, by kobieta wodziła go za nos. W dodatku nigdy nie grzeszył nadmierną cierpliwością.

Przeklinając cicho, ruszył korytarzem do własnego pokoju. Ten głupi rejs kończy się za pięć dni. Innymi słowy ma niewiele czasu na to, by pozwolić się uwieść. Gdyby tylko mógł przejąć sprawy w swoje ręce! Ale wolał nie ryzykować. No cóż, nie powinienem narzekać, pomyślał, wsuwając klucz do zamka. Całkiem daleko zaszli w ciągu dzisiejszego wieczoru. Wystarczyło sprytnie zagrać rolę sympatycznego, nieśmiałego kaleki. Tabitha uwierzyła mu i wykazała inicjatywę. Pokręcił ze śmiechem głową. I pomyśleć, że przez ostatnią godzinę, gdy pili drinki w barze, zastanawiał się, w jaki sposób wziąć ją w ramiona, tak by jej nie wystraszyć.

Na szczęście wszystko dobrze się ułożyło; szkoda tylko, że nie trwało dłużej. Zamknął za sobą drzwi i odłożył hebanową laskę. Prędzej czy później wylądują w łóżku, po prostu musi uzbroić się w cierpliwość. Do upolowania małego kotka nie używa się sztucera; sztucera używa się na grubą zwierzynę. Do kotka potrzeba subtelności.

Dziwne, pomyślał, przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze - nigdy dotąd nie podejrzewałby się o subtelność. No ale nigdy dotąd nie próbował zdobyć takiej kobiety, jak Tabitha Graham. Cóż, całe życie człowiek uczy się nowych rzeczy. Usiadłszy na brzegu

łóżka, chwycił się za zębra. Grymas bólu wykrzywił jego twarz.

Nauka nauką, ale - psiakrew! - za stary jest na zabawę w żołnierzyka. Jak, u licha, dał się w to wrobić? Dlaczego uległ Delaneyowi i przyjął tę robotę na St. Regis?

Żałując, że nie ma pod ręką jeszcze jednej butelki whisky, ściągnął ubranie i wsunął się pod kołdrę. Było bez porównania przyjemniej, kiedy Tabitha skakała wokół niego, starając się mu dogodzić. Nie należało zaprzeczać, kiedy spytała go o ból głowy. Niestety odpowiedział odruchowo i kiedy zorientował się, że popełnił błąd, było już za późno. Gdyby w porę ugryzł się w język, Tabitha siedziałaby teraz obok niego i swoimi cudownymi paluszkami masowała mu skronie.

Och, ty głupcze! Niepocieszony, wyciągnął rękę w stronę lampy i zgasił światło. Leżał w ciemnościach, wpatrując się w okno. Na zewnątrz księżyc rozpraszał mrok.

Tabitha nie miała najmniejszego pojęcia, z kim się zadaje. Stworzyła w myślach obraz idealnego mężczyzny, którym on zdecydowanie nie jest. Widziała w nim łagodnego, wrażliwego człowieka. Takiego, o jakim marzyła. Jakiego chciała spotkać. Liczył na to, że jeżeli w ciągu następnych kilku dni będzie ostrożny i nie popełni błędów, Tabi wdrapie mu się na kolana niczym mały ufny kiciuś. A wtedy on się postara, delikatnie i subtelnie, żeby kiciuś zaczął głośno mruzczyć.

Z tym niezłomnym postanowieniem zamknął oczy. Sprawić, by Tabitha mruzczała... Nie wiedział, dlaczego to jest takie ważne, ale zanim zdążył tę sprawę przemyśleć, zapadł w głęboki sen.

Według informacji wydrukowanych w kolorowej broszurze reklamowej, po południu statek miał przybić do jednej z kolejnych mało znanych karaibskich wysepek. Tabitha nie mogła się doczekać zejścia na ląd. Przy śniadaniu z wypiekami na twarzy czytała opis wysepki zamieszczony w gazetce pokładowej.

- Na zachodnim cyplu powstała osada zamieszkała przez emigrantów ze Stanów - poinformowała Devlina, nabierając na widelec kawałek świeżej papai.
- Podobno jest wśród nich wielu artystów. I chętnie zapraszają do siebie pasażerów ze statku.

- Wybierzemy się?

- Koniecznie! Tam się mogą dziać fascynujące rzeczy!

- Wyobrażam sobie. - Devlin roześmiał się cicho.

- Mam na myśli sztukę i rzemiosło - oznajmiła sztywno.

- Ja też. Tylu artystów stłoczonych na stosunkowo niewielkiej przestrzeni... to musi zaowocować czymś twórczym i niezwykłym.

- Nabijasz się ze mnie - powiedziała z udawaną pretensją w głosie. Udawaną, bo tak naprawdę wcale jej to nie przeszkadzało. Cieszyła się, że potrafią z siebie żartować; to była dobra oznaka.

- Trochę... - przyznał ze skruchą. - Ale nie przejmuj się. Chętnie zwiedzę tę twoją artystyczną wioskę. Jeszcze kawy?

- Poproszę. - Nagle zmarszczyła czoło. - Na pewno czujesz się na siłach, żeby iść? Jak twoje zębra?

- Jeszcze trochę obolałe, ale nie na tyle, żebym nie mógł dotrzymać ci towarzystwa.

No i dotrzymywał. Tabitha kilka razy w ciągu popołudnia pytała, czy nie chce odpocząć, bo może narzuciła zbyt szybkie tempo, ale mówił, że wszystko jest w porządku. Wstąpili do małego sklepiku, w którym sprzedawano wyroby miejscowych artystów - malarzy, rzeźbiarzy, tkaczy, ceramików. Tabitha raz po raz wznosiła okrzyk zachwyty.

- Ojej, Dev, spójrz na tego wspaniałego smoka!
- zawołała, wskazując wiszącą na ścianie tkaninę.
- Będzie się wspaniale prezentował u mnie nad kominkiem.

Devlin ściągnął brwi.

- Hm, faktycznie. Ma taki proszący wyraz oczu, jakby marzył o tym, żeby go stąd zabrano. Ale potencjalnych kupców pewnie zniechęcają jego wielkie zębiska. No i to, że zije ogniem. Kto by chciał takiego potwora?

- Jak to kto? Ja! Jest cudowny! - Tabitha zaczęła związać tkaninę w rulon. - W dodatku jest przedstawiony w identycznej pozie jak taki mały mosiężny smok, którego mam w domu.

- Ciekawe, jak trafiły do bestiariów? Mam na myśli smoki. Z bajek dla dzieci?

- Wątpię, żeby mnisi korzystali z takich źródeł. Raczej opisywali duże węże, takie jak pytony. Zresztą istnieje na świecie wiele gadów, które wyglądem przypominają smoki. Warany, jaszczury...

- Słuchaj, jeśli naprawdę ci się ten potwór podoba, to chciałabym ci go sprezentować. W ramach rekompensaty za tego drewnianego smoka, który został na St. Regis.

- Dziękuję, nie trzeba - zaprotestowała. Było jej jednak przyjemnie, że wpadł na taki pomysł.

- Proszę cię, Tabi. Zgódź się.

Słyszac ten ciepły i błagalny ton, uśmiechnęła się promiennie i skinęła głową na znak zgody. Widziała, że autentycznie mu na tym zależy.

- Dobrze, Dev. To miło z twojej strony. Będę myślała o tobie, ilekroć na niego spojrzę - dodała, błyskając w uśmiechu zębami.

- Tacy jesteśmy podobni? Ja też zieję ogniem? Czy może tak jak on groźnie wymachuję ogonem?

- Nie, ale... dostrzegam pewne podobieństwo w oczach - odparła z namysłem, po czym zaczerwieniła się, bo zdała sobie sprawę, że to prawda.

Tego wieczoru znów weszła do sali restauracyjnej, trzymając pod rękę Devlina. Była w doskonałym nastroju, tryskała humorem, błyszczała inteligencją. Devlin pozwolił jej grać pierwsze skrzypce. Na kolację zamówił to samo co ona, turbota w sosie ogór-

kowym, potem nalegał, żeby ona wybrała wino. W powietrzu wyczuwało się magię. Cały czas prowadzili błyskotliwą rozmowę, przeskakując swobodnie z tematu na temat.

Uradowana, że w Devlinie spotkała bratnią duszę, że ich znajomość stopniowo przeradza się w coś głębszego i fascynującego, nie zauważała spojrzeń, jakie coraz częściej kierowali w jej stronę siedzący w pobliżu pasażerowie. Jej ożywienie, promiennosc i radość były jak magnes, który przyciąga wzrok. Jednakże Tabicie, która całe życie występowała w roli obserwatora, nawet nie przyszło do głowy, że tym razem nie podpira ściany, lecz jest w centrum uwagi.

Z kolei Devlin odkrył w sobie zdolności, o które się nawet nie podejrzewał. Na przykład kiedy po kolacji siedzieli w barze, wyczuł niebezpieczeństwo, zanim jeszcze ono podeszło do ich stolika. Tabitha akurat rozprawiła z przejęciem o bazyliškach:

- ...zabijają wzrokiem.

Nie roniąc ani słowa z jej wypowiedzi, Devlin wpatrywał się intensywnie w rosnącego blondyna, który wolno kierował się w ich stronę.

- Niektórzy uważają, że to kompletnie fantastyczny, wymyślony stwór, inni natomiast umieszczają go w świecie węży. Twierdzą, że to jeden z tych gadów, które plują trującym jadem. Biedni mnisi zazwyczaj nie mieli możliwości obejrzenia zwierząt z dalekich krajów, musieli polegać na cudzych relacjach. W każdym razie bazylišek uśmiercał każde stworzenie,

które odważyło się spojrzeć mu w oczy. Podobno tylko jedno zwierzę się go nie bało: łośnica.

Devlin usiłował przesyć bazyliżkowym wzrokiem blondyna, który stanął za Tabithą. Nie zdołał go jednak uśmiercić, może dlatego, że blondyn nie odrywał spojrzenia od Tabithy. Przypuszczalnie doszedł do wniosku, zresztą jak najbardziej słusznego, że mężczyzna z łośnią nie jest dobrym partnerem na parkiecie. A tego wieczoru grał wyjątkowo świetny zespół. Devlin wyczuł, że za moment Tabitha zostanie poproszona do tańca.

- Przepraszam. - Blondyn ukazał w uśmiechu rząd idealnie równych białych zębów, takich, jakie widuje się jedynie w Kalifornii. - Czy można panią prosić do tańca?

Tabitha zerknęła na niego zaskoczona i zmieszana. Zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, blondyn zwrócił się do Devlina:

- Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli na kilka minut porwę mu partnerkę?

Reszty zdania nie wypowiedział na głos, lecz Devlin bez trudu wyczytał je z jego twarzy. „Ty i tak nie możesz tańczyć, więc dlaczego mam ci nie odebrać tej kobiety”?

Wyzwanie to podziałało na Devlina jak płachta na byka. Nigdy nie był zaborczy, a nawet gdyby, to i tak wiedział, że Tabitha nie jest typem kobiety, która chciałaby, by mężczyźni walczyli o jej względy. Nie lubiła fałszu ani gierki. Mimo to bezczelność

blondyna sprawiła, że ledwo był w stanie pohamować wściekłość.

- Słucham? - Tabitha popatrzyła na intruza, otwierając szeroko wielkie kocie oczy.

- Spytałem, czy można panią prosić do tańca - powtórzył z tym swoim promiennym kalifornijskim uśmiechem mężczyzna. - Mam na imię Steve. Steve Waverly. - Pewność siebie wylewała się z każdej komórki jego ciała.

- Do tańca...? - szepnęła Tabitha. Była speszona, ale zaproszenie sprawiło jej wyraźną przyjemność. - To miło z pana strony, Steve, ale obawiam się, że nie bardzo umiem tańczyć. Nie miałam zbyt wielu okazji. A poza tym właśnie opowiadałam panu Colterowi o bazyliśkach. I łasicach.

- O łasicach? - Uśmiech na twarzy blondyna przygasł.

- Łasica symbolizuje odwagę i zawziętość - wyjaśniła Tabitha. - Według legend używano tych małych drapieżnych zwierzątek do walki z bazyliśkami. Ale może to nie były łasice, a mangusty. Mangusty tępią jadowite węże, a ponieważ bazyliśzek bywa zaliczany do węży, to...

Urwała, bo nagle dobiegł ją przytłumiony jęk. Natychmiast obróciła głowę i z zatroskaniem w oczach popatrzyła na Devlina, który starał się uśmiechnąć.

- Przepraszam, kotku, żebra znów mi się dają we znaki. Lekarz uprzedzał, że przez kilka dni mogą

boleć... - Wsunął rękę pod marynarkę, delikatnie przyciskając ją do boku. - Obawiam się też, że podczas chodzenia po wyspie trochę nadwerżyłem nogę. Ale nie przejmuj się. Idź potańczyć, a ja zamówię jeszcze jednego drinka i łyknę ze dwie aspiryny. Alkohol powinien stępić ból...

Zapominając o obecności Steve'a, Tabitha pode-rwała się na nogi i ujęła Devlina pod ramię.

- Mowy nie ma! Nie będziesz tu siedział i popijał tabletek alkoholem! Kompletnie bez sensu! Musisz się położyć do łóżka i odpocząć. - Westchnęła głośno. - Nie powinnam była zabierać cię do tej osady artystów. Jak mogłam postąpić tak bezmyślnie? Boże, najpierw ciągam cię z sobą po wyspie, a teraz zawracam głowę bazyliškami, kiedy powinieneś spać. Wstań, Devlin. Wracamy do twojej kabiny. No chodź...

Wspaniałomyślnie zgodził się, aby pomogła mu się podnieść. Zaciskając rękę na lasce, uśmiechnął się niewinnie do swojego rywala.

- Wybacz nam pan, Steve, że go opuszczamy, prawda?

Tabitha też nagle przypomniała sobie o stojącym tuż obok blondynie.

- Tak, bardzo przepraszamy. - Posłała mu czarują-cy uśmiech. - Devlin jeszcze nie doszedł do siebie po brutalnej napaści na St. Regis. Potrzebuje dużo odpoczynku. Dobranoc.

Obejmując Devlina w pasie, skierowała się do wyjścia. Tuż przy drzwiach Dev nagle przystanął.

- Ale ze mnie sklerotyk! Zapomniałem o napiwku. Poczekaj, zaraz wrócę.

- Ja mogę zanieść... - zaczęła.

- Nie, zostań. To zajmie tylko chwilkę.

Pogładziwszy ją czule po policzku, wrócił na załoczoną salę. Wymachując laską, bezceremonialnie torował sobie drogę wśród tancerzy, aż wreszcie doszedł do stolika, przy którym siedział samotnie Waverly. Zaskoczony blondyn uniósł głowę.

- Słuchaj, łasico. - Gdyby głos mógł mrozić, Waverly zamieniłby się w sopel lodu. - Powinniśmy sobie coś wyjaśnić, dzięki temu umkniemy nieporozumień. Trzymaj się z dala od panny Graham. Jeśli jeszcze raz ją zaczepisz, gorzko tego pożałujesz. Płynię z nami mnóstwo bardziej egzotycznych zwierzątek, różnych lwic i tygrysic, więc łapy precz od mojej buraski.

Przez twarz blondyna przepływały różne emocje: niepewność, oburzenie, wreszcie rezygnacja. Devlin pokiwał z satysfakcją głową. Nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia; starszy i doświadczony, bez trudu powalał na łopatki swoich rywali, nawet tych dużo młodszych. Wystarczyło ich umiejętnie postraszyć, a on to potrafił jak mało kto.

- Dobranoc, panie Waverly - mruknął, ponownie kierując się ku wyjściu.

Ponad głowami podrygujących tancerzy dojrzał Tabithę, która rozglądała się, poszukując go wzrokiem. Zadowolony z siebie, uśmiechnął się pod no-

sem. Zbliżając się do drzwi, pamiętał o tym, żeby nadać swojej twarzy lekki grymas bólu.

- Zostawiłeś napiwek? - Tak jak poprzednio, Tabitha wzięła go pod rękę.

- Zostawiłem.

- Na pewno kelner się ucieszy.

- Mam nadzieję.

- Jak noga? - spytała, gdy mocniej się o nią oparł.

- Boli - przyznał.

Niestety była to prawda; nie musiał kłamać. Ta cholerna noga bardzo mu dzisiaj dokuczała. Żebra zresztą też. Może w wieku czterdziestu lat człowiek ma więcej pewności siebie i doświadczenia, by skutecznie usadzić młodszego rywala, ale rany już się na nim nie goją jak na psie. Ot, plusy i minusy dojrzałości...

Ale gotów był cierpieć, by widzieć to cudowne zatroskanie w oczach Tabithy, gdy prowadziła go korytarzem do kabiny. Tak okropnie chciała mu pomóc, ulżyć w cierpieniu! A przecież wieczór jeszcze się nie skończył...

- Bardzo boli? - spytała, przytrzymując go, kiedy otwierał drzwi kabiny.

- Bywało lepiej - odparł ponuro.

Przygryzła wargę. Przez chwilę milczała.

- Słuchaj, może włożysz szlafrok albo piżamę, a ja ci rozmasuję nogę, co? - zaproponowała wreszcie.

- Może to coś da? Mogłabym też przygotować ciepły kompres na twoje żebra. To znaczy, jeśli chcesz...

Uśmiechnął się z zadowoleniem, po czym skrzywił się lekko, udając, że to grymas bólu, a nie radości.

- Marzę o tym, Tabi. Nie wiem, jak ci dziękować.
- Oparł łaskę o ścianę, po czym ostrożnie, by nie stracić równowagi, skierował się do łazienki. - Przebiorę się... - Dumny był z siebie, że mówi tak spokojnie, mimo że serce waliło mu jak młotem.

Tabitha czekała na niego, patrząc przez okno na ciemne morze. Kiedy parę minut później wyłonił się z łazienki, niedbale owinięty w pasie ręcznikiem kąpielowym, Tabitha zerknęła tęsknie na jego goły tors, po czym zawstydzona przeniosła spojrzenie na jego twarz.

- Przepraszam. - Uśmiechnął się. - Nie mam szlafroka.

- Trudno. Połóż się, a ja się zajmę nogą. Chociaż nie, może najpierw zorganizuję ciepły kompres...
- Rozglądała się nerwowo po pokoju, wyraźnie unikając wzrokiem Deva.

On zaś opadł ciężko na posłane łóżko, a Tabitha pospiesznie wybiegła do łazienki - po to, by zamoczyć ściereczkę w ciepłej wodzie, a co ważniejsze, by zapanować nad podnieceniem. Ucieszył się, że widok jego nieubranego ciała wprowadził ją w taki popłoch. To by znaczyło, że widzi w nim nie bezbronnego kalekę czy przyjaciela, lecz mężczyznę. Reszta jest tylko kwestią czasu.

Sięgnąwszy po kołdrę, Tabitha zaczęła okrywać nią Devlina. Kiedy maksymalnie go zasłoniła, przystąpiła

do pracy. Przy pierwszym dotyku jej ciepłych, delikatnych palców z błogim westchnieniem zamknął oczy. Na dwoje babka wróżyła, przemknęło mu przez myśl. Masaż bowiem działa odprężająco, a zarazem podniecająco. Wiedział jednak, co zwycięży. Usta czasem kłamią, ale nie ciało.

- Jezu, jak dobrze - zamruczał, kiedy uciskała bolącą nogę. - To o wiele skuteczniejszy środek od aspiryny.

- Co ci się w nią stało, Dev? - spytała cicho, jakby bojąc się naruszać jego prywatność, a jednocześnie jakby dłużej nie umiała powściągnąć ciekawości.

- Parę lat temu miałem wypadek - odparł ze wzruszeniem ramion. - Skręciłem w prawo zamiast w lewo.

- Na nartach?

- Nie, samochodem. Zostałem podziurawiony odłamkami szkła.

- Widać blizny - szepnęła, delikatnie masując kolano, gdzie blizn było najwięcej.

Uśmiechnął się, słysząc tkliwość w jej głosie. Hm, jak dobrze mieć kogoś, kto się o nas tak czule troszczy. Kto by pomyślał, że nagle ogarnie go tęsknota nie za seksem, lecz za ciepłem i serdecznością? W przeszłości wystarczało mu, jeśli od czasu do czasu miał partnerkę do miłosnych igraszek; teraz pragnął czegoś więcej.

Uświadomił sobie, że szalenie podoba mu się nie tylko troska, jaką Tabitha go otacza, ale również rola,

jaką grał na jej życzenie. Uważała go za człowieka inteligentnego, biegłego w sztuce konwersacji, obytego. Za dżentelmena. I w jej towarzystwie faktycznie czuł się tak, jakby był kulturalnym, wyrobionym towarzyszko biznesmenem, który wybrał się w rejs zarówno w celach służbowych, jak i dla przyjemności. Boże! Biedna Tabi byłaby przerażona, gdyby wiedziała, jaki napiwek zostawił dziś w barze!

Ale Waverly zasłużył na reprimendę. To on, Devlin Colter, odkrył Tabithę Graham i wara innym od niej! Nie pozwoli, aby jakiś chłystek mu ją odebrał, w dodatku teraz, gdy jest tak bliski zaciągnięcia jej do łóżka!

Jeśli chodzi o ścisłość, właśnie na nim teraz siedziała. Na jego łóżku. Czuł, jak pochyła się, poprawia ciepły kompres na żebrach.

- Lepiej? - spytała po chwili.

- O niebo lepiej. Jesteś urodzoną pielęgniarką, Tabi. Jako księgarz minęłaś się z powołaniem...

Oczy wciąż miał zamknięte. Ręce na jego nodze zgubiły rytm. Uzmysłował sobie, że Tabi pragnie dotknąć go trochę wyżej, ale się krępuje; nie wie, jakiego użyć pretekstu. Może powinien pograżyć się we śnie? Tak jak zeszłym razem. Wtedy została u niego przez całą noc. Hm, gdyby dziś też się położyła... Warto spróbować. Ziewnął.

- Pewnie jesteś strasznie zmęczony. Myślisz, że zaśniesz z tą bolącą nogą?

- Już tak bardzo nie boli - przyznał niskim głosem.

Zastanawia! się, ile jeszcze zdoła wytrzymać i kiedy wreszcie Tabi zobaczy, że jego ciało reaguje na jej dotyk. Psiakrew, przecież nie ma trzynastu lat! Jest rozwiedziona. Bez względu na to, jak nieudolnym kochankiem był jej mąż, powinna się orientować, że mężczyzna, którego się tak masuje... Może zwyczajnie w świecie powinien się na nią rzucić?

Nie, pomyślał, nie bądź w gorącej wodzie kąpany. Musisz uzbroić się w cierpliwość. I czekać. Prędzej czy później Tabitha przejdzie do natarcia, a ty nie zepsujesz swojego wizerunku - nadal będziesz uchodził w jej oczach za wrażliwego dżentelmena. Zacisnął pięści. Jak długo jeszcze, jak długo?

Wyczuwał niepokój Tabithy. Świadczył o tym jej przyśpieszony oddech i ogromne skupienie, jakby bała się myśleć o czymkolwiek innym niż tym małym fragmencie nogi, który masowała. Jej udo przylegało do jego uda. Z trudem się hamował, by nie zacisnąć na nim ręki.

Kiedy pochyliła się, by poprawić kołdrę, na moment przestał oddychać. Może teraz? Wczoraj wieczorem zdobyła się na odwagę, żeby pocałować go na dobranoc. Jeżeli dziś znów to zrobi, wtedy już jej nie puści, obejmie ją i przyciągnie do siebie.

Wyobraźnia zaczęła podsuwać mu różne obrazy. Hm, wtoczy się na Tabi, uwięzi ją pod sobą, a jej okrzyk sprzeciwu zagłuszy namiętym pocałunkiem.

Nie, nie zdoła się powstrzymać. Gotów był podjąć

ryzyko, stracić status dżentelmena. Kiedy tylko Tabi zbliży usta... Psiakość, jak długo można czekać?

- Dobranoc, Dev. Zobaczymy się na śniadaniu.
- Wyprostowała się, zabrała rękę.

Otworzywszy oczy, nagle zdał sobie sprawę, że nie będzie żadnego pocałunku na dobranoc. Tabitha doszła do drzwi, zanim otrząsnął się ze zdumienia. Ale wtedy było już za późno na jakiegokolwiek działanie. Chwilę potem drzwi się za nią zamknęły.

- Do jasnej cholery! - Wyładowując frustrację, uderzył pięścią w poduszkę. - Niech to szlag trafi! Co się stało? Co ja zrobiłem nie tak?

Miał wrażenie, że noga dokucza mu bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Tabitha mogłaby mu udzielić odpowiedzi na pytanie, co się stało. Po prostu stchórzyła. Nie starczyło jej odwagi, aby wykonać pierwszy krok. Wszystko zależało od niej, gdyż Devlin był zbyt nieśmiały i wrażliwy, aby przejąć inicjatywę. Cholera, zaprzepaściła szansę!

Wróciwszy do siebie, krążyła po maleńkiej kabinie, od łóżka do ściany i do drzwi, usiłując sobie wyobrazić, co by było, gdyby od masażu przeszła do pieśczoł. Była prawie pewna, że Devlin by jej nie odtrącił. Masując mu nogę, miała wrażenie, że zamiast się odprężyć, jego ciało staje się coraz bardziej twarde i napięte. Istniało tylko jedno wytłumaczenie. Musiał się podniecić, kiedy go masowała. Biedaczysko. Przy-

puszczalnie zastanawiał się, jakie tak naprawdę miała intencje.

No właśnie: jakie? Proponując masaż, na pewno nie myślała o tym, by Devlina uwieść. Chciała wyłącznie ulżyć jego cierpieniu, złagodzić ból w poobijanych żebrach i potłuczonej nodze. Ale w trakcie masażu uzmysłowiła sobie, że oboje pragną czegoś więcej. I wtedy straciła zimną krew.

Fakt, że wzajemnie się pożądali, zaskoczył ją i wstrząsnął nią dogłębnie. Dziwne, przecież nie była dziewicą, lecz rozwódką! Z drugiej strony sposób, w jaki ją mąż traktował, nieustannie dając jej do zrozumienia, że jest nudna i nieatrakcyjna, odcisnął na niej piętno. Dlatego tak trudno było jej uwierzyć, że spotkała mężczyznę, który ma odmienne zdanie. Któremu się podoba.

Tak bardzo są do siebie podobni, ona i Dev! Chyba nawet on jest bardziej nieśmiały i zamknięty w sobie niż ona. Bądź co bądź on ma za sobą nie tylko nieudane małżeństwo, ale również groźny wypadek samochodowy. Obserwowała go dyskretnie podczas pierwszych dni rejsu: trzymał się na uboczu, z nikim nie rozmawiał.

Z nich dwojga był boleśniej doświadczony przez los, a zatem i ostrożniejszy w nawiązywaniu kontaktów. Czyli to, w jakim kierunku potoczy się ich znajomość, zależy wyłącznie od niej. Innymi słowy, jeżeli chciała, aby ich przyjaźń przerodziła się w coś głębszego, powinna wziąć sprawy w swoje ręce. Devlin tego nie uczyni.

No dobrze, ale co ma zrobić? Uwieść go? Ona,

której tak długo wmawiano, że jest zimna, pulchna, niepociągająca, aż sama w to uwierzyła? Ona, której mąż twierdził, że jest do niczego w łóżku?

Devlin Colter nie jest jednak jej mężem. Różnili się z Gregiem jak dzień od nocy. Devlin nie oczekiwałyby od swej partnerki zdolności akrobatycznych w łóżku. A sam, była o tym głęboko przekonana, mimo swojej siły i postury byłyby bardzo delikatny.

- Spójrz prawdzie w oczy - powiedziała do swojego odbicia w lustrze. - Zakochałaś się. Ty, która upierałaś się, że nie bawi cię wakacyjny romans.

Czy mogłaby pozwolić na to, by ten wspaniały mężczyzna znikł z jej życia? Czy dla własnego dobra nie powinna podjąć choćby minimalnych starań, aby umocnić więź uczuciową, jaka się między nimi powoli rodzi?

Co by się stało, gdyby się dzisiaj nie przestraszyła? Gdyby nie uciekła? Gdyby zaczęła masować Devlina inaczej, bardziej intymnie? Gdyby go pocałowała? Czy odwzajemniłby pocałunek? Obcowanie z nieśmiałym mężczyzną ma mnóstwo plusów, ale również i minusów. Największym jest to, że ostateczna decyzja należy do niej.

Do końca rejsu zostało zaledwie kilka dni. To mało. Jeżeli w sposób znaczący chciała zmienić ich relacje, powinna w miarę szybko przystąpić do działania. Westchnąwszy ciężko, popatrzyła w oczy kobiecie, której odbicie widziała w lustrze. Psiakość, po raz pierwszy w życiu się zakochała. A przynajmniej jest na najlepszej drodze do zakochania. Ale jak się będzie

tak w nieskończoność wahać, wstydzić, peszyć, to szansa na szczęście przejdzie jej koło nosa!

No dobrze, ale co ma zrobić? Po prostu obmyślić plan i świadomie uwieść Devlina?

Przerażona czekającym ją zadaniem, usiadła na łóżku, podparła ręką brodę i zaczęła się zastanawiać, na ile jej decyzja byłaby bezpieczna. Podejmowałaby ryzyko, bo może źle odczytała płynące od Deva sygnały. Może on wcale nie jest nią zainteresowany? Jeżeli traktuje ją jak zwykłą znajomą, a ona spróbuje go uwieść... Boże, to straszne! Chyba umarłaby ze wstydu!

Dobrze, istnieje drugie wyjście: nie musi nikogo uwodzić, może spokojnie wrócić do Port Townsend, do swojej ukochanej Mandali, i rzucić się w wir pracy. Ale wtedy nie dowie się, co Dev do niej czuje. Cholera! Wiedziała, że nigdy nie wybaczyłaby sobie tchórzostwa. Uwodzić czy nie uwodzić? Jęknęła głośno i opadłszy na poduszki, wbiła wzrok w sufit. Nie nadaje się na uwodzicielkę!

Rozmyślając o przyszłości, długo nie mogła zasnąć. Miała wrażenie, że stoi na rozdrożu. Od niej zależy, czy pójdzie w prawo, czy w lewo. Dotychczas tylko raz w życiu musiała podjąć tak ważną decyzję: kiedy wahała się, czy otworzyć własną księgarnię.

Nazajutrz rano, zdobywszy się na odwagę, schowała stanik do szafy i włożyła luźną, kolorową sukienkę na gołe ciało, po czym podeszła do lustra i uważnie się sobie przyjrzała. Czy przypadkiem nie jest odrobinę za

pulchna i ciut za stara, by paradować bez stanika? Z drugiej strony sukienka w turkusowo-czerwone wzory była tak luźna i zwiewna, że może Devlin nawet nie zauważył braku biustonosza.

Chodzi jednak o to, żeby zauważył i żeby podobało mu się to, co widzi. Bębniąc palcami o blat szafki, Tabitha stała przed lustrem. A może lepiej się prezentuje w staniku? Nie, bez przesady. Piersi ma ładne, poza tym prawie wszystkie kobiety na statku noszą duże dekolty lub kuse sukienki. Dobrze, zostanie tak jak jest, bez stanika.

Czując się strasznie odważna i wyzwolona, kilkom ruchami przejechała szczotką po włosach, następnie wyciągnęła spod łóżka sandały. Postanowiła iść do celu małymi kroczkami. Pierwszym jest śniadanie w niekompletnym stroju.

Zapinała sandały, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Wzięła głęboki oddech i nacisnęła klamkę, jednocześnie przywołując na usta czarujący uśmiech.

- Dzień dobry, Tabi. Wpadłem sprawdzić, czy jesteś gotowa - powiedział Devlin. Po chwili przeniósł spojrzenie z jej twarzy na dekolt, zupełnie jakby od dziesięciu minut obserwował ją z ukrycia.

- Gotowa i potwornie głodna. - Czym prędzej, żeby tylko nie stchórzyć, wyszła na korytarz. Boże! Zauważył! Była tego pewna. - Jak się czujesz? - zapytała.

- Wypoczęty.

Objął ją w pasie. Wydawało jej się, że gestem bardziej intymnym niż zazwyczaj. Czy zawsze jego

ręka niemal ocierała się o jej pierś, czy dziś ona, Tabitha, była tego bardziej świadoma?

- Zwykle dobrze śpię, kiedy masujesz mnie przed snem - dodał lekkim tonem.

Miała wrażenie, że Devlin na coś czeka. Wyczuwała jego wahanie. Po chwili domyśliła się, o co chodzi. Zastanawiał się, czy może ją pocałować na powitanie. Uśmiechnąwszy się w duchu, położyła rękę na jego ramieniu, po czym musnęła wargami jego usta.

- Cieszę się - szepnęła.

- Że śpię dobrze, kiedy się mną tak troskliwie zajmujesz? Ja też.

Zanim zdążyła się od niego odsunąć, schylił głowę i odwzajemnił pocałunek. Tym miłym akcentem rozpoczął się dzień. Oboje czuli narastającą więź. Ku radości Tabithy, Devlin chętnie zgadzał się na wszystko, co proponowała, akceptował każdy jej pomysł. Może facet jest nieśmiały, przemknęło jej przez myśl, może nie potrafi przejąć inicjatywy, ale na pewno nie patrzy na nią obojętnie.

Wyciągnęła się na leżaku przy basenie. Po śniadaniu oboje przebrali się w kostiumy kąpielowe. Devlin zdjął bandaż z żeber.

- Zamierzasz wejść dzisiaj do wody? - spytała, kiedy usiadł koło niej. Odruchowo wbiła oczy w ciemny zarost, który pokrywał mu klatkę piersiową i brzuch.

- Chyba tak. Bardzo mam sine żebra? - Skierował wzrok na własny tors.

Jego pytanie sprawiło, że mogła mu się dobrze przyjrzeć - bez skrępowania i bez wyrzutów sumienia.

- Wyglądają znacznie lepiej niż dwa dni temu - odparła, siląc się na neutralny ton. Boże, ależ on jest wspaniale zbudowany! Same mięśnie, ani grama tłuszczu. Marzyła o tym, by go dotknąć. Lecz czy wypada? Tak ni stąd, ni zowąd? - Wciąż mają piękny fioletowy kolor, ale to nie przeszkadza. Ważne, że się goją.

Nie zdołała się powstrzymać i delikatnie je pogładziła. Skórę miał nagrzaną od słońca. Podniósł wzrok. Napotkawszy jego srebrzyste oczy, Tabitha znieruchomiała. Z wrażenia zapomniała cofnąć rękę.

Bez słowa przycisnął jej dłoń do swojej piersi, po czym poderwał się na nogi.

- Kto ostatni wskoczy do wody, ten wieczorem płaci za drinki! - Pozostawiwszy laskę przy leżaku, skierował się w stronę basenu. Mimo kuśtykania poruszał się całkiem sprawnie.

- Hej! - zawołała Tabitha, nagle uświadomiwszy sobie, że zyskał już nad nią sporą przewagę. - To nie fair! Wystartowałeś pierwszy. - Wskoczyła do basenu jakieś dwie sekundy po nim, a kiedy się wynurzyła, stał obok z roześmianą twarzą. - Jak na człowieka, który ucierpiał podczas napadu i który w dodatku kuleje, jesteś szybki jak błyskawica - rzekła oskarżycielskim tonem.

- Czego to facet nie robi, kiedy czeka go nagroda! A ty, jak na kotkę, świetnie sobie radzisz w wodzie.

- Moim zdaniem powinniśmy powtórzyć ten wyścig. Powinieneś dać mi fory!

- Och, nie śmiałbym. Za bardzo szanuję prawa wywalczone przez feministki.

- Jakiś ty szlachetny! - Uśmiechnęła się szeroko.

- Skoro nie uważasz nas za słabszą płęć...

Odbiwszy się od dna basenu, podskoczyła, oparła rękę na ramionach Devlina i pchnęła go do wody. Zniknął pod powierzchnią, w ostatniej chwili jednak zacisnął ręce na nadgarstkach Tabi i pociągnął ją za sobą.

Znaleźli się w zaczarowanym podwodnym świecie cisy, w którym wszystko toczyło się w zwolnionym tempie. Tabitha nie zdołała oprzeć się pokusie. Podpłynęła do Devlina i nie otwierając oczu, przywarła ustami do jego szyi. Poczowała, jak Devlin wsuwa rękę w jej włosy i przytrzymuje ją w miejscu. Ciała ocierały się o siebie, nogi się splatały...

Czar prysł, kiedy w płucach zabrakło powietrza. Czując, że za moment zacznie się dusić, Tabitha oddepchnęła się gwałtownie od dna i wypłynęła na powierzchnię. Odruchowo powiodła wzrokiem po twarzach tych, którzy leżeli najbliżej basenu.

- Boisz się, że ktoś cię zauważył? - spytał Dev, wynurzywszy się koło niej. - Jeśli nawet, to na pewno wziął cię za syrenę.

Przetarła oczy.

- A wiesz, to bardzo niebezpieczne stworzenia - oznajmiła lekko, opuszczając środek basenu. Miała nadzieję, że jednak nikt nie widział ich podwodnych

igraszek. Była nowicjuską w sztuce uwodzenia; wciąż nie bardzo się orientowała, co wolno, a czego nie.

- Tak? Dlaczego?

- Marynarze, którzy skuszeni urzekającym śpiewem podpływali do tych pól kobiet, pół ptaków, przepadali bez śladu.

- Myślałem, że to harpie bezczeszczą wszystko, czego dotkną - zaprotestował ze śmiechem.

- Harpie, syreny... Biedni mnisi nie zawsze potrafili odróżnić te mitologiczne stwory. Przestrzegali jednak mężczyzn, głównie żeglarzy, przed niebezpieczeństwem, jakie im grozi z ich strony. Zresztą w ogóle często przestrzegali istoty rodzaju męskiego przed istotami rodzaju żeńskiego. W owych czasach wierzono, że płeć żeńska niesie z sobą wiele zagrożeń.

- Zdradzę ci coś o płci męskiej - powiedział szeptem Devlin. - Otóż jej przedstawiciele nieustannie zapominają o tym, czego ich uczył średniowieczni mędrcy.

- Chcesz powiedzieć, że nie zamierzasz słuchać przestrogi mnichów i nie będziesz wystrzegać się syren, harpii i tym podobnych? - spytała Tabitha, czując, jak zalewa ją fala podniecenia.

- Chcę powiedzieć, że nie zamierzam uciekać przed śliczną, ociekającą wodą kotką - poprawił ją. Jego oczy lśniły w słońcu. - Chyba nie jesteś harpią ani syreną, która czyha na moje życie?

Przyjrzała mu się uważnie, szukając ukrytych znaczeń i podtekstów.

- Nie - przyznała. - Ale sam mówiłeś, że człowiekowi, który nigdy nie widział kota, nawet zwykła buraska może wydać się stworzeniem egzotycznym.

- Bo taka jesteś. Egzotyczna, czarująca, pełna wdzięku.

- Ale nie niebezpieczna?

- O tym dopiero się przekonam.

Przez chwilę milczała, wpatrując się w twarz Devlina. Potem podjęła decyzję. A więc uważa, że kotki to niegroźne stworzenia? Przytrzymując się śliskich ramiion Devlina, przysunęła się bliżej. Nie poruszył się. Pewnie myśli, że go znów pocałuję, pomyślała, uśmiechając się w duchu. Spodobały mu się jej pocałunki? No to będzie miał niespodziankę!

Pochyliwszy głowę, wbiła zęby w jego ramię.

- Au! - odskoczył zdumiony, chociaż ugryzienie nie było mocne.

Pogładziwszy palcem ślad po zębach, zamruczała cicho:

- Wolę uchodzić za niebezpieczną niż niegroźną.

- Zapamiętam - obiecał. - Nie powtórzę więcej tego błędu.

- To dobrze. - Puściwszy go, podpłynęła na skraj basenu. - Głodny? Zbliża się pora podwieczorku.

Oczy go zdradzały: był zaskoczony, ale i zaintrygowany jej zachowaniem. Wiedziała, że uwodzenie to ryzykowna gra wymagająca bardzo subtelnych posunięć. Należy postępować ostrożnie, aby nie wystra-

żyć ofiary, a jednocześnie stanowczo, bo inaczej nie osiągnie się celu.

Wieczorem po kolacji, kiedy kierowali się do jednego z licznych barów na pokładzie, Tabitha przypomniała sobie o dwóch niezwykle przydatnych składnikach sztuki wyrafinowanego uwodzenia: alkoholu i rozmowie obfitującej w niedopowiedzenia oraz aluzje.

Na razie wszystko toczyło się po jej myśli. Przez cały dzień Devlin szukał pretekstu, aby jej dotknąć, a ona mu ich chętnie dostarczała. Teraz też obejmował ją lekko w pasie. Miała na sobie luźną sukienkę na wąskich ramiączkach, z cieniutkiej bawełny o barwie intensywnej czerwieni. Stanik ponownie zostawiła w szafie. Czuła się niemal naga, zwłaszcza kiedy zrywała się wieczorna bryza i cienki materiał przylegał do jej ciała, podkreślając wszystkie jego krągłości.

Akurat tego nie wzięła pod uwagę, kiedy się przebrała. W pełni uzmysłowiła sobie, co się dzieje, gdy Devlin nie mógł - lub nie chciał - oderwać wzroku od jej piersi. Na szczęście chwilę potem weszli do baru i zaczęli rozglądać się za wolnym stolikiem. Ukryta w panującym w sali półmroku szybko odzyskała rezon.

Alkohol i niedopowiedzenia. Procenty i zmysłowy szept.

Dobrze, upije Devlina. Oczywiście tylko trochę, żeby go odrobinę ośmielić. A upijając go, będzie w lekko zawołowany sposób rozmawiała z nim o seksie.

- Pamiętaj, że za drinki ja dziś płacę - oznajmiła

wesoło, kiedy zajęli miejsca przy stoliku. - Wprawdzie mam poważne zastrzeżenia co do sposobu rozegrania wyścigu, ale faktem jest, że ty pierwszy wskoczyłeś do wody. A ja potrafię przegrywać. - Szerokim uśmiechem powitała zbliżającego się kelnera. - Poprosimy dwa dżiny z tonikiem. Podwójne.

- Podwójne? - upewnił się kelner.

- Owszem - potwierdziła, po czym z jeszcze bardziej promiennym uśmiechem obróciła się do Devlina.

No dobrze. A teraz frywolna rozmowa przetykana erotycznymi aluzjami. Tabitha wzięła głęboki oddech.

- Czy już ci opowiadałam, jak bardzo mnichów piszących bestiaria pasjonowały zwyczaje godowe różnych zwierząt?

Devlin zamrugał powiekami. Jego ciemne rzęsy zasłoniły oczy, po czym uniosły się, odsłaniając srebrzyste źrenice.

- Nie - odrzekł. - Zwyczaje godowe, mówisz?

Odchrząknęła. Było za późno, żeby się wycofać, zresztą wcale tego nie chciała. Kiedy kelner, postawiwszy drinki na stole, oddalił się, rozpoczęła wywód na temat zwierząt żyjących w średniowieczu i ich dziwnych zwyczajów erotycznych.

- Tak. Mnisi uważali na przykład słonie za zwierzęta niezwykle skromne i cnotliwe. Wierzyli, że para słoni musi zjeść kawałek mandragory, żeby pokonać wrodzoną nieśmiałość.

- Mandragory?

- Tak. Mnisi przypisywali jej właściwości magiczne; uważali ją za afrodyzjak.

- Czyli taką dzisiejszą mandragorą przełamującą wstyd i zahamowania mógłby być kieliszek alkoholu?

Zesztywniała, ale po chwili znów się odprężyła. Devlin wydawał się autentycznie zainteresowany jej wywodem.

- No tak, w pewnym sensie. To całkiem niezłe porównanie. - Powróciła do przerwanej wątku.

- Uważali też, że ogier traci potencję, jeżeli przytnie mu się grzywę.

- Hm, muszę o tym pamiętać, kiedy następnym razem będę szedł do fryzjera.

Zmarszczyła czoło. On chyba żartuje, prawda?

- Z dawnych tekstów nie wynika, aby to samo dotyczyło ludzi.

- Uff, kamień spadł mi z serca. Jakież inne fascynujące ciekawostki poznałaś, studiując średniowieczne teksty? - Pociągnawszy łyk drinka, uniósł pytająco brwi.

- Na przykład, że sępy niespecjalnie przepadają za seksem.

- Obywają się bez seksu? Jak to możliwe?

- Wierzono, że wykluwają się z jaj zapłodnionych przez wiatr. Że nie ma wśród nich samców. - Urwała. Brak seksu to mało erotyczny temat. Hm, co jeszcze zawierają bestiaria? - Aha, podobno żmije miały wyjątkowo agresywny sposób rozmnażania się. Po akcie kopulacji samica odgryzała samcowi łeb.

- Chętnie wypiłbym jeszcze jednego drinka...
-przerwał jej Devlin. - Te obrazy tak silnie działają na wyobraźnię...

- Zaraz zamówię. - Tabitha skinęła na kelnera.

- Dziś ja płacę. Jeszcze raz to samo - poprosiła.

- Znów podwójne?

- Tak. - Przeniosła wzrok na Devlina. - Na czym to stanęłam?

- Na samicy żmii, która odgryza samcowi łeb.

- Rzeczywiście. Na pocieszenie ci powiem, że mnisi nie pochwalali takich praktyk. Opisywali je, a potem wyciągali z nich wnioski, które z odpowiednim komentarzem przekazywali przedstawicielkom homo sapiens.

- Jakież to były wnioski?

Tabitha podniosła do ust szklankę z dżinem, chcąc dodać sobie animuszu.

- Radzili kobietom, żonom, aby nie odtrącały awansów swoich mężów.

- Innymi słowy, żeby nie wykręcały się bólem głowy? - Srebrzyste oczy wesoło lśniły.

- No właśnie... Proszę, twój drink. Korzystaj, skoro funduję.

- Słusznie. - Wypił trochę, po czym spojrzał na nią wyczekująco.

- Z kolei przepiórki, zdaniem mnichów, za dużo i zbyt chętnie kopulowały. Właściwie tylko tym się zajmowały. Czasem umierały z wycieńczenia.

- Fascynujące.

- Mnichom podobały się za to lwy - kontynuowała Tabitha - ponieważ były wierne. Niestety informacje o zwyczajach godowych smoków i jednoroźców są nad wyraz skąpe. Zdaje się, że w ogóle niewiele wiedziano o tych stworzeniach.

- Może to i lepiej.

- Może - przyznała z zadumą. - Niektóre sprawy lepiej pozostawić wyobraźni. Masz ochotę na kolejnego drinka?

- Jeszcze tego nie skończyłem. - Wskazał na szklanę.

- Faktycznie. To może potem...

- Dziękuję. Jesteś niezwykle szczodra. - Kąćki warg mu zadrżały.

- Jak się przegrywa, trzeba płacić. - Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Często przegrywasz?

- Właściwie to nie. Nie mam ku temu okazji, bo rzadko się zakładam - wyjaśniła.

- Wolisz być biernym obserwatorem niż czynnym uczestnikiem?

- Taka zawsze byłam. A ty? Brałeś udział w grach zespołowych czy raczej trzymałeś się na uboczu?

- Nie, jakoś nigdy nie pociągało mnie bycie jednym z wielu - przyznał. Po krótkiej chwili ciszy podniósł szklanę. - Pusta. To co, mogę prosić...?

- Tym razem zamówię coś innego. Zaskoczę cię.

Tak wiele mamy wspólnych cech, pomyślała. Czy Devlin to widzi? Czy zdaje sobie z tego sprawę?

- Cały dzisiejszy wieczór mnie zaskakujesz - powiedział, kiedy kelner odszedł, przyjąwszy zamówienie na tequile *sunrise*.

- A wieczór jeszcze się nie skończył.

Nadmiar wrażeń i radosne podniecenie sprawiały, że kręciło się jej w głowie. Wszystko toczyło się po jej myśli. Devlin dawał się prowadzić drogą, którą obrała. Musiała jedynie uważać, żeby się nie potknąć, nie zmienić kursu. No i nie stchórzyć.

Zamawiała kolejne drinki, z nadzieją wypatrując oznak odprężenia. Chciała, by Dev był zrelaksowany, by pozbył się zahamowań. Kontynuowała opowieści zaczerpnięte z bestiariów o erotycznych zwyczajach najróżniejszych zwierząt. Rozmowa toczyła się gładko, bez krępujących przerw. Oboje czuli się swobodnie. W przeciwieństwie do wielu mężczyzn, którzy po spożyciu alkoholu zaczynają czynić dwuznaczne uwagi, Devlin cały czas zachowywał się bez zarzutu. W powietrzu wyczuwało się delikatne napięcie erotyczne.

Może to było połączenie dobrego humoru i ciepłej karaibskiej nocy, w każdym razie kiedy opuścili bar, Tabitha miała wrażenie, że nad wszystkim panuje. Grała pierwsze skrzypce. Devlin dosłownie jadł jej z ręki. Mogła z nim zrobić, co chciała.

- Jesteś zmęczony?

Oparła głowę na jego klatce piersiowej. Objął ją w talii. Stanąwszy przy burcie, spoglądali w morze.

- Nie - szepnął, muskając wargami jej włosy.

- Prawdę mówiąc, nie czułem się tak dobrze, odkąd wypłynęliśmy z St. Regis.

- Nic cię nie boli? Co z nogą?

- W porządku, dziękuję.

- To dobrze - rzekła, myśląc: psiakość, odpadł wygodny pretekst, aby odprowadzić go do kabiny. No cóż, trzeba zastosować bardziej bezpośrednie podejście. - A od tych drinków nie kręci ci się w głowie?

- Odrobinę. - Przytulił ją mocniej.

- Nie chcesz się położyć? Odpocząć?

- Odpocząć? Chyba nie potrzebuję odpoczynku.

- Dev... - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Nie opowiedziałam ci jeszcze o zwyczajach godowych kotów.

Zesztywniał. Tabitha, przerażona własną odwagą, wstrzymała oddech.

- To prawda - szepnął szorstkim głosem. - Nie opowiedziałas. Więc jakie one są, te kotki w rui?

- Hm... dzikie. I rozpustne.

Obróciwszy się przodem, objęła go w pasie i podniosła twarz skapaną w mlecznym blasku promieni księżyca.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dostrzegłszy błysk pożądania w srebrzystych oczach Devlina, wiedziała, że tej nocy osiągnie cel. Że próba uwiedzenia zakończy się sukcesem. Fala gorąca, która ją uderzyła, rozeszła się po jej ciele niczym ogień po buszu. Tabitha zamknęła na moment oczy. Drżała z podniecenia. Udało się! Devlin naprawdę jej pragnie!

Przywarł wargami do jej ust, a ona przytuliła się do niego. Miała nadzieję, że tak intymny kontakt sprawi Devlinowi nie mniejszą przyjemność niż jej. W odpowiedzi usłyszała niski pomruk.

- Och, Dev. - Wsunęła palce w jego włosy. - Powiedz, pragniesz mnie choć trochę? Bo ja ciebie tak...

- Myślisz, że mógłbym ci się oprzeć, moja słodka koteczko? - szepnął jej do ucha. - Jesteś taka miękka, taka rozgrzana, taka niesamowicie zmysłowa.

Zawiesiwszy laskę na balustradzie, stanął w lekkim rozkroku, oparł się o burtę, po czym jeszcze mocniej zacisnął wokół Tabi ręce. Nie protestowała. Przeciwnie, rozkoszowała się bliskością, całowała go po szyi. O dziwo, nawet nie peszyła jej sztywność, którą wyczuwała na poziomie brzucha.

- Śpiący smok - szepnęła, ledwo tłumiąc podniecenie. - Wiesz, mam wrażenie, jakbym zbudziła śpiącego smoka.

- Przypominam ci potwora? - zamruczał groźnie, nie przerywając pocałunków, którymi znaczył jej ramię.

- Raczej wspaniałą mityczną bestię. Łagodną, szlachetną, silną.

- Fascynuje mnie twoja wyobraźnia... - Jego ręce wędrowały po jej plecach oraz biodrach.

- Nie żyję w urojonym świecie, Dev. Ty właśnie taki jesteś: dobry, silny, ale również nieśmiały i wrażliwy. Po prostu idealny. - Westchnęła cicho. - Cały dzień marzę o tym, żeby się z tobą kochać. Myślisz, że moglibyśmy...?

- Jestem twój, Tabi - odparł. - Możesz robić ze mną wszystko, co chcesz.

Na to czekała, o to się modliła, a jednak zawahała się, bo nagle coś przyszło jej do głowy.

- Naprawdę? Mówisz serio? To nie alkohol przez ciebie przemawia?

- Alkohol? - zdumiał się.

- No bo ja... bo cały wieczór wlewałam w ciebie dżin za dżinem - przyznała w odruchu szczerości, którego natychmiast pożałowała.

- Chciałaś mnie upić?

- Nie upić, zrelaksować - wyjaśniła.

- Rozumiem. Posłużyłaś się alkoholem, żebym wyzbył się zahamowań, a teraz martwisz się, że kiedy rano wytrzeźwieję, mogę mieć do ciebie pretensje, tak?

Nie umiała wyczytać nic z jego tonu.

- A będziesz? - spytała wystraszona.

Potrząsnął przecząco głową.

' - Nie, maleńka. Nie będę miał żadnych pretensji, co najwyżej mnóstwo cudownych wspomnień.

- Jesteś pewien...

- Absolutnie - potwierdził.

Czyżby słyszała w jego głosie nutę zniecierpliwienia? Tabitha ponownie zebrała się na odwagę.

- W takim razie może... poszlibyśmy do mnie?

Odsunawszy się, popatrzyła mu badawczo w oczy, które w świetle księżyca lśniły tajemniczo. Dostrzegła w nich jedynie błysk pożądania. Bez słowa ujęła Devlina za rękę i poprowadziła w stronę schodów.

Szedł za nią w milczeniu. Wędrując długim korytarzem, cały czas miała świadomość jego obecności. O dziwo, nie bała się. Nie czuła strachu, zdenerwowania, niepewności. Dzisiejszego wieczoru słuchała rozkazów serca. Wiedziała też, że jeśli tylko się

zawaha, to Devlin odejdzie do swojej kabiny. Że nie uczyni nic wbrew jej woli.

Nie może na to pozwolić. Tej nocy chce być z nim.

- Tabi? - spytał, kiedy zamknęła za nimi drzwi.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Wszystko w porządku, Dev. Wiem, co robię.

- Na pewno? - Popatrzył na jej drżące wargi.

- Na pewno. Pragnę cię. Cały dzień marzę o tym, żebyś czuł to samo co ja.

- Och, Tabi, jakżebym mógł cię nie pragnąć?

Coraz bardziej się w nim zakochiwała. Wiedziała to ponad wszelką wątpliwość. Nigdy w życiu żaden mężczyzna nie wzbudził w niej takich emocji, takiego pożądania. Devlin Colter był niczym wspaniała mityczna bestia - uśpiony srebrzystooki smok czekający na przebudzenie. I ona, Tabitha Graham, zamierzała go obudzić.

Powoli ściągnęła mu z ramion marynarkę, pozwalając, by spadła na podłogę. Przez chwilę, przytulona do Devlina, odpowiadała na jego pocałunki. Nie odrywając ust od jego warg, rozpięła guziki koszuli, którą miał na sobie, następnie przystąpiła do usuwania krawata.

Rozbieranie Devlina okazało się niezwykle satysfakcjonujące. Po raz pierwszy mogła swobodnie, bez skrpułów, dotykać jego ciała. Była zachwycona mięśniami, podniecona twardością brzucha, zaintrygowana zapachem skóry, na której wyczuwała aromat wody kolońskiej i mydła. Pomalowanymi na czer-

wono paznokciami gładziła ciemne kręcone włosy porastające klatkę piersiową.

- Tabi, zaraz przez ciebie oszaleję... -jęknął cicho i pociągnął suwak jej sukienki. Ucieszyła się, że palce mu drżą. Jest taki zdenerwowany, tak bardzo chce sprawić jej przyjemność!

Sukienka opadła na podłogę, a Devlin z wrażenia wstrzymał oddech. Wodził wzrokiem po dużych jędrnych piersiach, jakie ukazały się jego oczom. Tabitha zamarła, po chwili jednak dojrzała wyraz aprobaty malujący się na jego twarzy. Podobam mu się, pomyślała triumfalnie.

Ubrana w skape figi przytuliła się do ciała Deva. Zadrżała, kiedy jego dłonie zacisnęły się na jej pośladkach.

- Dev, to wszystko jest dla mnie takie nowe - przyznała, całując go lekko w ramię. - Dzięki tobie, po raz pierwszy w życiu, czuję się atrakcyjna. Zmysłowa...

- Bo taka jesteś. Piękna, atrakcyjna, zmysłowa, fascynująca. - Wolno i leniwie przesuwał ręce wyżej, aż spoczęły na jej piersiach.

Zamknęła oczy. Nadmiar wrażeń ją niemal porażał.

- Mmm... Nie przeszkadza ci, że cię uwodzę? - szepnęła, uśmiechając się do siebie.

- Uwodź, moja śliczna. Błagam, nie przestawaj.

Przesuwając wargami po jego ramieniu, zaczęła mu odpinać pasek u spodni. Po chwili Devlin stał jak ona, w samych slipkach.

- O Boże... - Nie mogła się napatrzeć na jego silne,

wspaniale umięśnione ciało. - Jesteś tak pięknie zbudowany. Och, Dev!

Objęci, mszyli powoli w stronę łóżka. Ona pierwsza opadła, pociągając go za sobą. Coraz bardziej pewna siebie, swojej władzy i urody, przetoczyła Devlina na wznak, a sama na nim usiadła.

- Tabi, jesteś jak te mityczne syreny. Przybędę do ciebie, gdy tylko przywołasz mnie swym śpiewem...

Urwał. Nie był w stanie mówić, kiedy zaczęła pokrywać jego skórę pocałunkami lekkimi jak tchnienie wiatru. Miłość dodawała jej odwagi. Nigdy dotąd nie czuła tak potężnej potrzeby, aby badać męskie ciało, pieścić je, dostarczać mu nowych bodźców, nowych wrażeń.

Zagubiona w świecie zmysłowych rozkoszy, nie słyszała, co Devlin mówi. Słyszała tylko mruczenie i westchnienia świadczące o tym, że jej pieszczoty sprawiają mu radość.

Ledwo panując nad podnieceniem, ściągnął jej z bioder figi. Wypląawszy nogi, Tabitha ponownie na nim usiadła, tym razem całkiem naga. Zupełnie jakbym dosiadała smoka, przemknęło jej przez myśl. I nagle znieruchomiała. Devlin tak bardzo różni się od jej byłego męża. Pod każdym względem, fizycznie, psychicznie...

- Dev?

- O co chodzi, kotku? Boisz się mnie? - spytał łagodnie. - Przecież wiesz, że nie wyrządę ci krzywdy. No chodź, maleńka. Kochaj się ze mną.

Uniosła lekko biodra, po czym wolno opuściła się, czując, jak Devlin ciasno ją sobą wypełnia. Stanowili jedność. Wbijając paznokcie w jego ramiona, wstrzymała na moment oddech. Rękami delikatnie gładził jej uda i przemawiał do niej czule, poza tym jednak nie ruszał się, jakby instynktownie rozumiał, że jej ciało musi się dostosować, przywyknąć do zmiany. Jego dotyk oraz niski zmysłowy głos sprawiły, że zaczęła się odprężać.

- Dobrze, cudownie - szeptał, gdy wróciła do przerwanych pieszczot. - Och tak, kotku, drap, mruzc, tylko się mnie nie bój. Widzisz, jak idealnie do siebie pasujemy? Rozluźnij się, nic nie będzie bolało. Obiecuję.

Jego głos miał działanie hipnotyczne. Już nie czuła sztywności i niewygody. Czuła żar, jakby płonął w niej ogień. Zamknęła oczy i zaczęła poruszać zmysłowo biodrami. Mknęła przed siebie na smoku. Ogarnęło ją niesamowite podniecenie. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że jest zdolna do takich reakcji. Coraz głośniejsz dyszała, potem usłyszała krzyk. Własny krzyk. Jej ciałem wstrząsnęła seria dreszczy. Po chwili wstrząsnęła również Devlinem.

Hm, granie roli cierpliwego, wrażliwego dżentelmena ma swoje dobre strony, pomyślał, wzdychając błogo. Mnóstwo dobrych stron! Zdążył lepiej poznać Tabithę; dowiedział się, jakie guziczki należy wcisnąć, jakie sznureczki pociągnąć, by osiągnąć cel. Jego

przewidywania idealnie się sprawdziły. Niczym kotka najpierw się nieśmiało o niego ocierała, potem umościła sobie gniazdko na jego kolanach. Gdzieniedzie na ramionach nosił ślady jej pazurków, będące cudowną pamiątką miłosnego uniesienia.

Po raz pierwszy w życiu dał się uwieść. Z szelmowskim uśmiechem na twarzy leżał na łóżku, obejmując Tabithę i czekając, aż się obudzi. Bawił się doskonale od samego rana, kiedy Tabi wyłoniła się z kabiny w sukience włożonej na gołe ciało, do wieczora, kiedy zamawiała mu kolejne drinki i opowiadała o zwyczajach godowych zwierząt. Co za dzień, co za noc! Każdą cudowną minutę będzie pamiętał do końca życia. Jaka szkoda, że to nie jest początek rejsu. Na myśl o zbliżającym się rozstaniu z Tabi zrobiło mu się smutno.

Musi coś wymyślić, jakoś temu zaradzić. Tylko głupiec wypuściłby ze swoich rąk tak fantastyczną kobietę. Nigdy dotąd podobnej nie spotkał i podejrzewał, że nie spotka. Była jedyna w swoim rodzaju. Wyjątkowa. Pragnął kontynuować tę zabawę w uwodzicielkę i uwodzonego. A kiedyś, gdy Tabi przestanie się go bać, zamienią się rolami. Wtedy on da jej rozkosz, o jakiej nie śniła.

Rozmyślał o pieszczotach, którymi ją zasypie, kiedy nagle zobaczył, jak rzęsy lekko jej trzepoczą.

- Kotku, nie możesz się ukrywać w nieskończoność - rzekł, wsparłszy się na łokciu. - Spójrz na mnie.

Rzęsy ponownie zatrzepotały. Chwilę później

Tabitha posłusznie otworzyła oczy, w których nadzieja mieszała się z lękiem.

- Nie ukrywałam się - zaproponowała. - Po prostu zrobiłam się śpiąca.

- A mnie się wydaje, że jesteś bardzo speszona

- powiedział z uśmiechem.

~ Może trochę.

- Nie masz zwyczaju uwodzić facetów, co?

- Zgadłeś. - Miał rację; rzeczywiście była speszona całą tą sytuacją. Powiodła palcem po jego spoconych żebrach, które wciąż zdobiły sińce. - Nic cię nie boli? - spytała niepewnie.

- Nic a nic - odparł, uśmiechając się szeroko.

- Czuję się fantastycznie. A ty?

- Jeśli chcesz wiedzieć, dla mnie to było... hm, bardzo interesujące doświadczenie.

- Bardzo interesujące doświadczenie! - powtórzył zaskoczony. - A cóż to, do licha, znaczy?

- To znaczy, że nigdy w życiu czegoś takiego nie przeżyłam - przyznała szczerze. - Mówiłam ci, że mój były mąż uważał mnie za osobę... hm... potwornie nudną. Zimną. Widzisz, on... on nie był zbyt cierpliwy, a ja... ja chyba nie potrafiłam wykrzesać w sobie zapału. - Na moment urwała. - W każdym razie nigdy nie przeżyłam... nie doznałam... no wiesz - dokończyła bezradnie, opuszczając wzrok.

- Och, maleńka - szepnęła. - Nie mieści mi się w głowie, że taka kobieta jak ty mogła uwierzyć

w bzdury o oziębłości. Jesteś ciepła, rozkoszna, namiętna...

- Nigdy tak o sobie nie myślałam. Zawsze dotąd byłam w łóżku spięta, nie umiałam cieszyć się seksem. A z tobą... czuję się wolna, swobodna, odważna. To dlatego, że jesteśmy tacy do siebie podobni. Wiesz, o czym mówię?

- Tak, wiem. Chyba rozumiem.

- Nie przeszkadza ci, że cię uwiodłam, prawda, Dev? - spytała z nadzieją w głosie. Nie miała najmniejszych wątpliwości; była po uszy w nim zakochana.

- Bardzo mi się to podobało. Nawet zamierzałem cię spytać, czybyś tego nie powtórzyła.

- Powtórzyła? - Popatrzyła na niego zdumiona. On ma ochotę na więcej? Po tym, co przed chwilą przeżyli?

- Przepraszam - powiedział szybko, widząc wahanie w jej oczach. - Byłaś dziś aż nadto szczodra. Powinienem wrócić do swojej kabiny, żebyś mogła się wyspać. Na pewno marzysz o tym, żeby zostać wreszcie sama - ciągnął speszonym tonem. - Nie chcę ci się narzucać...

- Ależ nie - przerwała mu. - Nie narzucasz się. A jeśli chodzi o tę powtórkę, to ja bardzo chętnie...

Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Większej zachęty nie potrzebował.

Obudziła się nazajutrz rano z głębokim przekonaniem

niem, że minionej nocy zmieniło się całe jej życie, cały jej świat. Z miejsca ogarnęła ją mieszanina emocji: niepewność, skrępowanie, radość, nerwowe oczekiwanie.

Przez dłuższy czas leżała bez ruchu, wpatrując się w postać śpiącego mężczyzny. Wodziła po nim spojrzeniem pełnym miłości, zapamiętując każdy szczegół. Czym sobie zasłużyła na tak ogromne szczęście? Kto by pomyślał, że podczas rejsu spotka kogoś takiego jak Devlin? Był jej wymarzoną mężczyzną, tak idealnie do siebie pasowali! Na samą tę myśl poczuła strach: los rzadko bywa przychylny.

A jeśli okaże się, że Devlin nie podziela jej odczuć?

A jeśli znudzi się nią równie szybko, jak jej mąż?

A jeśli chodzi mu wyłącznie o wakacyjny romans?

Nie! On nie jest taki. Na pewno nie pozwoliłby, żeby sprawy zaszły tak daleko, gdyby nie czuł tego samego co ona. Są za bardzo do siebie podobni, dlatego nigdy by jej nie skrzywdził. Cokolwiek jeszcze się wydarzy, jednego może być na sto procent pewna: że tej nocy darzył ją autentycznym uczuciem. Zsunawszy kołdrę, cichutko wstała z łóżka i skierowała się do łazienki.

Może powinnam była przystopować? - pomyślała, wchodząc pod prysznic. Może narzuciła zbyt szybkie tempo? Po prostu postanowiła uwieść biedaka i przystąpiła do działania, nie licząc się z tym, czego on chce.

Obraz siebie jako uwodzicielki rozbawił ją, ale

trochę też wystraszył. Znow naszły ją wątpliwości. Czy nie była zbyt nachalna? Zbyt niecierpliwa? Może Devlin wolałby poczekać? Może nie był gotów? Może nie powinna była przejmować inicjatywy? Wczoraj był szczęśliwy, ale może dziś, w świetle dnia, inaczej spojrzy na to, co się w nocy wydarzyło? Stała w strumieniach wody, z marsem na czole, szukając odpowiedzi na te wszystkie pytania, kiedy nagle Devlin odciągnął na bok zasłonkę prysznicową.

- Dzień dobry. - Jego twarz rozjaśnił uśmiech. - Wiedziałem, że cię tu znajdę. I co, moja syrenko? Pewnie wyrzucasz sobie, że wczoraj zwabiłaś mnie swoim urokliwym śpiewem? - Pamiętając wspaniałe chwile, jakie przeżyli, powiódł oczami po jej mokrej skórze. - Przyznaj się: gnębią cię wyrzuty sumienia?

- Trochę - przyznała, speszona ich nagością. Czowała, jak pod strumieniem gorącej wody jej ciało przybiera barwę czerwieni. Czym prędzej przytknęła do twarzy myjkę i zaczęła trzeć policzki. - Głównie z twojego powodu... Może nie powinnam była cię poganiać, Dev. Może nie byłeś gotowy na to, się stało.

- Jeżeli uważasz, że nie byłem wczoraj gotów, to bardzo cię przepraszam - powiedział z lekkim rozbawieniem.

Jej twarz zrobiła się purpurowa.

- Och, nie! Przecież wiesz, że nie miałam na myśli twojego... twojej...

- Sprawności seksualnej? - podsunął uprzejmym tonem.

Nie potrafiła go rozgryźć. Albo sobie z niej żartował, albo myślał, że ona czuje się zawiedziona. Przeżona, opuściła rękę i z zatroskaniem w oczach popatrzyła mu w twarz.

- Och, Dev. Byłeś wczoraj cudowny...

Wszedłszy pod strumień wody, objął Tabithę w talii.

- Ty też. - Pocałował ją w czoło. - Przestań się zamartwiać. Daleko nie zajdziesz jako uwodzicielka, jeżeli rano będziesz robić sobie wyrzuty.

Kąciki jej ust zadrgały.

- Czyli uwodzicielki nie powinny się zamartwiać?

- Nie. A ty stale masz skrupuły.

- Bo może narzuciłam wczoraj zbyt szybkie tempo.

- Uwielbiam takie tempo.

- Na pewno?

-- Słowo honoru - szepnął, całując jej szyję.

Odprężyła się i uśmiechnęła.

- Skoro nie masz zamiaru narzekać i czynić mi wyrzutów, że najpierw cię upiłam, a potem bezczelnie wykorzystałam...

- Nie mam.

- W takim razie będę musiała zignorować swoje skrupuły.

- Bylebyś nie ignorowała mnie. - Przycisnął jej dłoń do swojej piersi.

- Ciebie? Jakżebym mogła?

Zanim skończyli śniadanie, statek dopłynął do kolejnej z wymienionych w programie małych, rzadko

odwiedzanych wysp. Tabitha jak zwykle dokładnie przestudiowała broszurę reklamową.

- Ciekawe, co ta wysepka ma do zaoferowania?

- Zmrużywszy oczy, Devlin popatrzył w stronę lądu.

Statek zatrzymał się na redzie, mniej więcej kilometr od brzegu. Do portu płynęli specjalną łodzią o płaskim dnie.

- Mnie pytasz? A które z nas prowadzi biuro podróży? - zawołała ze śmiechem Tabitha.

- Jakoś te wysepki coraz bardziej się do siebie upodobniają.

- No pięknie, pięknie! - Wiatr targał jej włosami, kiedy pochyliła się nad kolorową broszurą, którą trzymała na kolanach. - Tu jest napisane, żeby koniecznie zwiedzić ogrody przy starym hotelu wzniesionym na wzgórzu na wschód od miasta. Podobno zaprojektował je w ubiegłym wieku, na zamówienie właściciela plantacji, słynny angielski architekt krajozbrazu. Plantacja zbankrutowała, a na jej miejscu powstał ekskluzywny hotel, do którego zagląda światowa elita towarzyska.

- Światowa elita. Oraz my. Słyszałem o tym hotelu. Najtańszy pokój kosztuje trzysta dolarów. Jakoś moi klienci nie bardzo się kwapią w nim zamieszkać.

- Ale podobno ogrody zapierają dech w piersi. Jest tam nawet labirynt z bukszpanów. Kusi mnie...

- A co, masz ochotę porzucić w nim kochankę? Niech biedak błądzi dniami i nocami...

Podniosła zdziwiona głowę. Wydawało jej się, że

w głosie Devlina oprócz żartobliwej nuty pobrzmiewa niepewność. Czyżby bał się, że jej uczucia osłabły?

- No co ty! - oburzyła się.

Nic więcej nie zdążyła powiedzieć, bo przybili do nabrzeża.

Skinął głową, najwyraźniej usatysfakcjonowany odpowiedzią, po czym podał jej rękę, by nie potknęła się, schodząc na ląd. Mimo że sam musiał podpierać się laską, zawsze zachowywał się szarmancko, jak dżentelmen. Jego manieri oraz witalność sprawiały, że prawie nie zauważało się tego, że utyka. Dziś rano, ubrany w spodnie khaki i koszulę z podwiniętymi rękawami, stanowił uosobienie siły i męskości. Ilekroć Tabitha na niego patrzyła, natychmiast przypominała sobie wspólnie spędzoną noc.

Coś się zaczęło psuć wkrótce po tym, jak dojechali na teren dawnej plantacji. Nie umiała powiedzieć, co się stało, wyraźnie jednak czuła, że nastrój Devlina uległ zmianie. Spostrzegła to, kiedy jedli lunch w restauracji, której okna wychodziły na pięknie utrzymany, klasyczny w stylu ogród.

- Nie smakuje ci? - spytała, patrząc, jak Devlin przesuwając widelcem jedzenie po talerzu.

Podniósł głowę.

- Smakuje. Dlaczego pytasz?

- Bo zwykle dopisuje ci apetyt, a dziś... - Wzruszyła ramionami. - Boli cię coś?

- Nie, wszystko w porządku.

Zastanawiał się, czy stracił umiejętność ukrywania

emocji, czy też Tabi potrafi przejrzeć go na wylot, zauważyć każdy najmniejszy grymas, skrzywienie warg. Lepiej weź się w garść, rzekł do siebie.

Dziwny niepokój zakradł się do jego serca zaraz po tym, jak wysiedli z taksówki. Starał się go zignorować, tym bardziej że Tabi tryskała entuzjazmem. Zachwycała się wspaniałymi schodami prowadzącymi do hotelu oraz eleganckim, otwartym na ogród holem.

Kiedy jednak zajęli miejsce przy stoliku, zdał sobie sprawę, że niepokój nie mija. Przeciwnie, przybiera na sile. Już prawie dwa lata prowadził biuro podróży, lecz zmysły jeszcze mu się nie stępiły. Ostatni raz czuł identyczny niepokój, właściwie zagrożenie, na St. Regis, kiedy skręcił w tę pustą alejkę. A dziś znów. Dwa razy w ciągu jednego tygodnia po dwuletniej przerwie? Cholera jasna, wcale mu się to nie podobało. Dlaczego, do diabła, uległ naciskom Delaney'a?

- A koktajlu cytrynowego spróbujesz? - zapytała, otwierając menu na stronie z deserami.

- No pewnie! - zgodził się ochoczo, by nie wzbudzić jej podejrzeń. Chociaż nie miał apetytu, zmusił się, by zjeść do końca ryż z baraniną w sosie curry. Danie było znakomite, tyle że on sam nie mógł skoncentrować się na posiłku. Coś mu przeszkadzało, ale co?

Przecież nic złego się nie dzieje. Nie tu, na tej urokliwej, senniejszej wysepce pośrodku Morza Karaibskiego. Wszystko złe, co się miało wydarzyć, wydarzyło się na St. Regis. Niebezpieczeństwo minęło.

A jeśli nie? Cholera jasna, a jeżeli nieświadomie wciągnął Tabi w to plugastwo? Zaciskając palce na kieliszku, ostrożnie go odstawił. Niepokoju nie zagłuszy kieliszkiem wina. Zresztą jeżeli za rogiem naprawdę czai się niebezpieczeństwo, lepiej być stu-procentowo trzeźwym.

Przede wszystkim musi myśleć o Tabicie. Nic innego nie ma znaczenia. Nie może pozwolić na to, aby stała się jej krzywda. Oczywiście nie ona jest celem, ale skoro razem podróżują po wyspie... Wściekły, zaklął w duchu.

- Dev? Na pewno nic cię nie boli?

Spojrzenie mu złagodniało, kiedy zobaczył jej zadowoloną minę. Cieszył się, że Tabitha tak przejmuje się jego stanem zdrowia. To było miłe uczucie, do którego powoli coraz bardziej się przyzwyczajał. Przemknęło mu przez myśl, że bolące żebra to doskonały pretekst, by zakończyć wycieczkę. Jeżeli tylko napomknie, że jednak ból mu doskwiera, Tabi natychmiast zaproponuje powrót na statek. Może to nie jest złe rozwiązanie?

- Prawdę mówiąc, to... - zaczął ponurym tonem.

- Wiedziałam! - zawołała, rzucając na stół bawełnianą serwetkę. - A ty chciałeś grać rolę twardziela i udawać, że nic ci nie jest! Boże, to wszystko moja wina!

- Twoja? - Patrzył z rozbawieniem, jak dwa cudowne rumieńce zabarwiają jej policzki.

- No tak - mruknęła niewyraźnie. - Z powodu

wczorajszej nocy. - Obejrzała się dookoła, szukając wzrokiem kelnera.

- Kochanie, skończ z wyrzutami sumienia - poprosił ją łagodnie. - Dziś rano miałaś do siebie pretensje o to, że mnie uwiodłaś, teraz z kolei masz pretensje, że przez te miłe igraszki bolą mnie żebra. Błagam, przestań się obwiniać. Żebra bolą od pobicia, nie od seksu. Słowo honoru.

Nie słuchała go i dawała znaki kelnerowi. W porządku. Devlin postanowił się nie sprzeciwiać i potulnie poddać jej woli. Poprosiła kelnera o rachunek. Nawet zrezygnowała z koktajlu cytrynowego. Devlin z trudem powściągnął uśmiech; cóż za poświęcenie!

- Wstąpię na moment do toalety, dobrze? - powiedziała, kiedy kelner odszedł przygotować rachunek. - Poczekaj tu na mnie. Za chwilę wrócę i pojedziemy do portu. Powinieneś leżeć i odpoczywać.

- Przykro mi, że zepsułem ci wycieczkę - rzekł skruszony.

Naprawdę było mu przykro. Tabitha nastawiła się na zwiedzanie wyspy, a przez niego niczego więcej nie obejrzy. No ale niepokój, który towarzyszył mu od zejścia na ląd, stale się nasilał, on zaś już dawno nauczył się nie lekceważyć intuicji. Może to fałszywy alarm, może nic złego się nie wydarzy, lecz z Tabi u boku wolał nie ryzykować.

- Och, nie przesadzaj! Niczego nie zepsułeś! - Odsunęła krzesło i wstała od stołu. - Nie odchodź. Za minutę, góra dwie, będę z powrotem.

Odprowadził ją wzrokiem, z przyjemnością obserwując, jak kołysze biodrami. Sukienka w czerwono-białe paski, którą miała na sobie, była luźna, bez wcięcia w tali. Właściwie wszystkie ubrania Tabi były luźne, zwiewne i wygodne. Chociaż nie opinały ciała, to jednak zdawały się je podkreślać, a przynajmniej pobudzać wyobraźnię patrzącego. Wcześniej Devlin istotnie polegał na wyobraźni, ale teraz już nie musiał. Wiedział, jak piękne Tabi ma piersi, jak cudowne biodra.

Zobaczywszy, że kelner zmierza w jego kierunku, wyciągnął kartę kredytową. Wiedział, że Tabi nie będzie się guzdrać. Nie należała do tych kobiet, które przy każdej sposobności poprawiają sobie makijaż.

Złożył podpis na rachunku i spojrzął na zegarek. Powoli zaczynał się niecierpliwić. Tabithy nie ma już dziesięć minut. Hm, a mówiła, że wróci za minutę lub dwie. Może powinien do niej zastukać?

Niepokój narastał. Devlin sięgnął po laskę i wstał od stołu. Powtarzał sobie, że niepotrzebnie się denerwuje, na wszelki wypadek wolał jednak opuścić teren hotelu. Może to fałszywy alarm, lecz nie zamierzał czekać, by się o tym przekonać. Co innego gdyby był sam, ale nie chciał narażać Tabi na niebezpieczeństwo. Zapuka do toalety i poprosi, by się pospieszyła. Zawsze może powiedzieć, że nagle ból w żebrach się nasilił.

Idąc korytarzem w stronę drzwi oznaczonych dyskretną tabliczką „Dla pań”, przyśpieszył kroku. Miał

złe przeczucia, po krzyżu chodziły mu ciarki. Zanim jeszcze zapukał, wiedział, że nie doczeka się odpowiedzi.

Do diabła, co się mogło stać?

Bo to, że się stało, nie ulega wątpliwości. Niecierpliwym gestem pchnął drzwi i nie zważając na to, że mężczyźnie nie wypada zaglądać do damskiej toalety, sprawdził całe pomieszczenie. W środku nie było nikogo.

Ogród. Może przed powrotem na statek Tabi postanowiła zerknąć na wspaniałą zieleń opisywaną w broszurze reklamowej? Z okien sali restauracyjnej widać było zaledwie nieduży fragment bujnej roślinności. Może chciała zobaczyć labirynt, o którym czytała z takim zafascynowaniem?

Psiakrew, jeżeli wyszła na zewnątrz, nic mu o tym nie mówiąc... Pokręcił ze złością głową. Przecież jej nie ostrzegł, żeby nigdzie sama nie chodziła. Nie może jej winić za to, że nie oparła się pokusie obejrzenia labiryntu. Ruszył w stronę drzwi prowadzących do ogrodu. Koszulę na plecach miał mokrą od potu. Cholera, powinien był skłamać, powiedzieć Tabicie, że ledwo może wytrzymać z bólu. Wtedy lotem błyskawicy wróciłaby do stolika, nie wybrałaby się na żadne zwiedzanie.

Przez moment stał na tarasie, spoglądając na rozległy teren w dole. Może sto lat temu był to klasyczny, elegancki ogród. Teraz pełen rozłożystych krzewów, ogromnych żywopłotów, potężnych drzew,

splątanych zarośli, egzotycznych palm i kwiatów bardziej przypominał ciągnącą się kilometrami dżunglę. Devlin westchnął ciężko. Jak ma w tym gąszczu odnaleźć Tabi?

Nie było jej nigdzie widać. Nikogo nie było widać. Dookoła panowała głucha cisza.

Zacisnąwszy rękę na lasce, zastanawiał się, co robić. Zbyt wielkiego wyboru nie miał. Podejrzewał, że Tabi postanowiła dotrzeć do labiryntu, który -jak wynikało z broszury - mieścił się pośrodku tej puszczy.

Ruszył przed siebie. Zanim minął kilka pierwszych krzewów, z których każdy liczył co najmniej trzy metry wysokości, wiedział, że zaraz wydarzy się coś złego. Ciarki, które raz po raz przebiegały mu po skórze, wyraźnie wskazywały na to, że w pobliżu czai się niebezpieczeństwo.

Toteż nie zdziwił go widok, który ujrzał za następną bukszpanową ścianą.

Tabitha stała nieruchomo, wpatrując się w niego oczami wielkimi ze strachu. Obok niej stał uzbrojony wysoki chudzielec o długich tłustych włosach; wolną rękę trzymał zaciśniętą na jej ustach.

- Najwyższy czas, Colter. Już myślałem, że nie przyjdiesz po narzeczoną i trzeba będzie ci wysłać zaproszenie albo co. Ale Waverly był pewien, że się zjawisz.

Steve Waverly, ten parszywy skurwiel, który parę dni temu koniecznie chciał zatańczyć z Tabi, wyłonił

się zza krzaka i ponownie odsłonił w uśmiechu rząd równych białych zębów.

- Gra skończona, Colter - oznajmił krótko. - Oddawaj film.

Tylko lata doświadczenia pozwoliły Devlinowi zachować neutralny wyraz twarzy. Jak mógł być tak głupi i ślepy? Powinien był domyślić się, że temu skurwielowi chodzi nie tylko o Tabithę. Kim on jest, do licha, i skąd wie o filmie?

Devlin zmrużył oczy. Najwyraźniej bliskość Tabithy uspiła jego czujność. Inne sprawy zeszły na dalszy plan, stały się mniej ważne. Liczyła się wyłącznie ona. Psiakość, oby tylko za jego błąd i ślepotę nie przyszło im zapłacić życiem!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Puść ją, Waverly. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Nie spodziewał się, aby ten logiczny argument trafił draniowi do przekonania. I nie pomylił się. Waverly pokręcił z uśmiechem głową.

- Nie mam zamiaru, Colter. Jak dostanę film, możecie oboje wrócić na statek. A na razie panna Graham przyda mi się jako zakładniczka. Jako zachęta...

Tabi przenosiła spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego. Długowłosey chudzielec z pistoletem nie odzywał się. Widać było, że o wszystkim decyduje Waverly. Devlin skupił na nim uwagę, starając się nie myśleć o strachu wyzierającym z oczu Tabi.

- Waverly, tamtego wieczoru w barze ostrzegłem cię, że gorzko pożałujesz, jeśli kiedykolwiek zbliżysz się do Tabi. Wiesz, co cię czeka, jeśli chociaż jeden włos spadnie jej z głowy? - spytał cicho Devlin.

Uśmiech na twarzy blondyna na moment przygasł. Dobrze, pogratulował sobie w duchu Devlin; jeszcze potrafię napędzić bandzirowi stracha. Żałował, że nie wyrzucił blondyna za burtę, kiedy ten pierwszy raz zaszedł mu za skórę. Przynajmniej oszczędziłby sobie kłopotów.

- Ani tobie, ani twojej przyjaciółce nic się nie stanie. Oddasz mi film, który przejąłeś na St. Regis, i możecie dalej zabawiać się w parkę zachwyconych rejsem pasażerów. - Waverly łypnął okiem na Tabithę, która patrzyła na niego z obrzydzeniem. - O ile oczywiście pannie Graham nie będzie przeszkadzało granie roli twojego... hm, kamuflażu. Jak, panno Graham? Czy teraz, gdy zna pani prawdę o swym przyjacielu, nadał będzie pani z nim sypiała? On panią wykorzystał. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, postanowił zachowywać się jak rasowy turysta, poderwać sobie babkę... Pewnie nawet nie musiał się zbytnio natrudzić?

Mimo zaciśniętej na ustach ręki Tabitha usiłowała coś powiedzieć. Słów nie sposób było zrozumieć, ale jej oczy ciskały gromy. Nagle Devlin uświadomił sobie, że Tabi jest nie tylko przerażona, ale i wściekła. Jeśli rozniewana miała równie ognisty temperament jak ten, który zademonstrowała w łóżku, to biada jej

wrogowi. Dziwne. Do tej pory jawiła mu się jako osoba delikatna, krucha, która nie potrafiłaby muchy skrzywdzić.

- Panny Graham nie interesują twoje wywody, Waverly. Puść ją.

- Nic z tego.

- Nie mam filmu - oznajmił znużonym tonem Devlin. - Jest na statku. Ukryty w kabinie.

- Nie wierzę. Stale nosisz go przy sobie.

- Czyżby?

- Hej, Steve, każ mu się zamknąć i oddać film - wtrącił chudzielec, który był znacznie bardziej spięty niż Waverly.

A to nic dobrego nie wróżyło. Jeśli jest coś gorszego od bandziora z pistoletem, to zdenerwowany bandzior z pistoletem.

- Spokojnie. Pan Colter na pewno spełni nasze życzenie. Musimy go tylko przekonać, że nie żartujemy.

Wolno, jakby mu się nigdzie nie spieszyło, blondyn wyjął z kieszeni zapalniczkę i zapalił papierosa. Może faktycznie mu się nie spieszyło. Poza nimi w ogrodzie przypuszczalnie nie było żywej duszy.

- Skąd wiesz, że na St. Regis cokolwiek przejąłem? - spytał od niechcienia Devlin.

- Facet, który próbował cię zatrzymać w tej wąskiej alejce, przeżył - odparł z uśmiechem Waverly, mrużąc oczy przed dymem tytoniowym. - Nie wiedziałeś o tym, prawda? Niemal skatowałeś biedaka na

śmierć, a potem wepchnąłeś do pojemnika na śmieci. Tam go znaleźliśmy. Myślałeś, że nie żyje, co?

- Nie byłem pewien... - Devlin wzruszył ramionami. - Nie chciałem, żeby zaśmiecał okolicę.

Resztkami sił wrzucił skatowane ciało do pojemnika. Miał nadzieję, że minie dużo czasu, zanim ktoś zajrzy do środka. Wyglądało na to, że niepotrzebnie zadał sobie tyle trudu. Kątem oka zauważył, że Tabi przygląda mu się z niedowierzaniem. Nic dziwnego, przeżyła szok. No cóż, później postara się jej wszystko wytłumaczyć. Na razie musi dogadać się z bandziorami.

- W każdym razie - ciągnął blondyn - facet przeżył. Dzięki jego informacjom zidentyfikowałem ciebie. Wcześniej wiedzieliśmy, że jeden z pasażerów ma odebrać film na St. Regis, ale nie wiedzieliśmy który. Kiedy Jeffers opisał mi wysokiego gościa z laską, bez trudu cię odnalazłem. - Skierował wzrok na Tabithę. - Przyznam się, że z panią miałem pewien kłopot, gdyż zdecydowanie różni się pani od kobiet, z którymi Colter zwykle się zadaje. Dopiero później zrozumiałem, że pani mu służy za, jak to wcześniej określiłem, kamuflaż. Za przykrywkę. No cóż, przykro mi, że tak się pechowo złożyło. - Podszedł krok bliżej. - Skoro mowa o pechu... - Pogładził ją palcem po brodzie. - Pewnie wolałaby pani, żebym nie pogruchotał pani kości, prawda?

- Zostaw ją, Waverly! - wycedził Devlin.

Blondyn odwrócił się, uśmiechnął sarkastycznie,

po czym wolno przeciągnął dłonią po szyi Tabithy, po jej ramieniu i piersi.

- Zostaw ją, skurwielu! - Devlin nie wytrzymał.
- Z przyjemnością, Colter. Jak oddasz film.
- W porządku, oddam! Tylko puść ją!

Blondyn podszedł krok w stronę Devlina i wyciągnął rękę.

- Najpierw film.

Tabitha wiedziała, że druga taka okazja się nie nadarzy. Wysoki chudzielec o długich tłustych włosach wpatrywał się intensywnie w obu mężczyzn. O niej prawie całkiem zapomniał. Czyli teraz albo nigdy.

Odwróciła się i z przytłumionym okrzykiem rzuciła się na uzbrojonego chudzielca. Zaskoczony niespodziewanym atakiem, zachwiał się i stracił równowagę.

- Tabi!

Upadając na swego oprawcę, usłyszała, jak Devlin woła jej imię. Ale nie myślała o nim; myślała wyłącznie o pistolecie. Chudzielec, choć wyglądał na chuchro, niestety miał więcej siły, niż można było podejrzewać. Zdała sobie sprawę, że go nie pokona. Wił się pod nią, ściskając pistolet w ręce. Na szczęście nie mógł go unieść i wycelować.

- Ty dziwko! - Wolną ręką usiłował ją z siebie zepchnąć. - Złaż ze mnie, ty cholerna dziwko!

W tym samym momencie rozległ się świst. Devlin zamachnął się laską, walnął nią w twarz blondyna, a następnie - gdy Tabi zaczynała już tracić wiarę

w zwycięstwo - z całej siły nadepnął na rękę, w której chudzielec trzymał broń. Bandzior wrzasnął, lecz zamiast puścić pistolet, jeszcze mocniej zacisnął dłoń na rękojeści.

Nadludzkim wysiłkiem zrzucił z siebie Tabithę, która wpadła na Devlina. Ten zachwiał się pod wpływem niespodziewanego uderzenia. Po chwili obydwoje odzyskali równowagę, ale było już za późno.

- Waverly! Łap!

Leżący na ziemi długowłosey chudzielec cisnął broń w stronę kumpla. Devlin zaklął siarczyście. Sekundę potem kantem dłoni huknął wroga w szyję, pozbawiając go przytomności. Cios karate okazał się skuteczny.

Wściekając się na sztywną nogę, która spowalniała jego ruchy, Devlin wyprostował się. Psiakrew! Nie zdąży dotrzeć w porę do blondyna. Waverly jedną ręką trzymał się za zakrwawioną głowę, a palce drugiej zaciskał na pistolecie.

- Tabi! Labirynt! - krzyknął Devlin.

Złapawszy ją za nadgarstek, rzucił się do wejścia prowadzącego w głąb bukszpanowych korytarzy. Boże! Ile by dał za to, by mieć dawną zwinność! Na intuicji wciąż mógł polegać. Gdyby mógł również polegać na swoich nogach!

Dzięki Bogu, że Tabi nie zadaje pytań, pomyślał z satysfakcją, wciągając ją coraz głębiej w zielony gąszcz. Zmysł orientacji podpowiadał mu, którędy iść.

Tabitha nie zadawała pytań, gdyż usiłowała pokonać strach i gniew. Ściany labiryntu sięgały wysoko,

blokując promienie słoneczne, w dodatku były tak grube, że nie sposób było dojrzeć sąsiedniego korytara. Najwyraźniej projektant potraktował zadanie niezwykle poważnie i stworzył labirynt z prawdziwego zdarzenia. Tylko czego Devlin tu szuka? Jeszcze się zgubią i...

Ale może o to mu chodzi. Waverly ma pistolet, a oni są nieuzbrojeni.

Nagle przystanęli. Devlin zaczął ją wpychać w kłującą zieloną ścianę. Po chwili Tabitha zrozumiała, dlaczego się zatrzymali: trafili w ślepy zaułek.

Bez słowa wpatrywała się w srebrzyste oczy, które iskrzyły się dziwnym, lodowatym blaskiem. To nie był ten sam łagodny, nieśmiały mężczyzna, którego poznała na statku i którego wczorajszej nocy uwiodła. Tamten Devlin był spokojnym człowiekiem, ten zaś człowiekiem brutalnym, niebezpiecznym, który ją przerażał. Zdała sobie sprawę, że boi się go niemal tak samo jak blondyna i chudzielca, który wymachiwał bronią. Raptem zaschło jej w gardle.

- Nie ruszaj się. Nawet o milimetr - powiedział prawie bezgłośnie. - I nic nie mów. Będziemy mieli tylko jedną szansę. Skiń głową, jeśli mnie rozumiesz.

Nie odezwała się, lecz posłusznie kiwnęła głową. Wbiła paznokcie w poduszki dłoni. Jeszcze przez chwilę nie spuszczał z niej wzroku, po czym odwrócił się twarzą do wejścia. Tabitha tkwiła bez ruchu, wciśnięta w bukszpanowe liście. Wstrzymując oddech, wpatrywała się w otwór, przez który weszli

w ślepy zaułek. Nie czyniąc najmniejszego hałasu, Devlin przeszedł parę kroków po trawiastym podłożu. Podejrzewała, że gdyby pod nogami miał suche liście lub żwir, poruszałby się tak samo bezszelestnie. Mimo że podpierał się laską, przypominał dzikie, drapieżne zwierzę. Dlaczego wcześniej nie zwróciła na to uwagi?

Znała odpowiedź: ponieważ chciała w nim widzieć kogoś innego. Jej wyobraźnia stworzyła postać równie bajeczną jak te, które zaludniały strony średniowiecznych bestiariów. Teraz miała przed sobą prawdziwego człowieka, mężczyznę z krwi i kości.

Gdzieś nieopodal po zielonych korytarzach krążył inny drapieżnik. Steve Waverly ruszył za nimi w po- goń, na pewno wszedł do labiryntu. Nie ma powodu, by zrezygnował z pościgu. Wiedział, że ci, na których poluje, są nieuzbrojeni. A bardzo chciał zdobyć coś, co ma Devlin.

Zanim Devlin skęcił w sąsiedni korytarz, na mo- ment przystanął. Uniósł laskę. Rozległ się cichy sze- lest. Ku swojemu przerażeniu Tabitha zobaczyła, jak z wnętrza laski wyłania się lśniące stalowe ostrze. Wpatrywała się w nie, sparaliżowana strachem. Dev- lin obejrzał się przez ramię. Twarz miał zimną, twardą i skupioną.

Cholera jasna! - Devlin zaklął w duchu. Co ona sobie wyobraża? Że pokona Steve'a, zachowując się jak dżentelmen? Prosząc drania, by łaskawie zechciał zostawić ich w spokoju? Szpada i tak nie stanowi

dostatecznej obrony przed pistoletem. A Tabi najwyraźniej wołałaby, by i tego nie miał.

Nie, uznał po chwili, ona nie chce pozbawić go broni. Chce, żeby znikł z jej życia, on, wyspa, labirynt, Waverly. Cholera, będzie musiał się porządnie natrudzić, by ją uspokoić. Biedaczka jest w szoku. Odwrócił się szybko, żeby dłużej nie widzieć jej błagalnego, a zarazem oskarżycielskiego spojrzenia. Najpierw musi rozprawić się z blondynem.

Skręcił bezszelestnie w sąsiednie przejście. Szttywna noga nie pozwalała mu ruszać się tak szybko jak przed wypadkiem, ale na szczęście nie uniemożliwiała chodzenia. W tym momencie wołał nie podierać się laską. Laskę trzymał w pogotowiu - może mu się przydać w każdej chwili.

Gdzie Waverly? Wytężył zmysły, które nigdy go nie zawodziły. Szkoda, że je wcześniej zlekceważył. Od zejścia na ląd czuł, że coś jest nie tak. Gdyby posłuchał intuicji, może nie doszłoby do całej tej koszmarnej sytuacji. Jeżeli cokolwiek złego stanie się Tabicie, to będzie jego wina. Na samą myśl o tym zacisnął mocniej rękę na lasce. Po chwili zmusił się, by rozluźnić uścisk. Potrzebuje spokoju; nerwy i napięcie zaciemniają umysł.

Nagle coś usłyszał. Hałas płynął jakby od wejścia do labiryntu. Odwrócił się, licząc na to, że cichy, świszczący dźwięk się powtórzy, po czym ruszył wolno przed siebie. Czy Waverly zaryzykuje wejście do labiryntu? Czy czeka na zewnątrz, świadom, czym

grozi polowanie na wroga, kiedy nie widzi się, co jest za najbliższym zakretem? Devlin zerknął na czubek ostrza. Potrzebował pół sekundy. Pół pieprzonej sekundy przewagi.

Świszczący dźwięk się powtórzył - a zatem Waverly wszedł w labirynt. Devlin zacisnął zęby. Psiakrew, mówił Delaneyowi, że nie nadaje się do tej roboty. Że czterdziestoletni facet ze sztywną nogą powinien siedzieć za biurkiem, a nie uganiać się za bandytami. Kolejny świst. Albo Waverly nie przejmuje się tym, że ktoś go może usłyszeć, albo nie potrafi chodzić bezszelestnie. Przypuszczalnie niecierpliwi się; chce zakończyć całą sprawę, zanim w ogrodzie pojawią się turyści. To dobrze; pośpiech sprawia, że człowiek staje się nieostrożny. Devlin zwolnił oddech, maksymalnie wyteżył słuch. Nagle tylna ściana bukszpanu leciutko zadrżała.

Aha! Waverly wędruje sąsiednim korytarzem.

Devlin zawahał się. Iść w prawo czy w lewo? Który koniec korytarza jest otwarty, a który zamknięty? Może się okazać, że skręci w prawo i naprzeciw siebie ujrzy ścianę bukszpanu. Lub że skręci w lewo i natknie się na pistolet blondyna.

Najrozsądniej byłoby zacząć się przy skrzyżowaniu. W czekaniu miał nad Waverlym zdecydowaną przewagę; młodszych ludzi cechuje znacznie większa niecierpliwość.

Zbliżywszy się do zbiegu korytarzy, przywarł plecami do zielonej ściany. Prędej czy później Waverly

wyłoni się zza zakrętu. Przynajmniej Tabitha jest bezpieczna - stoi na końcu ślepego zaułka. Po drodze nie ma skrzyżowań, żaden uzbrojony łobuz nie może jej zaskoczyć.

Waverly krążył nieopodal, tuż za gęstą bukszpanową ścianą. Devlin coraz wyraźniej słyszał jego oddech. Wreszcie bandzior stracił cierpliwość.

- Słuchaj, Colter.

Devlin podskoczył. Głos rozległ się prawie przy jego uchu.

- Ja tylko chcę ten film. Przynieś go przed labirynt, a puszcę was wolno.

Akurat! - pomyślał Devlin. Masz mnie za durnia? No chodź, blondasku, podejdź bliżej.

- Colter, słyszysz mnie?

Devlin milczał. Głos powoli się oddalał. Widocznie Waverly najpierw zamierza sprawdzić inne przejście, a dopiero potem skręcić w korytarz, u wylotu którego czekał Devlin. Czekanie jest sztuką trudną do opanowania. Ale kiedy od tego zależy życie, człowiek nie ma wyjścia, uczy się cierpliwości.

Mijały minuty. Od czasu do czasu Waverly wołał, usiłując przekonać Devlina, aby wyszedł z ukrycia. Devlin nie ruszał się z miejsca. Wreszcie usłyszał, że bandzior kieruje się w jego stronę. Waverly nawet już nie starał się zachowywać cicho. Widać było, że chce jak najszybciej wszystko załatwić. Jego zdenerwowanie i niecierpliwość działały na korzyść Devlina.

Biegł. Devlin wyteżył uwagę. Tak jak powiedział

Tabi, mają tylko jedną szansę. Odczekał jeszcze dwie sekundy, tak by uzyskać maksymalną przewagę. Kiedy wyczuł, że bandziora dzieli najwyżej pół metra od skrzyżowania, oderwał plecy od ściany i skoczył przed siebie, zamachując się ostrzem.

Na widok wroga, który wyrósł przed nim jak spod ziemi, Steve Waverly krzyknął, zanim jednak zdążył pociągnąć za spust, twarda stała rozcięta mu rękę. Trysnęła krew. Pistolet wysunął się z bezwładnych palców i upadł na ziemię. Waverly ponownie krzyknął, tym razem z bólu, i chwycił się za krwawiące przedramię.

- Stój, bo rozplątam ci gardło - syknął Devlin.

Dla wzmocnienia efektu przytknął czubek szpady do szyi blondyna. Ten zastygł. Z jego oczu wycierał strach. Balansując na zdrowej nodze i nie cofając ostrza, drugą nogą Devlin kopnął broń poza zasięg bandziora. Nie schylił się po nią; wołał nie ryzykować upadku. Ta cholerna noga!

- W porządku, Waverly. Idziemy. Odwróć się i ruszaj.

- Na miłość boską! Wykrwawię się na śmierć!

- Nic ci nie będzie. Niestety. No, ruszaj.

- Posłuchaj, Colter. Możemy dobić targu, podzielić się zyskiem. Dam ci cały udział Eddiego.

- Eddie to twój kumpel, który leży nieprzytomny?

- Tak. Weźmiesz jego dolę...

- Mam dziwne przeświadczenie, że nie można ci ufać, Waverly. Ciekawe dlaczego?

Devlin lekko dźgnął blondyna, który posłusznie, choć niechętnie, skierował się do wyjścia.

- Mylisz się. Można.

- Akurat. Ale nawet gdybyś był wiarygodny, to i tak miałbym ochotę poderżnąć ci gardło. Za to, jak postąpiłeś z Tabithą. Popełniłeś błąd, Waverly. Duży błąd. Więc lepiej milcz, bo nie ręczę za siebie.

- Nie wyrządziłem jej krzywdy!

- Ale jej groziłeś. I jej dotknąłeś. Ostrzegałem cię, prawda? Że gorzko pożałujesz, jeśli się do niej zbliżysz.

- Colter, posłuchaj mnie!

- Stul pysk, Waverly! I maszeruj.

- W którą stronę? Płaczą mi się te korytarze.

- Doszedłszy do kolejnego skrzyżowania, Steve przystanął zagubiony.

- W prawo - odparł automatycznie Devlin. Wciąż miał doskonałą orientację w terenie. Najwyraźniej niektórych umiejętności się nie traci. - Teraz w lewo.

Wydając krótkie polecenia, kilka minut później wyprowadził blondyna z labiryntu.

- A teraz kładź się obok swojego kumpla.

Spoglądając gniewnie spode łba, Waverly położył się na ziemi.

- A moje ramię? - spytał.

- Pokrwawi i przestanie - odparł niedbale Devlin, po czym podniósł głos: - Tabi? Słyszysz mnie? Możesz już wyjść!

Cisza.

- Tabi!

- Słyszę, Dev. - Jej głos brzmiał tak, jakby dochodził z daleka.

- Możesz już wyjść. Wszystko jest pod kontrolą.

- Po chwili uzmysłowił sobie, że z trudem panuje nad wściekłością. Może Tabitha ją wyczuwa i się boi?

- Tabi! - zawołał ponownie.

- Idę, Dev. Ale to potrwa.

- Potrwa? Dlaczego, do jasnej...

- Bo tu nie ma strzałek wskazujących kierunek. To labirynt, zapomniałeś? - Jej głos coraz bardziej się oddalał.

- Tabi, nie mogę po ciebie wrócić. Muszę pilnować tych bandziorów. Słuchaj, po drodze powinnaś trafić na pistolet, który Waverly wypuścił z ręki. Weź go.

Odpowiedziało mu milczenie.

Przestępował nerwowo z nogi na nogę. Nie potrafił zdobyć się na cierpliwość. Chciał zobaczyć Tabithę, przekonać się, że jest bezpieczna, a potem pozbyć się blondasa i jego chudego koleżki. Im szybciej, tym lepiej. Resztą niech się zajmie Delaney. On, Devlin, marzył tylko o tym, aby wrócić z Tabi na statek i wszystko jej wytłumaczyć. Wiedział, że czeka go nie lada przeprawa.

Minęły kolejne trzy minuty.

- Tabi? Co tak długo? Po prostu wędruj tymi samymi korytarzami, którymi szłaś wcześniej.

- Ale ja ich nie odróżniam. I przestań na mnie krzyczeć!

- Nie krzyczę. Kotku, proszę, spiesz mi się.

- No to ruszaj beze mnie! - warknęła.

Zrobiło mu się jej żal.

- Tabi?

- Chyba jestem na środku tego labiryntu...

- Kochanie, spróbuj kierować się słońcem! - zawołał. - Pośpiesz się.

Znów nastała cisza. Czas płynął: jedna minuta, dwie, trzy. Czuł coraz większe rozdrażnienie. Co ona wyrabia? Jeśli specjalnie ociąga się z wyjściem...

- No, nareszcie! - mruknął, kiedy nagle ukazała się jego oczom.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie cieszył się na czyjś widok. Jednakże jego twarz nie zdradzała żadnych oznak radości. Wyłoniwszy się z bukszpanowego labiryntu, Tabitha zamarła. Naprzeciw siebie miała trzech mężczyzn: jeden leżał nieprzytomny, drugi trzymał się za krwawiące ramię, a trzeci patrzył na nią z gniewem w oczach i celował czubkiem ostrza w pozostałych dwóch. Przełknęła ślinę. Chudzielec się nie ruszał. Może nie żył?

- Widzę, że znalazłaś pistolet. Doskonale. Bądź tak dobra i mi go podaj.

Zezłościł ją jego ton, przesadnie uprzejmy i cierpliwy. Psiakrew, to wszystko jego wina! Bez słowa podeszła kilka kroków, które ją od niego dzieliły, i wręczyła mu broń. Trzymając pistolet w prawej ręce,

palcem lewej Devlin wcisnął niewidoczny przycisk na lasce; ostrze wsunęło się do środka. Następnie z westchnieniem ulgi wsparł się na hebanowej lasce.

Zignorowała grymas bólu. Nigdy więcej nie da się nabrać na te jego sztuczki. Zmrużyła oczy.

- Co teraz? - spytała chłodno.

- Teraz trzeba zająć się tą dwójką. Idź do hotelu i poproś o pomoc. Niech zadzwonią po policję. Muszę wyjaśnić wszystko miejscowym, stróżom prawa.

Tabitha odwróciła się, zadowolona, że może się oddalić. Nienawidziła przemocy i okrucieństwa.

- Tabi?

Znużona obejrzała się przez ramię.

- Co?

- Mówiłaś, że jesteś na środku labiryntu... Skoro myliły ci się korytarze, to jak zdołałaś tak szybko znaleźć drogę?

- Przypomniało mi się coś, co kiedyś przeczytałam.

- Co takiego? - spytał zdumiony.

- Że trzeba przytknąć rękę do ściany i jej nie odrywać. Dzięki temu nie zdubluje się trasy. - Mimo że wciaż była zła, nie umiała ukryć dumy.

- Och, Tabi, pokutuje taki stary mit, ale on nijak nie ma się do prawdy. Ta metoda... po prostu miałaś szczęście.

- Stary mit, Dev? Nie zapominaj, że jestem specjalistką od mitów. I bardziej w nie wierzę niż w bajki opowiadane przez takich facetów jak ty.

- Nie czekając na odpowiedź, energicznym krokiem ruszyła do hotelu.

Psiakość! To będzie długa noc, pomyślał i popatrzył z wściekłością na Waverly'ego.

- To przez ciebie, ty draniu! Przez ciebie i twoją cholerną chciwość.

Blondyn, słusznie wychodząc z założenia, że szczęście i tak mu długo sprzyja, na wszelki wypadek milczał.

Policjanci, elegancy w jasnych letnich mundurach, przybyli dwadzieścia minut później. Tabitha im nie towarzyszyła.

Wyjaśnwszy miejscowej policji, co się stało, Devlin zadzwonił z komisariatu do Delaney. Rozmowa z byłym szefem, który całe zajście potraktował dość nonszalancko, nie poprawiła mu humoru.

- Wciąż jesteś najlepszy, Dev - oznajmił pogodnie Delaney. - Mówiłem ci, a ty nie chciałeś wierzyć.

- Najlepszy, psiakrew? Chryste, Delaney! O mało nie zginąłem. Co gorsza, przeze mnie o mało nie zginęła niewinna kobieta. Byłem głupi, że dałem ci się namówić na tę robotę. Nie powinienem... Zresztą po jaką cholere próbuję ci cokolwiek wytłumaczyć? Ty i tak wiesz swoje. Zawsze z uporem dążyłeś do celu.

- Dążyłem i dotarłem. Dzięki uporowi. I intuicji, której tobie natura też nie poskapiła. Pod tym względem jesteśmy podobni.

Devlin zacisnął z bólu zęby. Noga znów zaczęła mu

dokuczać. Pewnie dziś nie zdoła namówić Tabithy, aby ją pomasaowała.

- Dobra, Delaney, kiedy indziej o tym pogadamy. Statek odpływa za czterdzieści minut. Przesyłkę dostarczę ci po powrocie do Stanów, a ty się postaraj, żeby żadne zbiry nie zakłócały mi podróży. Jeśli mnie pamięć nie myli, to miało być dziecinnie proste zadanie.

Delaney roześmiał się wesoło.

- Do zobaczenia, Dev. Życzę miłego rejsu. - Rozłączył się.

Devlin zaklął w duchu. Cholerne waszyngtońskie typy! No dobrze. Teraz musi wziąć się w garść i załagodzić konflikt z Tabithą. Jeśli wszystko dobrze rozegra, niedługo Tabi będzie mruczała jak zadowolona kotka.

- Wkrótce ktoś się zjawi po tych dwóch bandziorów - zapewnił szefa miejscowej policji, który wciąż nie bardzo kojarzył, o co w tym wszystkim chodzi. - Do tego czasu niech pan, kapitanie, trzyma ich pod kluczem i pilnuje, żeby się nie wymknęli.

- Oczywiście, panie Colter, zawsze chętnie pomagamy naszym amerykańskim kolegom. Ale chcielibyśmy otrzymać bardziej wyczerpujące wyjaśnienia.

Kapitan, łysiejący mężczyzna w średnim wieku, zmarszczył z namysłem czoło. Był dobrym gliniarzem i nie lubił, gdy na wyspie działy się jakieś dziwne rzeczy, zwłaszcza z udziałem cudzoziemców.

- Dżentelmen, który przybędzie po tych dwóch, na

pewno z przyjemnością odpowie na wszystkie pana pytania - oznajmił Devlin.

Nie zamierzał tkwić tu ani minuty dłużej. Chciał jak najszybciej wrócić na statek. Do Tabithy.

Podejrzewał, że zamknęła się w kabinie, że siedzi tam przerażona i zdenerwowana. Wolał rozmawiać z nią i jej udzielać wyjaśnień, niż tracić czas na rozmowę z szefem miejscowej policji.

Biedna Tabi, pomyślał, zatrzymując taksówkę. Tak wiele dziś przeszła. Kto wie, czy znów mu nie uratowała życia. Gdyby nie odepchnęła chudzielca z pistoletem, sprawy mogłyby potoczyć się inaczej. Pokręciwszy z zadumą głową, wysiadł z taksówki. Akurat zdążył na ostatni kurs łodzi dowożącej pasażerów na statek.

Tabi... co za kobieta! Energiczna, silna duchem, nie wpadła w popłoch, gdy do niej celowano.

Marzył o tym, by wreszcie pochwycić ją w ramiona! Tak, weźmie ją w ramiona i wszystko jej wytłumaczy, a potem będzie ją całował, pieścił, kochał. Tak długo będzie prosił o wybaczenie, dopóki się nad nim nie zlituje. Wierzył, że się pogodzą, że Tabi mu wszystko wybaczy. Ktoś tak szlachetny i wspaniałomyślny nie potrafi nosić w sercu urazy. Wkrótce znów będzie mu jadła z ręki. Znów będą szczęśliwi.

Kiedy jednak dotarł na statek, szlachetnej i wspaniałomyślnej Tabithy Graham nie było w kabinie. Prawdę mówiąc, nie było jej nigdzie. Statek zdążył odpłynąć daleko od portu, zanim Devlin, który mag-

lował całą załogę, poczuwszy od stewarda, a skończywszy na kapitanie, odkrył, że Tabitha wróciła na statek tylko po swoje rzeczy, a następnie udała się na lotnisko, skąd pierwszym samolotem miała odlecieć do Stanów.

Niepocieszony spędził wieczór samotnie. Nie mógł nic zrobić, dopóki statek nie dobije do kolejnego portu. Wyciągnął butelkę whisky. Po każdym łyku spozierał gniewnie na hebanową laskę: w rączce znajdował się mały tajemny schowek, w którym tkwił ukryty mikrofilm.

Waszyngtońskie typy, psiakrew! Laskę też zaprojektował jakiś wynalazca waszyngtoński.

Wypiwszy kolejnego drinka, Devlin podjął decyzję. Koniec, basta! Nie będzie miał z nimi więcej do czynienia. Wróci, odda film, po czym zacznie nowe życie. Jak najdalej od Waszyngtonu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chociaż minął tydzień, odkąd wróciła do Port Townsend, wciąż nie mogła dojść do siebie. Wciąż kipiła z gniewu. Devlin Colter bezczelnie ją wykorzystał.

Ilekoć o tym myślała, narastała w niej głucha, bezsilna wściekłość. Jeszcze nigdy w swoim prawie trzydziestoletnim życiu nie doświadczyła tak silnych i gwałtownych emocji, jak w ciągu ostatniego tygodnia.

Nie, to nieprawda, zreflektowała się. Równie silne emocje czuła tej nocy, gdy uwiodła Devlina.

Namiętność i gniew. Dotychczas to były puste, nic nieznaczące słowa. Dzięki Devlinowi poznała ich

smak. Na razie całą uwagę koncentrowała na gniewie. O szalonej namiętności, która targała nią na statku, wolała nie wspominać. Wspomnienia były zbyt świeże i bolesne.

Żeby nie zwariować, rzuciła się w wir pracy. Niemal nie wychodziła z księgarni; spędzała w Mandali dziesięć godzin na dobę.

Devlin oszukał ją, zabawił się jej kosztem. Czasem, gdy rozpakowywała karton książek, ręce tak bardzo się jej trzęsły, że nie była w stanie utrzymać w nich nożyczek. Zdarzało się też, że przeglądając kolekcję bestiariów, raptem zatrzymywała wzrok na rysunku smoka. Na jego widok zastygała bez ruchu, po czym szybko zamykała książkę.

Udawanie. Gra pozorów. Po co to robił? Dlaczego spędzał z nią tyle czasu? Dla zmylenia przeciwnika? Bo stanowiła idealną przykrywkę? Bo się nudził? Bo chciał w ten sposób odwdziżyć się jej za pomoc, jakiej mu udzieliła, kiedy leżał pobity w mrocznej alejce?

Żadna z tych odpowiedzi się jej nie podobała. I żadna nie umniejszała jej wściekłości.

Boże, jak mogła być taką idiotką! Pewnie Devlin dusił się ze śmiechu, kiedy ona, chcąc go uwieść, zamawiała mu kolejne drinki i opowiadała o zwyczajach godowych zwierząt ze średniowiecznych ksiąg. Na samo wspomnienie tamtego wieczoru oblała się głębokim rumieńcem.

Dziesiątego dnia od powrotu do domu układała na

półkach nowe książki, kiedy ni stąd, ni zowąd znów stanął jej przed oczami obraz dwóch nagich ciał splecionych w miłosnym uścisku. Znieruchomiła z ręką w powietrzu.

Tym razem, o dziwo, ręka jej nie drżała, a ona sama nie trzęsła się z wściekłości, nie czuła też upokorzenia. Przez kilka długich chwil nieobecny wzrokiem wpatrywała się w książki. Hm, tamtego wieczoru na statku zakosztowała prawdziwej, szalonej namiętności. Zakochana w Devlinie, postanowiła go zdobyć. Był jej wymarzonym mężczyzną.

Cokolwiek innego można by powiedzieć o tym niefortunnym zdarzeniu, jedno nie ulegało wątpliwości: osiągnęła cel. Uwiodła smoka. I nawet jeśli w głębi duszy Dev się z niej wyśmiewał, to jednak nie zdołał się oprzeć jej wdziękowi. Pożądali się nawzajem. Nigdy dotąd z taką siłą nie pragnęła żadnego mężczyzny. Nawet nie sądziła, że jest zdolna do tak wielkich uniesień.

Wprawdzie kochała się z wytworem własnej fantazji, z mężczyzną, który tak naprawdę istniał wyłącznie w jej wyobraźni, ale co to był za seks! Może Devlin Colter nie traktował jej poważnie, może ją wykorzystywał, może się z niej naigrawał, ale tej jednej nocy jego reakcje były szczere. Niczego nie udawał - pragnął jej do szaleństwa.

Uśmiechając się kwaśno, Tabitha dokończyła ustawianie książek na półce, po czym wróciła do lady. Jaka szkoda, że Devlin tylko grał rolę dobrego, wrażliwego

i nieśmiałego człowieka. Gdyby taki był w rzeczywistości...

Jej rozważania przerwało brzęczenie dzwonka nad drzwiami. Najwyższym wysiłkiem woli przybrała uprzejmy wyraz twarzy. Prowadzi sklep; klientów należy witać uśmiechem, miłym słowem. Do środka weszła młoda para. Wyglądali na ludzi, którzy wiedzą, czego chcą. Ale kto wie? Niektórzy potrzebują zachęty lub podpowiedzi.

- Zauważyliśmy na wystawie plakat z feniksem i zastanawialiśmy się, czy to dekoracja, czy może jest na sprzedaż - powiedział mężczyzna.

- Strasznie nam się podoba - dodała jego partnerka, atrakcyjna dziewczyna o długich, zaplecionych w warkocze włosach.

- Ten na wystawie to dekoracja, ale mam kilka innych na sprzedaż - oznajmiła Tabitha. Pochyliwszy się, wydobyła spod lady sporych rozmiarów tubę, z której wyciągnęła zwój arkuszy. - Proszę, niech państwo sobie obejrzą. Feniksy to ulubiony temat wielu artystów.

Mężczyzna z dziewczyną zaczęli ostrożnie przekładać plakaty. Na większości z nich legendarny ptak, mitologiczny symbol odrodzenia, widniał w klasycznej pozie powstawania z własnych popiołów.

- Uważam, że ten najlepiej pasuje nam do salonu - stwierdziła w końcu dziewczyna. - Będzie idealnie współgrał z kolorystyką ścian i mebli.

Tabitha zerknęła na wybrany plakat.

- Doskonały wybór - pochwaliła. - Zdaniem wielu badaczy pierwowzorem feniksa była czapla błękitna, którą w starożytności składano w ofierze egipskiemu bogowi słońca. Ptak na wybranym przez państwa plakacie ma właśnie takie błękitnawe upierzenie.

- Bładofioletowe, jak by je określiła nasza projektantka - rzekł z pogodnym uśmiechem mężczyzna. - Kiedy go oprawimy, rzeczywiście będzie się świetnie prezentował na ścianie.

Skinąwszy głowę, Tabitha przyjęła pieniądze, po czym starannie zapakowała plakat. Kiedy klienci zniknęli za drzwiami, zaczęła zwijać pozostałe plakaty w rulon. Dumna była ze swej kolekcji feniksów. Niektóre plakaty sama zamawiała u miejscowych artystów, inne kupowała. Różniły się od siebie barwą, kreską, ale wszystkie przedstawiały wspaniałe legendarne stworzenie, które trzy dni po śmierci w płomieniach na nowo się odradza. Nagle zamyśliła się. Feniks, płomienie, nowe życie...

Tego wieczoru, kiedy uwiodła Devlina, ją też trawił ogień. Może tak jak feniks, ona również mogłaby się odrodzić, zacząć nowe życie?

Ta kusząca myśl towarzyszyła jej przez całe popołudnie. Każde brzęczenie dzwonka, każde pojawienie się klienta wrywało ją z zadumy. Hm, jak by to było, gdyby nagle przeobraziła się w inną kobietę? W taką jak na statku, gdy leżała w ramionach Devlina. Tak, wtedy była kimś całkiem innym, kimś, kogo z trudem

rozpoznawała - kobietą pełną energii, nieskrępowaną, namiętą.

Dlaczego znowu nie mogłaby być taka? Energicznym krokiem przeszła do regału, na którym trzymała reprodukcje bogato ilustrowanych bestiariów. Wyciągnąwszy kilka tomów, przeniosła je na ładę, po czym każdy otworzyła na stronie z opisem feniksa i pograżyła się w lekturze.

Feniksy, przeczytała, to ptaki niezwykle długowieczne, żyjące pięćset lat. Po tym czasie budują na wysokiej palmie gniazdo z korzeni i kadzideł i giną w płomieniach, by trzy dni później odrodzić się z popiołów. No cóż, pomyślała z uśmiechem Tabitha; w kwestii wieku trochę różni się od feniksa. Za kilka dni kończy trzydziestkę. Z zafascynowaniem spoglądała na ilustracje, usiłując sobie wyobrazić siebie odrodzoną. Taką, jaką była przez jedną noc na statku.

Do pełnej przemiany potrzebuje wyjątkowego mężczyzny. Mężczyzny, który by ją docenił. Pokręciła smętnie głową. Gdzie takiego znaleźć? Mieszka w Port Townsend od sześciu lat, ma sporo znajomych, ale wszyscy widzą w niej cichą, bezbarwną myszkę, której udało się utrzymać męża zaledwie przez kilka miesięcy. Oczywiście ogromnie jej współczuli, kiedy Greg odszedł, ale podejrzewała, że nie byli tym faktem zaskoczeni.

Musi jakoś wszystkim pokazać się od nowej strony, zademonstrować swoje nowe oblicze. Doskonałą

okazją ku temu będą urodziny. Postanowiła, że urządzi przyjęcie.

Niczym dowódca wojska zaczęła starannie wszystko obmyślać. Już same przygotowania podziały na nią jak katharsis. Nagromadzona wściekłość i upokorzenie wyzwalały niesamowitą energię. Nigdy dotąd nie planowała czegoś na tak wielką skalę i nawet nie przypuszczała, że będzie to wymagało tyle pracy.

- Dwie skrzynki caberneta? - zdumiał się jej przyjaciel pracujący w pobliskich delikatesach. - Na pewno nie chodzi ci o dwie butelki?

Podobnie jak reszta ludzi w okolicy wiedział, że Tabitha nie ma zwyczaju zapraszać tabunów gości.

- Na pewno, George. Dwie skrzynki caberneta oraz skrzynkę sauvignon blanc rocznik osiemdziesiąty pierwszy. A teraz chciałabym zerknąć na wasze sery. Aha, potrzebuję sporo chleba na zakwasie. Możesz mi zamówić?

- Jasne, Tabitho, ale... wolno spytać, po co ci tyle jedzenia i wina? - Drapiąc się po siwej czuprynie, George Royce uśmiechnął się z zaciekawieniem.

- Wydaję przyjęcie z okazji swoich trzydziestych urodzin. Na które zapraszam ciebie i twoją żonę. Przyjdźcie koniecznie. I przyprowadźcie z sobą każdego, kto wam przyjdzie do głowy.

- Każdego, kto nam przyjdzie do głowy? Jak wielkie planujesz to przyjęcie?

- Ogromne!

Dzień przed urodzinami wywiesiła w oknie Man-

dali duże zaproszenie wykonane przez znajomego, który kilkadziesiąt metrów dalej prowadził galerię sztuki. Na zaproszeniu widniał rysunek przepięknego feniksa oraz informacja o tym, że nazajutrz Tabitha Graham wydaje u siebie przyjęcie urodzinowe, na którym wszyscy będą mile widziani.

- Zwałą ci się na głowę różne pijawki i darmozjady
- ostrzegła ją Sandra Adams.

- Nie szkodzi. Żarcia będzie w bród. Przyjdziesz, Sandy, prawda? Nie zawiedziesz mnie?

- Oczywiście, że przyjdę. Wszyscy sąsiedzi się wybierają. Strasznie jesteśmy ciekawi, co knujesz.

- Na moment zamilkła. - Przyznaj się, Tab: coś się wydarzyło podczas tego rejsu, prawda? Wydajesz się jakaś inna...

Tabitha uśmiechnęła się w duchu. Od kilku dni nosiła do dzinsów luźne koszule, pod które nie wkładała stanika. W tym czasie kilka osób napomknęło o zmianie, jaka się w niej dokonała. Zauważyła też taksujące spojrzenia mężczyzn. Wciąż ją peszyło zainteresowanie, jakie wzbudza, ale nie zamierzała się wycofać: przyjęcie się odbędzie, a ona ukaże wszystkim swoją nową twarz.

- Och, po prostu wspaniale się bawiłam - odparła;
- Poznałam na statku mnóstwo fantastycznych ludzi.

- To dobrze. Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Gołym okiem widać, jak dobrze ci zrobił ten rejs. Wypoczęłaś, rozkwitłaś i dosłownie tryskasz energią. Nawet Ron zwrócił na to uwagę.

Brat Sandry mieszkał w Seattle, ale często odwiedzał siostrę.

- A propos Rona, wpadnie jutro? - spytała Tabitha.

- Też pytanie! Nie wiedząc o twoim przyjęciu, zamierzał z kilkoma przyjaciółmi przyjechać na weekend do Port Townsend. Na pewno wszyscy się zjawia. Znasz Rona. Nie przepuści okazji, żeby się napić i za darmo najeść.

Do sklepu weszła grupka turystów. Wskazując głową na zaproszenie wiszące w oknie, chcieli wiedzieć, czy naprawdę dotyczy wszystkich. Tabitha potwierdziła. Ku jej radości paru młodych ludzi obiecało, że wpadnie jutro z życzeniami.

Korzystając ze znalezionych w księgarni książek na temat wydawania przyjęć, Tabitha dokonała wyboru potraw i trunków. Wiele razy wszystko dokładnie sprawdzała; nie chciała zdać się na żywioł. Trochę przerażała ją świadomość, że szykuje przyjęcie na tak dużo osób. Co będzie, jeśli nikt się nie pojawi? Każdy gospodarz neofita tego najbardziej się obawia.

Strach przed niepowodzeniem towarzyszył jej, kiedy wkładała nową czarną sukienkę kupioną specjalnie na tę okazję. Sukienka z cieniutkiej bawełny miała dekolt w karo oraz szerokie rękawy; czerwony skórzany pasek w talii podkreślał biodra i piersi.

Niepotrzebnie się martwiła. Dzwonek do drzwi zabręczał, zanim skończyła szczotkować przed lustrem włosy. Potem brzęczał co minuta przez dobre półtorej godziny. Goście przybywali tłumnie - i ci,

których sama zaprosiła, i ci, którzy przeczytali ogłoszenie w oknie księgarni - żeby razem z nią świętować jej trzydzieste urodziny, a przy okazji na własne oczy zobaczyć odmienioną Tabithę Graham.

Krążąc po zatłoczonym salonie, Tabitha starała się nie zawieść niczyich oczekiwań.

- Ależ wspaniale urządziłaś tę chałupę! - powiedziała z zachwytem Sandra Adams, przyjmując kieliszek wina. - Kominek, przed nim miękki puszysty dywan, a na ścianie cudowne średniowieczne wizerunki zwierząt. Wszystko się idealnie komponuje: oprawione plakaty i grafiki, czarne kanapy, lśniąca drewniana podłoga, jeden dywan przed kominkiem, drugi pod szklanym stolikiem... Swoją drogą, ten pod stolikiem jest niesamowity! Skąd go masz?

- Z Seattle. Trafiłam na niego zupełnym przypadkiem - odparła z uśmiechem Tabitha, zerkając na swoją ukochaną zdobycz przedstawiającą przepięknego skrzydlatego smoka o płomiennych oczach.

Przypomniał się jej inny smok, pobity i zakrwawiony, na którego natknęła się w wąskiej alejce na St. Regis. Stworzenia mityczne, zarówno ten na dywanie, jak i tamten na wyspie, mityczne, nieprawdziwe, wyśnione.

- O, przyszedł Ron z przyjacielem - oznajmiła Sandra, która stała zwrócona twarzą do drzwi.

Dwudziestopięcioletni Ron Adams, obdarzony przez naturę niemal dwumetrowym wzrostem, zawsze nad wszystkimi górował. Doskonale zbudowany,

systematycznie trenował w klubie sportowym w rodzimym Seattle. Był niezwykle przystojnym młodzieńcem o kruczoczarnych włosach, długich ciemnych rzęsach oraz złocistej opaleniznie, nad którą pracował każdej zimy podczas wyjazdu na narty.

Mężczyzna, który mu towarzyszył, był mniej więcej w tym samym wieku i miał modnie przystryżone włosy. Obaj z aprobatą rozejrzeli się po ożywionym tłumie gości wypełniających salon.

- Cześć, Ron! - zawołała do brata Sandra.

Tabitha zmierzyła go uważnie wzrokiem. Rozmawiała z Ronem może dwa razy w życiu, ale wątpiła, by tak przystojny mężczyzna zapamiętał jej twarz. Pomyliła się.

- Cześć, Tab - rzekł, podchodząc bliżej. - Miło cię znów widzieć. Dzięki za zaproszenie. - Powiódł spojrzeniem po cienkiej sukience, którą miała na sobie.

Powoli zaczynała rozpoznawać ten błysk zainteresowania w oczach różnych napotkanych mężczyzn. W ciągu ostatniego tygodnia widziała go parokrotnie. Pierwszym mężczyzną, który popatrzył na nią z nieskrywanym pożądaniem, był Devlin. Miało to miejsce tego ranka, gdy postanowiła nie wkładać stanika. Dzisiejszego wieczoru ta część jej bielizny również spoczywała na dnie szuflady. Starając się pokonać skrępowanie, Tabitha uśmiechnęła się promiennie.

- Cieszę się, że mogłeś przyjechać, Ron. Mam nadzieję, że ty i twój przyjaciel będziecie się dobrze bawić.

- Na pewno. Znajdę tu jakieś piwo?
- W barku. Jest mnóstwo.
- Świetnie. Zaraz wrócę. - Ponownie powiódł wzrokiem po czarnej sukience.

- Hmm - zamruczała Sandra, kiedy brat ruszył w kierunku blatu zastawionego butelkami. - Czyżby Ron zaczął przejawiać zainteresowanie starszymi kobietami?

- Wątpię. - Tabitha wybuchnęła śmiechem. - Słyszałam jednak, że młodszy faceci mają mnóstwo zalet.

- Wyobrażam sobie. - Sandra zachichotała. - Nie mają starokawalerskich nawyków, można ich ukształtować według swojego gustu, wytrenować jak małpkę... Powodzenia, Tab.

Tabitha zaczerwieniła się po uszy. Nie zamierzała nikogo trenować, z drugiej jednak strony...

Ron Adams nie był jedynym mężczyzną, dzięki któremu poczuła się tego wieczora atrakcyjna. Kiedy krążyła wśród gości, wcielając się w rolę gospodyni, co rusz czuła na sobie męskie spojrzenia. Zawsze też pojawiał się ktoś chętny do pomocy, kiedy sięgała po butelkę i korkociąg albo niosła tacę z kanapkami.

Zainteresowanie, jakie wzbudzała, było bardzo przyjemne, ale wydawało się czymś nierealnym. Może dlatego, że nigdy dotąd tylu facetów się za nią nie oglądało. Zresztą całe przyjęcie wydawało się jej czymś nierealnym. Wino się lało strumieniami, muzyka ani na moment nie cichła, tłum - zamiast się powoli przerzedzać - coraz ciśniej wypełniał salon. Dobrze,

że kupiła plastikowe szklanki, przemknęło jej przez myśl. Własnych kieliszków na pewno by nie starczyło.

O pierwszej nad ranem zaczęła się zastanawiać, czy przyjęcie zakończy się przed świtem. Nikt z gości nie spieszył się z wyjściem do domu. Od jakiegoś czasu Ron Adams, który przez cały wieczór konsumował ogromne ilości wina i piwa, nie odstępował jej na krok. Jego przyjaciel zniknął dawno temu z ładną długonogą blondynką, którą Tabitha widziała po raz pierwszy w życiu. Sandra Adams od godziny była pochłonięta rozmową z młodym rybakim, którego znalazła wygrzewającego się przed kominkiem. W salonie co rusz wybuchały salwy śmiechu.

Mniej więcej o drugiej część gości uznała, że najwyższa pora wracać do domu. Tabitha, która straciła rachubę co do ilości wypitych przez siebie kieliszków wina, pomachała im wesoło z werandy. Kiedy obróciła się, by wejść ponownie do środka, o mało nie zderzyła się z Ronem. Brat Sandry wręczył jej kolejny kieliszek wina.

- Super przyjęcie, Tab - rzekł ochrypłym głosem. Jego ciemne oczy lśniły z podniecenia. - To ile kończysz dziś lat?

- Trzydzieści - odparła, pociągając łyk. Świat wirował jej przed oczami. Powoli, leniwie. Jak miło, pomyślała.

- Mam o pięć mniej. - Ron uśmiechnął się od ucha do ucha. - Podobno to ostatni krzyk mody.

Zamrugnęła powiekami. Ostatni krzyk mody?

O czym on mówi? Od dwóch godzin miała coraz większe trudności z koncentracją.

- Nie rozumiem...

- No wiesz, starsza kobieta, młodszy facet.

- A tak. - Przybierając mądrą minę, pokiwała głową. - Starsza kobieta i młodszy facet.

- Jest w tym coś szalenie ekscytującego.

- Szalenie. To dobrze. Nie cierpię nudy.

- Ja też - przyznał Ron. - Życie jest zbyt krótkie, aby je przespać. Trzeba żyć pełną parą, cieszyć się każdym dniem.

- Absolutnie - poparła go. Pociągnawszy kolejny łyk wina, zachwiała się lekko. Ostrożnie wyciągnęła rękę i przytrzymała się ściany. - Dają się ukształtować, wytrenować jak małpki... - Uśmiechnęła się pod nosem.

- Kto? - Ron podszedł krok bliżej i na wszelki wypadek również przytrzymał się ściany.

- Młodzi.

- Jacy młodzi?

- Mężczyźni. Ale nie tylko. - Wzruszyła ramionami. - Także inni przedstawiciele rodzaju męskiego. Szczeniaki, smoki, bazyliuszki. Najlepiej znaleźć sobie młodziutkiego i odpowiednio go przeszkolić. Starsze okazy bywają wredne i złośliwe.

- Serio?

- Słowo honoru.

- Coś ci zdradzę - oznajmił Ron, lekko przeciągając słowa. - Jestem bardzo pojętnym okazem.

- Wsparty ramieniem o ścianę, przysunął się jeszcze bliżej. - Szybko się uczę.

- Świetnie. - Marszcząc z namysłem czoło, Tabitha podniosła do ust kieliszek. - A więc lekcja numer jeden: nigdy nie gryź ręki, która cię karmi.

- Nie przyszyłoby mi to do głowy - zapewnił ją Ron.

- Lekcja numer dwa... - Urwała, jeszcze bardziej marszcząc czoło. Po chwili rozpromieniła się. - Lekcja numer dwa: żadnego udawania, żadnych gier.

- Żadnych gier - powtórzył Ron. Jedną ręką objął Tabithę w pasie, drugą unióśł kieliszek, jakby chciał wznieść toast.

- Zero aktorstwa, pozerstwa, oszustw - ciągnęła z naciskiem, niepewna, czy zrozumiał. - Przekonałam się na własnej skórze, że mężczyźni starsi, bardziej ukształtowani, mają brzydki zwyczaj oszukiwania swoich partnerek, kamuflowania się. Mój pierwszy mąż był w tym mistrzem.

- Sukinsyn! - zawołał z oburzeniem brat Sandry.

- Udawał, że mnie kocha - wyjaśniła z powagą Tabitha. - Ale wcale nie kochał.

Ron pokręcił z niedowierzaniem głową, zdumiony dwulicowością męża Tabithy.

- Ostatni facet, z którym się spotykałam, też lubił udawać. Pozował na czułego, nieśmiałego gościa, a w rzeczywistości...

- Farbowany lis!

- Nie lis, smok - poprawiła go odruchowo.

- Smoki są o wiele gorsze od lisów - przyznał Ron.
- O wiele gorsze.

Zamierzała kontynuować lekcje, kiedy nagle drzwi otworzyły się, ukazując Sandrę trzymającą pod rękę młodego rybaka.

- A, tu jesteś, Tab. Jim i ja właśnie chcieliśmy się pożegnać. Bawiliśmy się wspaniale. Jeszcze raz wszystkiego najlepszego, kochanie.

- Dzięki. - Tabitha uśmiechnęła się uprzejmie.

- Dotrzesz jakoś do domu, Ron? - Sandra popatrzyła pytająco na brata.

Rybak szarpnął ją lekko za rękę, ponaglając do drogi.

- Nie martw się, nie siądę za kółkiem - obiecał Ron. - Dotrę na piechotę... Chyba że nie dotrę.

- Rozumiem. - Przechylając na bok głowę, Sandra wbiła wzrok w przyjaciółkę. - Chcesz, żebym go zabrała?

- Ależ skąd! - zaprotestowała Tabitha. - Świetnie nam się rozmawia. Bawimy się w profesorkę i ucznia.

- Ciekawe. - Sandra przeniosła spojrzenie z przyjaciółki na brata.

Zanim zdołała cokolwiek dodać, rybak ponownie pociągnął ją za rękę.

- Idziemy, kwiatuszku. Jest późno.

- Dobrze. Dobranoc, Tab. Uważaj na siebie.

- Dlaczego? - zdziwiła się Tabitha. - Co mi grozi?

- Nic. - Westchnąwszy głośno, Sandra zbiegła w dół po schodkach. sip A43

- Na czym to stanęliśmy? - Tabitha zwróciła się do Rona, kątem oka patrząc, jak Sandra z Jimem wsiadają do zaparkowanej przy krawężniku furgonetki.

Ron ściągnął brwi, jakby intensywnie myślał.

- Nie jestem pewien. Chyba na lekcji numer trzy.

- Aha. Słuchaj, czy... czy kiedykolwiek opowiadałam ci o zwyczajach godowych zwierząt ze średnio-wiecznych bestiariów? - spytała, wychodząc z założenia, że skoro ta metoda raz przyniosła skutek, warto ją ponownie zastosować.

- Nie. - Ron opróżnił kieliszek do dna. - Ale zamieniam się w słuch. Więc jak to robią?

- Mają mnóstwo fascynujących sposobów - odparła z powagą. - Na przykład...

Nie zdążyła jednak wdać się w żadne szczegóły, bo na werandę wylał się strumień ludzi, którzy z ociąganiem zaczęli się żegnać. Ron Adams zniknął w środku. Kiedy go odnalazła kwadrans później, okazało się, że dopijał kolejny kieliszek wina. Usiłowała wrócić do przerwane go wątku, ale Ron miał ogromne trudności nie tylko z koncentracją, ale również z utrzymaniem równowagi. Na wszelki wypadek, żeby nie zwałił się na podłogę, pomogła mu usiąść na jednej ze skórzanych kanap.

Ledwo się z tym uporała, musiała pożegnać ostatnią grupę gości. Wielu z nich mieszkało niedaleko i ruszyło do domu na piechotę. Niektórzy zaczęli śpiewać, nie zważając na późną porę. Ulica wypełniła się śmiechem.

Tabitha stała na werandzie, odprowadzając ich wzrokiem. Czuła głęboką satysfakcję. Przyjęcie urodzinowe było prawdziwym sukcesem, nie miała co do tego cienia wątpliwości. Teraz należy doprowadzić do końca to, co rozpoczęła. Na kanapie czeka sympatyczny młody człowiek, który marzy o tym, by zaznać rozkoszy ze starszą, doświadczoną kobietą. Uśmiechając się błogo, skierowała się z powrotem do salonu.

- Nareszcie! - zawołał na jej widok Ron, podnosząc do ust kieliszek. - To co z tymi zwierzętami? Umieram z ciekawości. - Rozparłszy się wygodnie, położył nogi na brzegu szklanego stolika. - Wiesz, że o mało nie zostałem zoologiem?

Przyglądając się uważnie swej ofercie, Tabitha podeszła bliżej i usiadła na drugiej kanapie. Z leżącego pod stołem dywanu spozierał na nią smok.

- Ma takie cudowne oczy - powiedziała cicho, czując nagły przypływ smutku.

- Kto? - spytał ostro Ron.

- Smok.

- A jakim jest kochankiem? Znaczy się smok?

Przez chwilę myślała, wpatrując się w tajemnicze stworzenie na dywanie.

- Wspaniałym. Gdy się go już uwiedzie ~ dodała ochryple. Psiakość, dlaczego smoczysko na dywanie nie spuszcza z niej wzroku? Ma takie oskarżycielskie spojrzenie. A przecież to jego powinny dręczyć wyrzuty sumienia, nie ją! - Ale nie można mu ufać.

- Smokom nie wolno ufać - powtórzył Ron. - Lekcja numer trzy: nie ufamy smokom.

- Nie ma prawa wzbudzać we mnie wyrzutów sumienia! - zezłościła się Tabitha. - Ani wtrącać się w moje życie.

- Słusznie - poparł ją Ron. - Nie ma prawa... O kim mówisz?

- O smoku.

- Święta racja. Żaden smok nie ma prawa się do niczego wtrącać.

- Podłe, wredne stworzenie - mruknęła Tabitha, wciąż wpatrując się w dywan.

- Stare?

Tabitha skinęła głową.

- Zbliżające się do czterdziestki.

- Więc za stare, żeby je można było wytresować.

- To prawda. Starego smoka nie nauczysz nowych sztuczek. - Westchnęła ciężko. - Wiesz, one rodzą się wredne i podstępne, więc młodych też niewiele można nauczyć.

- A mnie? Można? - Ron pochylił się do przodu, szczerząc w uśmiechu zęby. Wzrok miał nieco mętny.

Tabitha podniosła głowę ze zdumioną miną. Tak uporczywie wpatrywała się w smoka na dywanie, tak intensywnie o nim myślała, że zapomniała o bracie Sandry. Przez długą chwilę spoglądała na niego w milczeniu, jakby usiłowała sobie przypomnieć, co on tu jeszcze robi. No tak, zamierzała go uwieść. Zamknawszy oczy, jęknęła cicho.

- To bez sensu, Ron - powiedziała zrezygnowana.
- Nic z tego nie będzie. Lepiej idź do domu.

- Co? Do domu? - W jego głosie pobrzmiwała nuta rozczarowania.

Otworzyła oczy. Czuła narastające zmęczenie.

- Przykro mi, Ron. Jakoś nie mam nastroju ani do uwodzenia, ani do snucia opowieści o mitycznych stworach.

- Może jednak...? - zaczął błagalnie.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie mogę. Nie teraz, kiedy to głupie smoczysko łypie na mnie okiem.

- A gdybyśmy się go pozbyli?

- To by nic nie dało. Nadal czułabym jego obecność. Ciekawe, jak długo będzie mi zatruwał życie? Paskudna, złośliwa bestia.

- Oj, paskudna - mruknął smętnie Ron. - Tobie zatruwa życie, a mnie zepsuła wieczór.

Przez chwilę razem z Tabithą wpatrywał się w wizerunek ziejącego ogniem smoka, po czym wolno przeniósł nogi ze stolika na kanapę, przekręcił się na bok i zasnął kamiennym snem.

Tabitha zerknęła na wyciągniętą postać, następnie podwinęła pod siebie nogi. Ogarnęła ją przeraźliwa senność. Skoro durny smok nie pozwoli mi się kochać z Ronem, pomyślała, równie dobrze mogę iść w Rona ślady. Tak, parę godzin snu się przyda. Rano, trzeźwa i wypoczęta, zastanowi się, co zrobić z ognistym potworem, żeby jej nie prześladował

swoją obecnością. Bo coś musi zrobić. Tak dłużej być nie może. Tyle się w jej życiu zmieniło! Ona sama się zmieniała! Nie pozwoli, żeby jakieś wredne zwierzę dezorganizowało jej życie erotyczne.

Zapadając w sen, myślała o tym, jak trudno będzie jej uwolnić się od smoka, który odcisnął na niej tak silne piętno. Spała niespokojnie. Śnił się jej człowiek o srebrzystych oczach i hebanowej lasce, który raz po raz przybierał postać legendarnej bestii.

Długo trwało, zanim uzmysłowiła sobie, że walenie, które słyszy, to nie sen, lecz rzeczywistość. Ktoś dobija się do drzwi. Przez kilka sekund leżała bez ruchu, niezadowolona, że słońce wdziera się przez szpary w zasłonach i że łomot nie ustaje.

Jedno i drugie potwornie ją drażniło.

- Boże... - jęknęła. Głowa pękała jej z bólu.
- Przestań! Idź stąd! - zawołała głosem niewiele donośniejszym od szeptu, więc ktokolwiek był za drzwiami, niczego nie usłyszał.

Walenie rozległo się ponownie i brzmiało jeszcze bardziej natarczywie.

-- Do jasnej cholery...

Zdobywając się na nadludzki wysiłek, Tabitha przewróciła się na bok i o mało nie runęła na podłogę. W tym samym momencie z kanapy naprzeciwko doleciało ją głośne chrapnięcie. Zaskoczona, zmusiła się do otwarcia oczu. Widok śpiącego Rona Adamsa wprawił ją w zdumienie. Skąd on się tu wziął? O ósmej

rano nie była jednak w stanie jasno myśleć. Wpatrując się w śpiącą twarz, usłyszała kolejne chrapnięcie.

Powoli, zamroczona snem, opuściła nogi i usiadła na kanapie. Przycisnąwszy ręce do skroni, rozejrzała się dookoła. I nagle odzyskała pamięć. Salon przypominał pobojozawisko. Puste szklanki walały się po stolikach i podłodze. Wszędzie stały cuchnące popielniczki wypełnione po brzegi niedopałkami. Na środku pokoju leżało przewrócone krzesło. Kwiaty w wazonach zdążyły zwiędnąć. Najwyraźniej ktoś wylał wodę. Tak, w rogu pokoju zobaczyła na podłodze wielką kałużę.

Z trudem dźwignęła się na nogi. Psiakość, szkoda, że wczoraj trochę nie posprzątała. Przynajmniej mogłaby iść normalnie, a nie zygzakiem, uważając, by nie wdepnąć w tekturowy talerzyk z nadgryzioną kanapką czy resztką sałatki. Zapełnione do połowy butelki wina zajmowały wszystkie półki w barku. Przytulny, wymuskany salon zamienił się w melinę.

Jakby tego było mało, obok na kanapie chrapał czarnowłosy mężczyzna. Mijając śpiącą postać, Tabitha pokręciła smętnie głową. Na podłodze między dwoma kanapami leżał dywan z ognistym smokiem. Od powrotu z rejsu ma na pieńku ze smokami, ale akurat temu na dywanie wiele zawdzięcza. Gdyby nie on, pewnie uwiodłaby Rona. Na szczęście zapatrzyła się w smoka i rozmowa o zwyczajach erotycznych zwierząt urwała się w odpowiednim momencie.

Pukanie do drzwi powtórzyło się.

- W porządku! Już idę! - zawołała, ale znów głosem tak cichym i słabym, że intruz pewnie go nie usłyszał.

Trudno, pomyślała. Cały wysiłek wkładała w utrzymanie równowagi. Nie miała siły się wydzierać.

Człapiąc przez salon, usiłowała obmyślić plan działania. Najpierw pozbędzie się człowieka, który tak strasznie hałasuje, a potem obudzi Rona i wyprawi go do siostry. Następnie zrobi sobie długą, gorącą kąpiel. Po kąpeli wypije ogromny kubek kawy. Dopiero wtedy przystąpi do sprzątanania. Czeka ją męczący, pracowity dzień.

- Hej, ty za drzwiami! Przestań, cholera, łomotać! - warknęła, naciskając klamkę. - Już otwieram, szybciej nie mogę! - Na widok człowieka stojącego na werandzie wytrzeszczyła oczy. - O Boże! - jęknęła zaskoczona. - To smok...

Devlin Colter opuścił hebanową laskę, która służyła mu za kołatkę, i popatrzył w milczeniu na półprzytomną, potarganą postać w wymiętym ubraniu. Na jego twarzy zdumienie mieszało się z dezaprobatą.

- Psiakrew, Tabi, co się z tobą dzieje?

Uświadomiwszy sobie, że stoi w progu z głupią miną, Tabitha usiłowała wziąć się w garść.

- Dev, co ty tu robisz? - spytała cicho.

- To chyba oczywiste. Przyjechałem do ciebie. Ale... Tabi, na miłość boską, co się stało? Wyglądasz koszmarnie. - Marszcząc czoło, omiótł posępnym spojrzeniem jej twarz oraz pogniecioną sukienkę.

- Czuję się tak, jakby mnie stratowało stado bazyliżków - odparła słabym głosem.

Może wciąż śnię, przemknęło jej przez myśl. Może wciąż leżę na kanapie, a to wszystko jest po prostu dziwnym snem? Ostrożnie wyciągnęła przed siebie rękę i pogładziła niebieską koszulę, którą Devlin miał na sobie.

- Nie jesteś złudą? To naprawdę ty? - spytała niepewnie.

Mars na czole mężczyzny pogłębił się. Po chwili, uznając, że rozmowa prowadzona w drzwiach nie ma sensu, Devlin odsunął Tabithę na bok i wszedł do środka. Zamknąwszy za sobą drzwi, skierował się w głąb domu.

- Rany boskie! - Przystanąwszy w progu, omiótł wzrokiem salon, który wyglądał jak po przejściu tornada. - Coś ty tu wyprawiała?

- Miałam gości - odparła zwięźle.

- Gości? - Zmrużył gniewnie oczy.

- Tak. Urządziłam przyjęcie z okazji swoich trzydziestych urodzin - wyjaśniła. - Czy mógłbyś nie podnosić głosu? Głowa pęka mi z bólu.

Devlin otworzył usta, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, od strony kanapy rozległo się chrapanie. Zaskoczony, obrócił się, najwyraźniej chcąc sprawdzić, co to za dźwięk.

Ciszę, jaka zapadła, przerwał przytłumiony jęk i ziewnięcie. Tabitha zamarła. Stała jak zahipnotyzowana, wpatrując się w czarną kanapę. Ron Adams

przeciągnął się, a następnie zmienił pozycję z horyzontalnej na półsiedzącą. Zdezorientowany zamrugał oczami, po czym wlepił wzrok w obcego z laską.

Na widok zaspanego młodzieńca Devlin oniemiał. Szybko jednak wyraz szoku i zaskoczenia znikł z jego twarzy, ustępując miejsca dzikiej furii.

Tabitha z niezdrową fascynacją obserwowała zmiany zachodzące na jego obliczu. Takiej wściekłości jeszcze nigdy nie widziała w niczyich oczach. I miała nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczy.

W końcu Devlin się odezwał:

- No dobrze, zanim przełożę cię przez kolano i wymierzę kilka siarczystych klapsów, dla formalności zapytam: kim, do jasnej cholery, jest ten pętaś?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po raz pierwszy w życiu targały nim tak silne emocje. Cały się w środku gotował. Dzika furia nie przypominała niczego, z czym dotąd miał do czynienia. Ani lodowatej złości, jaką czuł do chudzielca, który groził Tabicie z pistoletu, ani przygnębienia i rezygnacji, jakie towarzyszyły mu przez wiele tygodni, gdy zrozumiał, że jego małżeństwo się rozpada, ani niechęci, a nawet wrogości, z jaką ostatnio myślał o Delaneyu.

Nie, tamte emocje dawały się okiełzać. Teraz zaś dławiła go głucha, bezrozumna wściekłość - wściekłość mężczyzny, który przyłapuje swą kobietę z innym. Nie wiedział, jak się zachować. Nigdy dotąd nie

był w takiej sytuacji. Wziął głęboki oddech, by się uspokoić.

Szlag by to trafił! Nie tak wyobrażał sobie ponowne spotkanie z Tabithą! Nie tak je planował! Przez całą drogę do Port Townsend marzył tylko o tym, by wziąć Tabi w ramiona, całować ją, słuchać, jak ona mruczy z rozkoszy.

A teraz... teraz chciał widzieć w jej oczach strach. Chciał, by drżała z przerażenia. Chciał, by rzuciła mu się do stóp, błagała go o przebaczenie. Chciał, by się go bała, by już nigdy nie przyszło jej do głowy kłaść się spać w jednym pokoju z obcym facetem, by nigdy na żadnego faceta nie spojrzała. A zwłaszcza na takiego, który na oko ma najwyżej dwadzieścia pięć lat. Chryste!

Ale Tabitha nie dygotała ze strachu, nie zamierzała też rzucić mu się do nóg i błagać o cokolwiek. Ściskając rękami potarganą głowę, patrzyła na niego z głęboką odrazą. Pierwszy raz widział na jej twarzy wyraz takiego obrzydzenia.

- Jeśli nie przestaniesz krzyczeć - powiedziała wyniośle - będę zmuszona cię wyprosić.

- Wyprosić? Nie mam zamiaru nigdzie wychodzić! Co to za jeden, Tabitho?

- Ron. Ron Adams. - Woląc nie narażać się na gniew obcego, brat Sandry czym prędzej poderwał się z kanapy. Ruszył do drzwi, szerokim łukiem obchodząc gościa. - Właśnie... hm, zbierałem się do wyjścia. Słowo honoru. Do widzenia, Tab. Urządziłaś

świetne przyjęcie. Jeszcze raz wszystkiego najlepszego...

Przez zmrużone powieki Devlin obserwował, jak Ron skrada się do drzwi. Przynajmniej szczeniak okazuje strach.

- Nie spiesz się tak, Adams. Musimy sobie coś wyjaśnić.

- Daj mu spokój, Colter! - syknęła Tabitha gniewnie.

Devlin zignorował jej prośbę. Skoro w Tabicie nie zdołał wzbudzić lęku, zamierzał wyładować wściekłość na jej młodym przyjacielu.

- Myślisz, że możesz bezkarnie spędzać noc z moją kobietą? - Zniżył głos do łagodnego szeptu, na dźwięk którego nie takim mięczakom jak Ron Adams ciarki przechodziły po plecach. No ale czterdziestolatek stający do konfrontacji z dwudziestopięcioletkiem chyba ma prawo zastosować kilka wypróbowanych chwytów, nie?

- Przysięgam, naprawdę nie wiedziałem, że Tab to pańska kobieta. Słowo honoru. Powiedz mu, Tab! - Ron rzucił Tabicie bezradne spojrzenie, błagając ją, aby stanęła w jego obronie.

- Nie jestem niczyją własnością! - syknęła, po czym skrzywiła się z bólu, słysząc, jak głos dudni jej w głowie. - Obydwaj się stąd wynoście.

- Co tu się wczoraj działo? - warknął Devlin.

Nie spuszczał oczu z Rona, który rozłożył ręce, jakby nie miał nic do ukrycia.

- Nic, absolutnie nic - rzekł brat Sandry. - Jak babcię kocham! Przyszedłem na przyjęcie razem z siostrą i paroma znajomymi. Wypiłem parę drinków. Potem zaczęliśmy z Tab gadać... - Urwał speszony.

- Gadać? - podchwycił Devlin. - O czym?

- Nie bardzo pamiętam - przyznał smętnie młodzieniec.

- Lepiej sobie przypomnij - poradził mu Devlin. - Twoja pamięć może w znaczący sposób wpłynąć na to, w jakim stanie opuścisz za chwilę ten dom.

Samym spojrzeniem potrafił zastraszać ludzi. Ron natychmiast odzyskał pamięć.

- O zwierzętach - odparł szybko. - Rozmawialiśmy o zwierzętach, prawda, Tab?

- O zwierzętach! - zagrział Devlin, łypiąc na Tabithę gniewnym wzrokiem. - Opowiedziałaś mu o zwyczajach godowych średniowiecznych stworzeń? Jakim prawem, Tabi? To nasz temat! Chryste, chyba naprawdę złoję ci skórę! I to tak, żebyś przez tydzień nie mogła usiąść na tyłku. - Wzniósł oczy do nieba.

- Co ci strzeliło do głowy?

- Jak to co? - spytała bojowym tonem. - Udało mi się uwieść ciebie i chciałam sprawdzić, czy innych też potrafię. Przeprowadzałam, że tak powiem, testy...

- Testy? - ryknął Devlin, po czym zamilkł, wściekły i zszokowany. Nagle przypomniał sobie o Adam-sie, którego niecały metr dzielił od drzwi. - Posłuchaj, pętaku! - Obrócił się do niego twarzą. - Tylko dlatego nie porachuję ci kości i nie powybijam zębów, bo nie

przespałeś się z Tabithą. Ale jeśli jeszcze kiedykolwiek się do niej zbliżysz, gorzko tego pożałujesz. Czy to jasne?

- Jak słońce. - Odetchnąwszy z ulgą, Ron nacisnął klamkę.

- I masz wyrzucić z pamięci wszystko, coś od niej usłyszał o zwyczajach godowych zwierząt. Zrozumiałeś?

- Tak, zaraz wszystko wyrzucę - zapewnił go Ron. - Chociaż dużo tego nie ma. Zdażyła mi tylko opowiedzieć o smokach. Słowo honoru.

- O smokach? - spytał groźnie Devlin. To jego Tabitha nazywała smokiem! To jego porównywała do mitycznej bestii! - A cóż takiego mówiła ci o smokach?

- Nie... nie jestem pewien - odparł pośpiesznie Ron. - Trochę mam mętne wspomnienia.

- Skup się, bo inaczej...

- Devlin, przestań! Bokiem mi wychodzą te twoje pogrożki! - zezłościła się Tabitha.

- Zaraz przestanę, ale najpierw chcę usłyszeć, co mu powiedziałaś o smokach. - Widząc, że Ron usiłuje ocenić swoje szanse ucieczki, zagroził mu drogę laską. - No, skup się, mały.

Ron z trudem przełknął ślinę.

- Chyba... chyba spytałem Tab, jak to robią smoki.

- I co usłyszałeś?

Zmarszczył czoło, starając się sobie przypomnieć.

- Że... że są fantastycznymi kochankami.

- Tak powiedziała? - Devlin uśmiechnął się szeroko i opuścił łaskę. - No cóż, ona to wie najlepiej. Bo z autopsji. Widzisz, mały, tym smokiem, z którym się kochała, jestem ja.

Ron znów poruszył grdyką, przełykając ślinę.

- Właśnie się tego domyśliłem. Jeśli pan pozwoli, to ja już pójdę. - Nie czekając na pozwolenie, otworzył drzwi i rzucił się do ucieczki.

Nie kryjąc satysfakcji, Devlin odprowadził wzrokiem swojego umykającego w pośpiechu wroga, następnie obrócił się twarzą do Tabithy, która z rękami przytkniętymi do skroni powoli osuwała się na pobliski fotel.

- Po cholere ci taki szczeniak? - mruknął, kręcąc ze zdziwieniem głową. - Pewnie jest co najmniej pięć lub sześć lat młodszy od ciebie.

- To ostatnio bardzo modne - odparła, masując palcami skronie. - Starsza kobieta i młodszy mężczyzna. Nie wiedziałeś?

- Nie, nie wiedziałem! Na miłość boską, co ty wygadujesz?

Podszedł bliżej, chcąc zobaczyć strach w jej oczach, ale powieki miała mocno zaciśnięte.

- Istnieje pogląd, że młodszy mężczyźni są podatni na tresurę - wyjaśniła. - Starsi mają starokawalerskie nawyki. Są mniej ulegli, bardziej zatwardziali i podstępni.

- Tabi, przecież...

- Tak, tak, nie ma to jak młodzieniaszki - kon-

tynuowała, opierając głowę o fotel. - Słodcy, mili, marzą o tym, żeby sprawić kobiecie przyjemność.

- Nie wątpię! - Devlin tak mocno ścisnął laskę, że kłykcie mu zbieleły. - Przestań mnie dręczyć! Wiesz, dlaczego cię jeszcze nie udusiłem? Bo wiem, że nie spałaś z tym pętakiem!

- Tak? A skąd masz tę pewność?

Co za licho w nią wstąpiło, zastanawiał się wzburzony. Dlaczego ta dzika kocica nie drży przed nim ze strachu, dlaczego się nie kaja i nie błaga o przebaczenie? Nagle przyszło mu do głowy, że koty to indywidualiści, stworzenia odważne, nieprzewidywalne, chadzające własnymi drogami.

- Po pierwsze, oboje byliście kompletnie ubrani - rzekł z drwiną w głosie. - Ty nawet masz na sobie rajstopy. Większość kobiet w trakcie upojnej nocy z jurnym młodym kochankiem pozbyłaby się tej części garderoby, nie uważasz?

Otworzyła oczy i popatrzyła ponurym wzrokiem na stopy.

- Jesteś piekielnie spostrzegawczy.

- Poza tym twój przyjaciel spał na nierozłożonej kanapie - ciągnął Devlin - na której nie zmieściłyby się dwie osoby. Ty spałaś na drugiej. Jeden z twoich butów do tej pory leży wciśnięty między siedzisko a oparcie - dodał ironicznie, wskazując brodą na rzeczony przedmiot.

- Jaki masz świetny wzrok, dziadku.

- Nie nazywaj mnie dziadkiem! - Tego już za

wiele! Puścił laskę, która upadła na podłogę, i zacisnąwszy ręce na ramionach Tabithy, podciągnął ją bezceremonialnie na nogi. - Może nie mam dwudziestu pięciu lat, ale założę się, że potrafię więcej niż ten żółtodziób. Chcesz się przekonać, Tabi? Chcesz zobaczyć, jaką różnicę robi wiedza i doświadczenie? Gdybyś spędziła tę noc ze mną, zaręczam ci, że nie obudziłabyś się w rajstopach.

- A może nie interesuje mnie twoje doświadczenie - odparła niezrażona. - Nie pomyślałeś o tym? Może nie chcę faceta, który mnie okłamuje. Który udaje kogoś innego. Który świadomie gra rolę nieśmiałego wrażliwca, a w duchu się ze mnie wyśmiewa!

- Nie okłamywałem cię! - Właśnie tego się najbardziej obawiał. Jak ma się tłumaczyć, bronić przed oskarżeniami? Przecież mu nie uwierzy, gdy zacznie ją przekonywać, że w jej obecności staje się innym człowiekiem.

- Przestań! Może nie zarabiasz na życie, podcinając gardła tą szabelką, którą skrywasz w lasce? - spytała z wściekłością. - Nie prowadzisz żadnego biura podróży!

- Prowadzę. Przysięgam!

- No widzisz? Kłamstwa weszły ci w krew. Masz prawie czterdzieści lat, pewnie od tyłu samo łżesz. Już nawet nie potrafisz mówić prawdy! Dlaczego nadal chcesz udawać takiego szlachetnego, za jakiego wzięłam cię na statku?

- Bo nim jestem, do cholery!

- Jasne. Ale o jednym zapominasz, Dev. Widziałam cię w akcji. Nie lubię być wykorzystywana, a ty się mną posłużyłeś, żeby zamydlić innym oczy. No bo kto by uwierzył, że prawdziwy tajny agent mógłby zadawać się z taką kobietą jak ja?

- Tajny agent? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Steve Waverly o wszystkim mi powiedział, kiedy trzymał mnie pod bronią, a ty myślałeś, że się pacykuję w toalecie! - warknęła, przypomniawszy sobie tamten dzień na wyspie.

Devlin wciągnął gwałtownie powietrze.

- Rozumiem...

Przyjrzała mu się uważnie.

- Dlaczego tak nagle zbladłeś?

- Bo właśnie sobie uświadomiłem, że bydlak zamierzał cię zabić. Gdyby miał ci pozwolić odejść, nie puściłby pary z ust. Powinienem być podejrznąć skurwielowi gardło!

- Widzisz? O to mi chodzi! Wrażliwy, szlachetny człowiek nie grozi podrzynaniem ludziom gardeł!

- Chryste Panie! Tabi, zamilcz. Czy tego chcesz, czy nie, wysłuchasz mnie.

Potrząsnęła ją lekko za ramiona. Tabitha wytrzeszczyła oczy, ale nie ze strachu.

- Tabi? - zaniepokoił się. - Co się stało? Co ci jest?

- Zbiera mi się na wymioty - oznajmiła z powagą.

- Cholera...

Przycisnęła rękę do ust.

- Odsuń się, Dev. Idź stąd. Zostaw mnie. - Usiło-

wała się oswobodzić, ale on zgarnął ją mocniej w ramiona.

- Gdzie jest łazienka? - spytał, po czym podtrzymując Tabithę, ruszył we wskazanym kierunku.

Bez laski, na której się zawsze wspierał, musiał uważać, by nie stracić równowagi. Udało się. Bezpiecznie dotarli na miejsce. Otworzył drzwi, a kiedy Tabi uklękła przy muszli klozetowej, odgarnął jej z twarzy włosy. Gdy było po wszystkim, wilgotnym ręcznikiem przetarł jej usta.

- Lepiej? - spytał łagodnie.

Dygotała -- z zimna, z wysiłku, z osłabienia. Skinawszy głową, odwróciła wzrok.

- Tak. Dziękuję - szepnęła wyraźnie speszona.

- Wstań. Przyda ci się prysznic, a potem porządne śniadanie. - Wolno zaczął ściągać z niej sukienkę.

- Nie, Dev, proszę!

Próbowała odepchnąć jego ręce, była jednak zbyt słaba, by się skutecznie obronić. Kiedy zobaczyła, że Devlin nie zwraca uwagi na jej protesty, przestała walczyć. Pozwoliła mu się rozebrać, a następnie posłusznie weszła pod strumień wody.

- Wystąpiłaś wczoraj bez stanika? - spytał z pretensją w głosie, starannie składając ubranie.

- Nie tylko wczoraj. - Oparła się o ścianę kabiny.
- Od kilku dni go nie noszę. To jeden z elementów zmiany, jaka się we mnie dokonała.

- Bez stanika powinnaś chodzić wtedy, kiedy mnie

uwodzisz - mruknął gniewnie. - Zresztą mniej sja o to. Później o tym porozmawiamy. Jak twoja głowa?

- Boli.

- Weź. Znalazłem je w szafce na leki. - Otworzywszy drzwi kabiny, wetknął Tabicie do ust dwie tabletki. Patrzył, jak popija je szklanicą wody, - Nigdy nie miałaś kaca?

Z lubością powiódł wzrokiem po jej ciele. Było takie gładkie, miękkie, zachęcające do pieszczot. Odkał wrócił na statek i dowiedział się, że Tabitha nieoczekiwanie przerwała rejs, nieustannie o niej myślał. Dniami i nocami. Wprost nie mógł uwierzyć, że znów jest przy nim, dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Uświadomiwszy sobie, że Devlin się jej przygląda, zasłoniła dłońmi piersi i odwróciła się tyłem.

- Nie - odparła. - Nigdy nie miałam kaca.

- Co za diabeł w ciebie wstał, Tabi?

Omiótł spojrzeniem jej ramiona, plecy i nogi. Nie mogąc się powstrzymać, delikatnie pogładził ją po lśniacej, wilgotnej pupie. Tabitha podskoczyła nerwowo i odsunęła się. Nadal stała odwrócona do niego tyłem.

- Mówiłam ci. Wczoraj były moje urodziny. Po- stanowiłam zacząć wszystko od nowa. Być jak feniks, który powstaje z popiołów.

Devlin przymknął drzwi kabiny. Nie miał serca domagać się wyjaśnień ani czynić wyrzutów, kiedy widział Tabi w tym stanie. Później, obiecał sobie, wyjmując z szafki duży puszysty ręcznik, później ją

o wszystko wypyta i przywoła do porządku. Zerknął na ręcznik, który trzymał w dłoniach. W rogu zobaczył wyhaftowany łeb jednorożca.

Tabitha nadstawiła twarz pod strumień wody i usiłowała się skupić. Czuła się znacznie lepiej niż jeszcze kilkanaście minut temu, ale bezpieczniej było udawać, że nadal jest słaba i skacowana. Odkąd ostrzegła Devlina, że zaraz puści pawia, traktował ją z niezwykłą delikatnością. Nie wzdrygnął się, nie uciekł; był cierpliwy, rzeczowy i pomocny. Mało który mężczyzna potrafiłby się w tej sytuacji tak zachować; większość zareagowałaby obrzydzeniem.

Oczywiście facet, który podrzyna ludziom gardła, przyzwyczajony jest do dużo drastyczniejszych widowisk i trudno się spodziewać, by mdlał, gdy kobieta schyla się nad muszlą klozetową. Z drugiej strony trochę dziwne, aby taki facet okazywał tyle serca komuś, kto źle się czuje. Nie potrafiła go rozgryźć.

Westchnęła ciężko. Nie może tu tkwić w nieskończoność. Prędzej czy później musi wyjść spod prysznicza i dowiedzieć się, w jakim celu Devlin przyjechał do Port Townsend. Z grymasem niezadowolenia zakreśliła kran i uchyliła drzwi.

- Czy możesz mi podać ręcznik? - poprosiła.
- Wyjdź, kotku. Osuszę cię.
- Wołałabym sama...

Nie zdołała dokończyć, bo otworzył szeroko drzwi i wyciągnął ją na środek łazienki. Co miała zrobić? Ociekając wodą, czekała, aż Devlin, który stał w roz-

kroku, bo bez laski tylko w ten sposób mógł zachować równowagę, wytrze ją do sucha. Czuła na ciele znajomy dotyk rąk, lecz był to dotyk niewinny, nie natrętny. Dotyk przyjaciela. A raczej kochanka, który w tym momencie nie myśli o seksie. Zadrzała.

- Odpreż się. Nie wyrządę ci krzywdy.

- Wcześniej groziłeś, że mnie udusisz - przypomniała mu. - Że złoisz mi skórę.

- I może złoję, ale dopiero kiedy dojdiesz do siebie - mruknął. - No dobrze. - Zawiązawszy ręcznik nad jej piersiami, z ociąganiem cofnął dłonie. - Teraz idź się ubierz, a ja zrobię śniadanie.

Skinęła głową i wymknęła się, szczęśliwa, że przynajmniej nie będzie jej towarzyszył podczas ubierania.

- Tylko tym razem włóż stanik!

Po paru minutach, chociaż najchętniej zostałyaby tam do wieczora, wyłoniła się z sypialni. Ubrana w dzinsy oraz luźną niebiesko-żółtą bluzkę z długimi rękawami zajrzała ostrożnie do kuchni. Laska Devlina wisała na oparciu krzesła, podczas gdy on krzątał się przy płycie, smażąc na patelni omlet.

- Wejdz, wejdz, nie ugryzę cię. Przynajmniej na razie.

- Możesz mnie straszyć, a ja się ciebie i tak nie boję. - Weszła do kuchni i usiadła przy stole, świadomie przyjmując niedbałą pozę.

- Może powinnaś - rzekł. - Chyba nie muszę ci mówić, że twój widok wśród pokłosa wczorajszej orgii nie wprowadził mnie w najlepszy nastrój.

- To nie była żadna orgia! To było przyjęcie urodzinowe!

- Na które sprosiłaś wszystkich młodych samczyków z okolicy? Do wyboru, do koloru?

- Po prostu zaprosiłam znajomych i przyjaciół. Pośród których, siłą rzeczy, jest paru samotnych młodych mężczyzn. - Uniosła butnie brodę. - Postanowiłam wypróbować kilka sztuczek, których nauczyłam się podczas niedawnego rejsu.

- I uwieść wszystkich po kolei?

- Czemu nie? Skoro udało mi się z tobą...

- Więc dlaczego nie udało się z młodym Ronem?

- Nie twój interes - warknęła.

Uniosł zabawnie brwi. Sprawiał wrażenie, jakby mu złość minęła. Nic dziwnego, pomyślała. Dziwiło ją raczej to, że w ogóle był zły. W końcu co go obchodzi, z kim ona spędza wieczory? Swoją drogą, co on tu robi? Dlaczego przyjechał do Port Townsend?

- Naprawdę powiedziałaś temu pętałkowi, że jestem fantastycznym kochankiem? - spytał, zsuwając omlet z patelni.

- Rozmawialiśmy o smokach, nie o tobie!

- Akurat! - Roześmiawszy się cicho, postawił przed nią talerz. - Jestem jedynym smokiem, o którego zwyczajach erotycznych posiadasz jakąś wiedzę. Sama mi mówiłaś, że w bestiariach niewiele można na ten temat wyczytać.

- Dev, po co tu przyjechałeś? - spytała wprost.

Popatrzyła na jedzenie. Nie była pewna, czy zdoła cokolwiek przełknąć.

- Po ciebie, kotku. - Nalał sobie kubek kawy i odsunawszy na bok tacę z resztką wczorajszych precli z serem, usiadł przy stole.

Słyszając determinację w jego głosie, Tabitha nabrała na widelec porcję omletu. Nie zamierzała dać się zbić z tropu ani okazać zdenerwowania.

- Po mnie? Dlaczego?

- Bo cię pragnę - odparł, pijąc kawę. Przez chwilę wpatrywał się w Tabi nad brzegiem kubka. - I potrzebuję.

- Nie wierzę! Mężczyźni, którzy w lasce noszą ukrytą broń, nie potrzebują takich kobiet jak ja.

- A właśnie że potrzebują. Przynajmniej ja - sprzeciwił się łagodnie. - Zakochałaś się we mnie na statku, prawda, Tabi?

- I co z tego? - Wzruszyła ramionami. - Odkochałam się w mig, jak tylko uzmysłowiłam sobie, że mnie okłamałeś i wykorzystałeś.

- Wcale cię nie wykorzystałem! Co właściwie powiedział ci Waverly?

Zmrużyła oczy.

- Że jesteś agentem rządowym i że w wąskiej alejce na St. Regis przejąłeś pewną ważną przesyłkę zawierającą film. Waverly postanowił ci ją odebrać. Co się stało w tej alejce, Dev? Kogo wpakowałeś do pojemnika na śmieci?

Zawahał się.

- Kogoś, kto chciał sobie ten film przywłaszczyć.
- Dlatego leżałeś pod murem, pobity i zakrwawiony?

Pokiwał wolno głową.

- O mało tam nie zginąłem, Tabi. Niewiele brakowało, aby to mnie wpakowano do tego pojemnika. Jestem za stary do tego typu roboty. Od dwóch lat tłumaczę to Delaneyowi.

- Kim jest Delaney?

- Gość z Waszyngtonu. Zimny, twardy, bezlitosny. Pracowałem dla niego do czasu mojego wypadku.

- Ach tak, do czasu tego słynnego wypadku. Czy mówiąc o nim, też mnie okłamałeś? Czy to naprawdę był wypadek samochodowy? Czy może...

- Tabi...

- Odpowiedz mi!

- Nie, to nie był wypadek - przyznał niechętnie. - Podczas ostatniego zadania, jakie wykonywałem dla Delaneya, doszło do nieoczekiwanego spotkania z dwoma terrorystami, których kazano mi wyeliminować. Niewiele brakowało, żeby to oni wyeliminowali mnie.

Mimo że chciała pozostać niewzruszona, słowa Devlina przejęły ją przerażeniem.

- Boże, Dev! Co się stało? - zapytała z troską.

- Wbrew zdrowemu rozsądkowi... wbrew własnej intuicji zgodziłem się na rozmowę z informatorem. Od jakiegoś czasu człowiek ten przekazywał nam wiarygodne informacje. Wyznaczonego wieczoru pojawił

się w towarzystwie dwóch facetów, których od tygodnia śledziłem. Wylądowałem z kulą w lewym kolanie i różnymi innymi obrażeniami.

- A oni, ci faceci?

- Informatorowi udało się zwiąć. Po paru miesiącach rozprawił się z nim mój kumpel.

- A terroryści?

- Tabi...

- Co z nimi?

Westchnął.

- Zabiłem ich. Zadowolona? To chciałaś usłyszeć? Że jestem agresywny i nie stronię od przemocy? Że nie waham się strzelać i podrzynać gardła? Tabi, tamto spotkanie miało miejsce na pustkowiu, wiele kilometrów od najbliższej ludzkiej osady. Wykrwawiłem się prawie na śmierć, zanim udzielono mi pomocy. Miejscowy lekarz koniecznie chciał mi amputować nogę. Ze strachu, żeby tego nie zrobił, kiedy będę nieprzytomny, odmówiłem przyjęcia jakichkolwiek środków przeciwbólowych. Walczyłem z nim, dopóki nie przybył Delaney i nie zabrał mnie do porządnego szpitala.

- Boże, Dev, nie zdawałam sobie sprawy... - Zamilkła wstrząśnięta bólem w oczach Devlina.

- Powiedziałem mu wtedy, że to koniec. Że się wycofuję. On na to, że oszukuję sam siebie, że po paru miesiącach o wszystkim zapomnę i zacznę dobijać się do jego drzwi, żeby dał mi nowe zlecenie. Pomylił się. Tabi, ja naprawdę mam biuro podróży. Po wyjściu ze szpitala i długiej rehabilitacji założyłem własną firmę.

Podczas pracy w wydziale Delaney'a dużo jeździłem po świecie. Uznałem, że jeśli cokolwiek mogę się zająć, to właśnie organizowaniem innym podróży. Od ponad roku haruję jak wół, starając się rozkręcić interes... Kilka tygodni temu zgłosił się do mnie Delaney. Prosił, żebym odebrał przesyłkę z mikrofilmem. Twierdził, że to bardzo ważne, że film przedstawia najnowsze osiągnięcia techniki laserowej. Namawiał mnie, a ja...

- A ty się zgodziłeś?

- Tak. Nie jestem pewien dlaczego. Może chciałem się przekonać, czy Delaney ma rację. Cały czas powtarzał, że kiedy wrócę do zdrowia, zacznę mnie ciągnąć do dawnej roboty. Jak wilka do lasu. Wiem jedno: czegoś mi w życiu brakowało. Owszem, rozkręcałem interes, ale to mi nie wystarczało. Czułem pustkę, niedosyt. A Delaney... przyjaźniliśmy się. Dlatego zgodziłem się mu pomóc. Ale kiedy tylko statek odbił od brzegu, pożałowałem tej decyzji. Uświadomiłem sobie, że nie mam ochoty dłużej zajmować się takimi sprawami. A potem ty przybyłaś mi na pomoc. W tej mrocznej alejce zrozumiałem, czego tak naprawdę mi brakuje. Nie takich podniet, jakich dostarcza praca dla Delaney'a, ale obecności drugiego człowieka, kogoś, kto by mnie kochał i o mnie dbał. Po prostu marzyłem o takiej cudownej koteczce, która siedziałaby mi na kolanach, tuliła się do mnie i mruczała z rozkoszy.

Na twarzy Tabi, która uparcie unikała wzroku Devlina, pojawił się rumieniec.

- Nie jestem żadną koteczką, Dev. Tam na statku zachowałam się jak idiotka. A ty się mną posłużyłeś. W porządku, może nie chodziło ci o „przykrywkę”, ale... ale wykorzystałeś moją naiwność. Okłamałeś mnie. Kiedy pomyślę, jaka byłam głupia...

- Nie byłaś!

Podniosła głowę.

- Byłam, byłam. Wiesz, co czuję, ilekroć wracam pamięcią do tamtego wieczoru? Ja naprawdę wierzyłam, że to nieśmiałość powstrzymuje cię od wykonania pierwszego kroku, że jesteś wrażliwym człowiekiem, który nie chce mi się narzucać, który boi się mnie urazić...

- Tak było! - przerwał jej. - Balem się. Wiedziałem, że się wystraszysz, że mi uciekniesz. Uznałem, że najlepiej wszystko zostawić w twoich rękach. Że sama wybierzesz takie tempo, jakie tobie najbardziej odpowiada.

- Innymi słowy, zastawiłeś na mnie pułapkę? - zezłościła się. - Liczyłeś na to, że nie będę w stanie się wycofać, kiedy w końcu odkryję prawdę? Przeliczyłeś się, Dev. Nie jestem już tą naiwną beztroską idiotką ze statku. Wiele się nauczyłam podczas tego rejsu...

- Owszem-wszedł jej w słowo.-Ale pamiętaj, że tego, czego się nauczyłaś, nauczyłaś się ode mnie! Odkryłaś, że jesteś namiętna, więc teraz chcesz nadrabiać zaległości, chcesz przekonać się, ile cię w życiu ominęło. Prawda? Postanowiłaś cieszyć się wolnością, poznawać różne smaki życia. Ale jeśli myślisz, że

pozwolę ci rzucać się w ramiona każdemu pętałkowi, jaki się nawinie, to się grabo mylisz! Należysz do mnie!

Pochyliwszy się, z hukiem odstawił kubek na stół. Tylko spróbuj zaprzeczyć! - mówiły jego oczy.

- Nie jestem taka jak dawniej. Zmieniłam się i nic ci do tego! Będę robiła, co mi się podoba, żyła po swojemu i nikogo nie pytała o zdanie! A jeśli najdzie mnie ochota rzucić się w ramiona Rona Adamsa, to rzucę się i już!

- Tabi, Tabi... - Devlin z trudem nad sobą pannał. - Nie przyjechałem tu po to, żeby się z tobą kłócić.

- Nie? To dlaczego podnosisz głos?

- Skarbie, posłuchaj. Nie mogłaś się zmienić aż tak bardzo w ciągu zaledwie tygodnia czy dwóch. Dlatego wciąż tu jestem. I dlatego nie zbiłem na kwaśnie jabłko twojego młodego przyjaciela. Bo wiem, że niezależnie od tego, ile wczoraj wypiałaś, nie byłabyś zdolna pójść z facetem do łóżka dla zabawy. Nie zdobyłabyś się na jednonocny romans.

- Nie? A z tobą na statku...

- To było co innego - oznajmił stanowczo.

Zamruwała zaskoczona jego pewnością siebie.

- Skąd wiesz?

- Czuję to. Instynktownie.

- E tam! - mruknęła, sięgając po kubek kawy.

- Słowo honoru. Tabi, od lat kieruję się instynktem. Polegam na nim. Ufam mu. Jeszcze nigdy mnie

nie zawiódł. I właśnie on, ten instynkt, mówi mi, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Może ty ufasz swojej intuicji. Kłopot w tym, że ja tobie nie ufam.

Oczy mu pociemniały, ale głos nie zdradzał emocji.

- Boisz się mnie?

- Nie - odparła chłodno.

Przez chwilę w milczeniu mierzył ją wzrokiem.

- A jeśli ci powiem, że przyjechałem tu, żeby odwdzięczyć się za to, co dla mnie zrobiłaś?

- Za to, że nie porzuciłam cię w tej alejce?

Na widok lekko ironicznego uśmiechu, który przesliznął się po jego wargach, przeszył ją dreszcz.

- Za to, że mnie uwiodłaś - odparł. - Dobre uczynki powinno się wynagradzać. Ciebie nikt nigdy nie uwodził, prawda? Nikt nigdy nie kochał? Najwyższa więc pora, żebyś poznała jedną z największych przyjemności w życiu. I żeby tę przyjemność ofiarował ci mężczyzna, którego wkrótce poślubisz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

To nie ironiczny, szelmowski uśmiech przesądził sprawę. Ani butna, zdecydowana postawa Devlina. Wzmianka o małżeństwie też nie miała znaczenia. Ani to, że po wczorajszym przyjęciu potężny kac osłabił jej czujność i pozbawił ją instynktu samozachowawczego.

Nie, pomyślała Tabitha, przecierając miękką miotką książki w Mandali, żadna z tych rzeczy nie wpłynęła na jej decyzję. Zgodziła się umówić z Devlinem tylko dlatego, że w jego oczach spostrzegła błysk desperacji. Na świeżo miała w głowie obraz człowieka, który dwa lata temu, na pustej drodze, niemal wykrwawił się na śmierć. Ten obraz w połącze-

niu z błagalnym spojrzeniem Devlina sprawił, że nie zdobyła się na odmowę.

Psiakrew! Co się z nią dzieje? Dlaczego nie wskazała mu po prostu drzwi? Dlaczego nie wyrzuciła go z domu? Oczyszczyła z kurzu rząd książek o tematyce *science fiction*, po czym cisnęła na bok miotełkę i usiadła za ladą. W sklepie było pusto. Nic nie rozpraszało jej uwagi; mogła do woli rozmyślać o własnej głupocie. Rozmowa, jaką toczyła z Devlinem podczas śniadania, uparcie dźwięczała jej w głowie.

- Mężczyzna, którego wkrótce poślubisz - powiedział.

- Chyba oszalałeś! - Aż się zakrztusiła. - Nie mam zamiaru cię poślubić!

- Boisz się mnie.

- Nie boję! - syknęła, święcie o tym przekonana.

- Udowodnij to. Zjedz ze mną dziś kolację.

- Dev, to śmieszne. Najpierw mi mówisz o małżeństwie, a teraz o kolacji?

- Krok po kroku... Tabi, proszę cię, zgódź się chociaż na kolację.

Właśnie w tym momencie zobaczyła ten błysk desperacji. Jej opór zaczął słabnąć. Zła na siebie, w końcu zgodziła się pójść z Devlinem do restauracji. A teraz siedziała za ladą w swojej księgarni, z brodą wspartą na dłoni, i czyniła sobie wyrzuty.

Kocha tego faceta do szaleństwa!

Zrozumiała to, gdy tylko otworzyła rano drzwi i ujrzała go za progiem. Nie, poprawiła się w myślach,

zrozumiała to wczoraj wieczorem, kiedy zobaczywszy smoka na dywanie w salonie, uświadomiła sobie, że nie powinna uwodzić Rona ani zabawiać go opowieściami o zwyczajach fantastycznych stworzeń. Że nie powinna i że nie chce. Bo jedynym mężczyzną, na którym jej zależy, jest Devlin Colter.

Przysięgał, że pracuje w branży turystycznej, że ma biuro podróży, sprzedaje bilety, organizuje wycieczki. Może. Kto go tam wie? Ale gdyby dalej chciał ją okłamywać, czy przyjechałby do Port Townsend? Gdyby była mu potrzebna na statku jako kamuflaż, czy zadałby sobie tylu trudu, aby ją odnaleźć? I co znaczył ten błysk desperacji, który widziała w jego oczach?

Może faktycznie teraz mówił prawdę? Tak czy inaczej był tym samym człowiekiem, którym zaopiekowała się w alejce na St. Regis. W porządku, wtedy nie wiedziała, dlaczego został pobity, ale... ale to nie miało znaczenia. Po prostu potrzebował pomocy i ona mu jej udzieliła. Postąpiłaby identycznie, nawet gdyby wiedziała, że swojego napastnika wepchnął do pojemnika na śmieci. Nie potrafiłaby odejść, zostawić go półżywego.

A teraz odnalazł ją w Port Townsend i twierdził, że znów jej potrzebuje. Nikt go nie pobił, sińce nie pokrywały jego ciała, ale tak jak i wtedy na St. Regis, widziała w jego oczach ból. I tak jak wtedy, nie zdołała się od niego odwrócić. Denerwował ją. Był irytującą, kłamliwą bestią, ale był jej bestią. Jej własnym prywatnym smokiem.

Zadumana westchnęła ciężko. Gdyby nie ona, może by nie przeżył. Wybawienie kogoś od śmierci, a następnie uwiedzenie go daje dziwne poczucie siły i władzy. Od tamtego pamiętnego wieczoru na statku miała wrażenie, że Devlin jest jej mężczyzną. On czuł to samo, to znaczy, że ona jest jego kobietą. Powiedział o tym Ronowi. Zresztą nawet gdyby nic nie mówił, wystarczyło spojrzeć w te pałające gniewem srebrzyste oczy, kiedy wszedł do salonu i zobaczył śpiącego na kanapie brata Sandry.

Na dźwięk otwieranych drzwi podskoczyła. Właściwie to dobrze, że intuicja Devlina nie zawiodła. Aż strach pomyśleć, jak by zareagował, gdyby uznał, że między nią a Ronem do czegośkolwiek doszło. Biedny Ron pewnie nie wyszedłby o własnych siłach.

- Dzień dobry, Tab! - zawołała Sandra, zamykając za sobą drzwi. - Postanowiłam wpaść i podziękować ci za fantastyczne przyjęcie. Bawiłam się cudownie. A Jim okazał się najbardziej niezwykłym rybakim, jakiego w życiu spotkałam. Należy do tych twardych, milczących typów, którym niestraszne są fale i sztormy - ciągnęła melodramatycznym tonem. - Tacy jak on szanują i kochają pierwotne siły natury. - Na moment zamilkła. - No dobra, a teraz przyznaj się: co było po moim wyjściu? Coś zrobiła mojemu małemu braciszkowi?

Oparłszy się łokciami o ladę, Sandra z rozbawieniem popatrzyła na przyjaciółkę, która szeroko się uśmiechnęła.

- Nic. Zasnął grzecznie na kanapie.

- A rano obudził go ryk smoka. - Oczywiście Sandry lśniły wesoło. - Kiedy mi o tym opowiedział, nie zdołałam powściągnąć ciekawości. Musiałam tu przybiec i...

Zanim dokończyła, ponownie zabręczał dzwonek u drzwi. Sandra odruchowo obejrzała się przez ramię.

- Niech no zgadnę. Smok we własnej osobie, prawda?

Uniósłszy brwi, Devlin wszedł do środka. W jednej ręce trzymał dwa styropianowe kubki z kawą, w drugiej hebanową laskę, którą zamknął za sobą drzwi.

- Widzę, że moja opinia mnie wyprzedza.

- Nic dziwnego, że mój braciszek był przerażony - rzekła ze śmiechem Sandra. - Jest pan co najmniej piętnaście lat od niego starszy.

- Proszę mi tego nie przypominać - mruknął Devlin. - Czyli ten pętaś, na którego natknąłem się dziś rano, to pani brat?

- Sandra Adams, Devlin Colter. - Tabitha pośpiesznie dokonała prezentacji.

Widząc błysk zainteresowania w oczach przyjaciółki, poczuła ukłucie zazdrości, które po chwili znikło, gdyż Devlin zdawał się nie zauważać taksującego spojrzenia Sandry. Podobnie zachowywał się na statku: nie dostrzegał żadnych kobiet poza Tabithą. Ogarnęła ją radość, którą oczywiście natychmiast starała się stłumić.

- Dev i ja poznaliśmy się podczas rejsu po Morzu Karaibskim - dodała gwoli wyjaśnienia.

- Cóż to musiał być za rejs! - Sandra nie odrywała wzroku od Devlina. - Tab wróciła odmieniona. Jest całkiem inną kobietą niż ta, która wyjechała.

- Nieprawda - burknął Devlin.

Podał Tabicie styropianowy kubeczek. Unikając jego spojrzenia, zdjęła wieczko i pośpiesznie wypiała łyk kawy.

- Po prostu odkryła o sobie kilka rzeczy, o których wcześniej nie wiedziała - dodał. - Ale wciąż jest tą samą osobą.

- Sandra ma rację - rzekła butnie Tabi, pijąc kawę.
- Zmieniłam się.

Devlin uśmiechnął się pod nosem, lecz milczał.

- No dobrze, zostawię was samych. Mam pełno spraw do załatwienia. - Sandra ruszyła w stronę drzwi.
- Zauważyłam, Tab, że sąsiedni sklepik z ubraniami został zamknięty. Nie myślałaś o tym, żeby wynająć tę powierzchnię i powiększyć Mandalę?

- Owszem, ale wciąż nie umiem podjąć decyzji
- przyznała Tabitha, która w tym momencie dumiała o czymś całkiem innym. - To miło, Sandy, że wpadłaś wczoraj na przyjęcie.

- Bawiłam się wybornie. - Machając wesoło na pożegnanie, Sandra Adams nacisnęła kłamkę i zniknęła za drzwiami.

- I co, pogodziłaś się z faktem, że zabieram cię wieczorem na kolację? - spytał Devlin, z zaciekawieniem rozglądając się po księgarni.

- Tak, ale pamiętaj, to tylko kolacja. Żebyś przypadkiem nie liczył na nic więcej - ostrzegła go.

- Innymi słowy, mam się do ciebie nie zalecać?

- No właśnie. Spędzimy sympatyczny wieczór, jeśli tylko będziesz zachowywał się jak džentelmen. Muszę wszystko przemyśleć, ułożyć sobie w głowie i nie chcę, żebyś mnie poganiał ani próbował wywierać jakieś naciski.

- W porządku.

Przyjrzała mu się podejrzliwie, nie do końca przekonana, czy Devlin nic nie knuje.

Wieczorem, siedząc w uroczej małej restauracyjce przy nadmorskiej promenadzie, dalej patrzyła na niego podejrzliwym wzrokiem. Jednakże w miarę upływu czasu nabierała coraz większej pewności siebie. Devlin zachowywał się bez zarzutu, odkąd w ciemnej bawełnianej marynarce i beżowych spodniach zastukał o ósmej do jej drzwi. Otworzyła mu ubrana w białą sukienkę z czarnymi wstawkami pod szyją i przy rękawach.

Dobre maniery Devlina sprawiły, że przestała się denerwować, ale wiedząc, do czego Devlin jest zdolny - bądź co bądź zdążyła go na statku poznać - na wszelki wypadek pozostawała czujna. Zamówili suflet z homara oraz sałatkę z selera, rzodkiewek i oliwek.

- Odpręż się - powiedział cicho. - Nie rzucę się na ciebie z nienacką. Upprzedzę cię zawczasu. Ty mnie upprzedziłaś...

Zmarszczyła czoło.

- Upprzedziłam? O czym mówisz?

- Najpierw był pocałunek na pokładzie. Pamiętasz? Na niebie świecił księżyc w pełni... Rozochociłem się, liczyłem na dalszy ciąg, ale do niczego więcej nie doszło. Kiedy jednak rano otworzyłaś drzwi ubrana w sukienkę, pod którą nie miałaś stanika, pomyślałem sobie: jeszcze nie wszystko stracone.

- Cały czas się ze mnie podśmiewałeś - rzekła z pretensją w głosie. - Boże, czuję się jak kretyka.

- Nie podśmiewałem się - zaprzeczył. - Marzyłem o tym, żebyś mnie uwiodła. I strasznie się bałem, że nie zdobędziesz się na odwagę.

- Szkoda, że się zdobyłam.

- Błagam, nie mów tak. Tamtej nocy, kiedy się kochaliśmy, przeżyłem najwspanialsze godziny swojego życia. Tych wspomnień nie oddałbym nikomu za żadne skarby świata.

Przyjrzała mu się sceptycznie; czy to możliwe, aby ich wspólna noc znaczyła dla niego tyle samo co dla niej?

- Masz za sobą wiele takich nocy.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie takich.

- Akurat!

- Przysięgam. Jeszcze żadna kobieta tak cudownie > mnie nie pieściła. Jeszcze żadna tak pięknie się ze mną nie kochała. Bo myśmy się kochali. To nie był seks dla seksu.

- Żadna? Przecież miałaś żonę! - oburzyła się.

- A może to też kłamstwo?

W jego oczach rozbłysła złość. Na szczęście po chwili udało mu się ją stłumić.

- Owszem, miałem żonę - potwierdził. - Ale ona bardziej niż mnie kochała moją pracę, mój zawodowy wizerunek. Dlatego po wypadku, w którym o mało nie straciłem nogi, odeszła ode mnie. Nie interesował jej kaleki mąż. Chciała mieć Jamesa Bonda, a nie kuśtykającego faceta, który zarabia na życie w normalny, nudny sposób.

Tabitha przygryzła wargę. Zalała ją fala współczucia. Wiedziała, czym jest małżeństwo bez miłości.

- Mówisz prawdę?

- Tabi, ani razu cię nie okłamałem. Chociaż nie; okłamałem cię raz, w tej alejce na St. Regis. Po prostu byłem zobowiązany do nieujawniania żadnych faktów. Faktów, o których dowiedziałaś się, kiedy Wave-ry przyłożył ci pistolet do głowy. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie miałem wyrzuty sumienia, że wciągnąłem cię w to bagno. To była moja wina. Wyłącznie moja. Nie mogłem się doczekać, żeby wrócić na statek i wszystko ci wyjaśnić. Ale kiedy dotarłem na miejsce, ciebie już nie było.

- Byłam wściekła. Wiedziałam, że nie zdołam spojrzeć ci w twarz. Czułam się jak idiotka: jak mogłam pomylić nieulekłego tajnego agenta z właścicielem biura podróży, człowiekiem delikatnym...

- ...wrażliwym i nieśmiałym - dokończył za nią.
- Taki jestem, kotku. Przysięgam. No, może nie

nieśmiały, ale na pewno wrażliwy, dobry i delikatny. Nie powinnaś...

- Devlin, zmieńmy temat, zanim wyleję ci na głowę to doskonałe chardonney - poprosiła.

Zacisnął usta. Przez moment bała się, że jej nie posłucha. Na szczęście zachował się jak dżentelmen; spytał ją najpierw o Port Townsend, potem o Mandagę. Kilka minut później trąkotała wesoło, tak jak na statku. Znikło napięcie. Mimo wahań i niepewności jedno wiedziała ponad wszelką wątpliwość: że dzisiejszy wieczór chce spędzić z tym mężczyzną. Kocha go.

Odetchnął z ulgą, obserwując, jak Tabitha się odpręża. Ogarnęła go radość. Przeistaczała się w tę uroczą, czarującą istotę, którą poznał na statku. Może uda mu się naprawić szkody, jakie wyrządził podczas rejsu? Już nie traktowała go jak bezwzględnego agenta, którego widziała w akcji. Nie, odnosiła się do niego przyjaźnie, jak do zwykłego człowieka, którym w istocie był. Udzielił mu się jej spokój, sam również zaczął się odprężać. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo od kilku dni zżerały go nerwy.

Przyjazd do Port Townsend wymagał starannego przygotowania. Oczywiście Devlin chciał przyjechać natychmiast, jak tylko zdobył adres Tabithy, ale intuicja mu mówiła, że Tabi potrzebuje więcej czasu, by ochłonąć. Że jej żal musi nieco przygasnąć, ból stępieć. Więc wstrzymywał się. Czekał. I o mało się nie spóźnił. Uświadomił to sobie dzisiejszego ranka, kiedy wszedłszy do jej domu, zastał krajobraz jak po

bitwie. Jego mała koteczka stała się pewną siebie kobietą, która zamierzała rozpocząć nowe życie.

Powściągnął rosnącą irytację. Dobrze, że dłużej nie zwlekał. Ma nauczkę. Odtąd będzie jej pilnował. Nie pozwoli, żeby Tabi na kimkolwiek ćwiczyła swoje nowo odkryte talenty w sztuce uwodzenia. Nagle zorientował się, że przygląda mu się uważnie, jakby czytała w jego myślach. Uśmiechnął się ciepło.

- Można dolać ci wina? - zapytał. - Jest doskonałe. Nawet nie przypuszczałem, że te produkowane na północnym zachodzie mogą konkurować z kalifornijskimi.

Wyraz czujności znikł z jej oczu. Po chwili z zapałem zaczęła mu opowiadać o rozwijającym się przemyśle winiarskim w Waszyngtonie i Oregonie. Devlin zamienił się w słuch. Cudowny melodyjny głos Tabithy działał na niego kojąco, a zarazem podniecająco.

Dwie godziny później, zadowolony, że nie popełnił rażącego błędu, odwiózł Tabithę do domu. Czuł, że wszystko zmierza ku szczęśliwemu końcowi, że wkrótce kotka znów zwinie mu się na kolanach. Patrzyła na niego coraz przyjaźniej, bez podejrzliwości. Nie zaprotestowała, kiedy po opuszczeniu restauracji wziął ją za rękę. Był prawie pewien, że nie zaprotestuje, kiedy po wejściu do domu weźmie ją w ramiona. Tak długo o tym marzył. Weźmie w ramiona, a potem...

Niestety, marzenie się nie spełniło.

- Zaczynasz mnie uwodzić? - spytała z powagą,

gdy zamknąwszy drzwi, powiesił laskę na klamce i delikatnie objął ją w pasie.

Uśmiechnął się leniwie, wciągając w nozdrza świeży zapach jej włosów.

- Zaczynam - szepnął.

Nie była to prawda, gdyż uwodził ją od wielu godzin, ale skoro tego nie zauważyła, nie zamierzał jej o tym mówić, bo i po co? Opuszką palca pogładził ją po brodzie. Uśmiech rozświetlił mu twarz. Boże, jak dobrze trzymać ją w objęciach, czuć jej bliskość. Wzdychając błogo, pochylił głowę i przysunął usta do jej ust.

- W takim razie musimy się pożegnać - oznajmiła, odpychając się dłońmi od jego klatki piersiowej.

Zamrugnął zdumiony.

- Co?

- Słyszałeś, Dev. Dobranoc. Dziękuję za miły wieczór. - Posłała mu promienny uśmiech. Zbyt promienny.

- Tabi...!

- Musimy się pożegnać - powtórzyła łagodnie.
- Jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji. Mam wiele spraw, które muszę sobie na spokojnie przemyśleć.

Miał ochotę przekląć, lecz nie zrobił tego. Wiedział, że nie może napierać na Tabithę, poganiać jej, bo tym ją do siebie zrazi. Już prawie mu wybaczyła, już uśmiechała się tak jak dawniej. Wystarczy zatem uzbroić się w cierpliwość i czekać: niedługo sama do

niego przyjdzie. Mają przed sobą całe życie. Powinien myśleć o przyszłości, a nie o chwili obecnej, o zimnym, pustym łóżku. Przecież wytrzyma jeszcze jedną czy dwie noce w samotności. Nie zdradzając swoich uczuć, ponownie się uśmiechnął i delikatnie ją pocałował.

- Cieszę się, że mi zaufałaś, Tabi. Że zgodziłaś się zjeść ze mną kolację - szepnął, starając się nadać swemu głosowi szczere brzmienie. - Zadzwoń do ciebie jutro rano.

Zawahała się; w jej oczach pojawił się wyraz z troskania.

- Masz gdzie spać? - zapytała.

Wymagało to nie łąda wysiłku, ale skinął głową, że tak, że ma zamówiony pokój w pensjonacie. A przecież mógł skłamać, mógł skorzystać z okazji i powiedzieć, że nie. Jak by wtedy zareagowała? Ciekaw był, czy zaproponowałaby mu nocleg na kanapie? Ale tego się nie dowiedział, bo postanowił do końca grać rolę dżentelmena.

- Tak - odparł. - W jednym z tych starych wiktoriańskich domów; przerobionych na hotel. Nie przejmuj się mną, Tabi.

- Nie będę - obiecała skwapliwie. - Dobranoc, Dev.

- Dobranoc.

Przez moment stał niezdecydowany, jakby jeszcze chciał coś dodać, ale nic mądrego nie przyszło mu do głowy, więc zdjął z klamki laskę i otworzył drzwi. Cierpliwości, powtarzał sobie w myślach. Zawsze

potrafiłeś się przyczaić i czekać godzinami. Daj jej trochę czasu, a wkrótce będzie twoja. Ona cię kocha. Na pewno kocha, w przeciwnym razie nie poszłaby z tobą do łóżka!

Cztery dni później nadal się tak pocieszał. Stał przed lustrem, szykując się do kolejnej randki z Tabithą, i powtarzał w duchu te same słowa. Kocha mnie, kocha mnie na pewno. Innej możliwości nie brał pod uwagę. Ale, psiakość, dlaczego wciąż trzyma go na dystans?

Zawiązawszy pod szyją krawat, sięgnął po wiszącą na oparciu krzesła marynarkę. Odruchowo sprawdził, czy nie zapomniał kluczyków do samochodu i portfela, po czym skierował się ku drzwiom. O co jej chodzi? Jaką prowadzi grę? A może postanowiła zemścić się, ukarać go za to, że okazał się innym człowiekiem niż mężczyzna, którego poznała na statku? A może... może po prostu czuje się zagubiona, może sama nie wie, czego chce?

Jeżeli Tabitha czuje się zagubiona i zdezorientowana, powinien dać jej więcej czasu; jeżeli prowadzi jakąś grę, wtedy powinien temu przeszkodzić, i to natychmiast. Jeżeli zaś próbuje go ukarać... Skrzywił się. Pewnie zasłużył na karę. Zszedł na nieduży parking, wszedł do wynajętego samochodu i wyjechał na ulicę. W drodze do domu Tabithy podjął decyzję: musi dowiedzieć się, co nią kieruje. Jego cierpliwość była już na wyczerpaniu, a intuicja próbowała go ostrzec...

Ostrzec? Przed czym? Że może Tabi faktycznie się zmieniła? Że może naprawdę stała się bardziej zadziorna, mniej uległa? Nie, nie wierzył w to. Nadal była jego słodką, miłą koteczką. W ciągu tych ostatnich paru dni wielokrotnie widział dobroć i współczucie malujące się w jej oczach. Nie, nie mogła się tak drastycznie zmienić.

Więc dlaczego dziś znów dopada go ten dziwny niepokój? Ciarki chodziły mu po krzyżu jak zawsze wtedy, gdy instynkt chciał go przed czymś ostrzec. Mimo że wielokrotnie zawdzięczał im życie, to w sumie nienawidził tych igiełek na plecach, zwiastujących zbliżające się nieszczęście.

Dziś zapadnie ostateczna decyzja, postanowił, zaciskając ręce na kierownicy. Dziś doprowadzi sprawę do końca. Miejsce Tabithy jest u jego boku, w jego łóżku, w jego życiu, i im szybciej ona to zrozumie, tym lepiej dla nich obojga. Dłużej ciągnąć tego tak nie można! Pokręcił głową. Był pewien, że Tabi przebaczy mu już pierwszego wieczoru. Na miłość boską, przecież go pokochała.

A jeśli się myli? Jeśli go nie kocha?

Z podziwu godnym spokojem, starając się nie ulec negatywnym emocjom, zabrał Tabithę do kolejnej restauracji mieszczącej się, podobnie jak jego pensjonat, w odnowionym wiktoriańskim domu.

- Poza San Francisco właśnie w Port Townsend zachowały się najpiękniejsze przykłady architektury wiktoriańskiej - powiedziała, kiedy wczoraj oprowadzała go po miasteczku.

- Nie wiedziałem o tym - rzekł, zastanawiając się, co by zrobiła, gdyby zaciągnął ją do najbliższego parku i rzucił na nią. Ale oczywiście to były takie teoretyczne rozważania. Nigdy w życiu by tak nie postąpił. Był przecież dżentelmenem.

Jednakże dzisiejszego wieczoru jego dżentelmeńska natura wystawiona była na ciężką próbę. Dzisiaj wszystko ma się rozstrzygnąć. Powoli puszczały mu nerwy. Dawniej uchodził za człowieka wytrwałego, który nie ulega emocjom, ale to się najwyraźniej zmieniło. Wiedział, że dłużej nie zniesie napięcia i niepewności.

- Nowa biżuteria? - spytał, spoglądając z zainteresowaniem na naszyjnik, który zdobił dekolt Tabi.

Podniosła wzrok znad talerza; oboje zamówili krewetki w gęstym sosie koniakowym.

- Podoba ci się? - Oczy lśniły jej z podnieceniem.
- To dzieło mojego przyjaciela. Przedstawia mitycznego centaury, istotę będącą pół człowiekiem i pół koniem, podobno odznaczającą się wielką chucią.

Devlin widział, że gdyby mogła, natychmiast cofnęłaby te słowa. Do tej pory wystrzegała się jakichkolwiek wzmianek o seksie. Świetnie, pomyślał, kiedy oblała się rumieńcem. Przynajmniej sprawy dotyczące cielesności i pożądania krążą jej po głowie.

- Większą niż smoki? - spytał niewinnie.

Zakasłała, po czym ujęła kieliszek z winem.

- Właściwie to nikt nie zna zwyczajów erotycznych smoków...

- Poza tobą - wtrącił.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym, żebyśmy zmienili temat - rzekła wyniośle.

- Proszę bardzo, kotku.

Nie zamierzał się sprzeciwiać. Mogą zmienić temat, mówić o czymkolwiek, ale o seksie on, Devlin, nie pozwoli jej zapomnieć! Dzisiejszego wieczora będzie się z nią kochał, uciszy te dziwne sygnały ostrzegawcze, które nękają go od popołudnia.

- Wejdiesz na moment? -- spytała dwie godziny później, kiedy odprowadził ją pod drzwi.

Nie boi się tych wieczornych wizyt, pomyślał zadowolony. Poprzednie dwa wieczory, kiedy odwoził ją do domu, również zapraszała go na kawę lub kieliszek wina. Ponieważ bez oporów wychodził, nie miała powodu sądzić, że dziś też tak nie postąpi.

- Dziękuję. Z przyjemnością.

Odprowadził ją wzrokiem do kuchni, a sam ostrożnie przykląkł przed kominkiem, by rozpalić ogień. Akurat wstawał, podpierając się laską, kiedy Tabitha wróciła do pokoju z dwoma kieliszkami koniaku w ręce. Zacisnąwszy usta, syknął z bólu, po czym uśmiechnął się bezradnie.

- Co się stało? - Popatrzyła na niego zatroskana.

- Noga ci dokucza? - Pośpiesznie odstawiła kieliszki na stół i obejmując Devlina w pasie, pomogła mu dojść do kanapy.

- Trochę. Zaraz mi przejdzie. Pewnie za bardzo

ją wczoraj nadwerżyłem, kiedy chodziliśmy po mieście.

- Chciałam ci pokazać nasze piękne wiktoriańskie domy. - Przytrzymała go, gdy siadał na kanapie. - Nie pomyślałam, że taki długi spacer może ci zaszkodzić. - W jej głosie pobrzmiewały wyrzuty sumienia. - Może wypijesz trochę koniaku...?

Z wdzięczności przyjął kieliszek. Tabitha usiadła obok na kanapie i siedziała spięta, dopóki nie wypił odrobiny alkoholu i nie zapewnił jej, że w tej pozycji noga znacznie mniej go boli.

- Jeszcze kilka minut i będzie dobrze. Zanim stąd wyjdę, ból powinienem całkiem ustąpić.

To prawda. Ponieważ nie zamierzał wychodzić przed świtem, do tego czasu ból faktycznie powinien zniknąć. Noc spędzona z Tabithą to najlepsze lekarstwo na wszelkie dolegliwości. Nagle zauważył, że Tabi przygląda mu się z poważną miną.

- Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać - zaczęła.

- O moim wyjściu? - zażartował, uśmiechem pokrywając niepewność. - Dopiero przyszliśmy. Nawet nie dopiłem koniaku.

- Nie o twoim wyjściu. O twoim wyjeździe - sprecyzowała. - Jakie masz plany, Dev? Jak długo zamierzasz zostać w Port Townsend?

Wziął głęboki oddech, po czym wolno wypuścił z płuc powietrze.

- Na zawsze - odparł.

- Na zawsze? - O mało nie wypadł jej kieliszek z dłoni. - Jak to?

- Myślę o tym, żeby otworzyć biuro podróży w lokalu, który sąsiaduje z Mandalą. W tym, który wkrótce będzie do wynajęcia - oznajmił, nie spuszczać z niej oczu. - Chciałbym przenieść się na stałe z Houston do Port Townsend. I ożenić z tobą.

Na jej twarzy odmalował się cały wachlarz emocji. Zdumienie, radość, strach. Nie spodziewała się takiego wyznania, przynajmniej nie dziś. No cóż, czekanie się skończyło. Sama zapytała o jego plany, a on nie miał powodu ich ukrywać.

- Ale, Dev, nie możesz pod wpływem impulsu podjąć tak ważnej decyzji jak przeprowadzka. Takie sprawy wymagają głębokiego namysłu. Jest tyle rzeczy, które trzeba wziąć pod uwagę i...

- Nie sądzę, abyś ty zgodziła się zamieszkać w Houston, a tym bardziej w naszej pięknej stolicy - rzekł spokojnie. - Nie jesteś typem człowieka, któremu odpowiada życie w dużym mieście. Dlatego ja przeniosę się na północny zachód. Do urokliwego Port Townsend.

Dłoń ściskająca kieliszek zadrżała.

- No dobrze, wiesz, jakim ja jestem typem. A ty? - spytała cicho. - Jaki jesteś?

- Ja marzę o prowadzeniu biura podróży w małym miasteczku nad zatoką Pugeta. Tabi, dlaczego trzymasz mnie na dystans? - spytał, nie kryjąc frustracji.

Czubkiem języka oblizała wargi. Jej spojrzenie

zdradzało silny niepokój. Miała świadomość, że Devlin przejął w swoje ręce ster i nie wiedziała, co z tym fantem począć.

- Już ci mówiłam. Nie pozwolę, żebyś wywierał na mnie nacisk. Nie zamierzam powtórzyć błędu, jaki popełniłam na statku. Tym razem muszę mieć stu-procentową pewność.

Popatrzył na złocisty płyn w kieliszku.

- Wyczerpałaś swój limit czasu, Tabi. Zostaję na noc.

- Nie. - To jedno małe słowo zabrzmiało niewiele głośniej od szeptu.

Devlin podniósł wzrok. Spoglądała na niego jak zahipnotyzowana, jakby naprawdę był smokiem, a ona księżniczką, którą uwięził w swojej jamie. Nie chciał jej więcej oszukiwać, nie chciał, by oskarżała go o nieczystą grę. Wiedział, że niczego tym sposobem nie osiągnie.

- Tak. - Odstawił kieliszek i wyciągnął do niej rękę.

Pod wpływem jego dotyku dziwny paraliż, jaki ją ogarnął, prysł. Zaczęła się szamotać. Próbując się oswobodzić, wylała parę kropli koniaku na sukienkę. W jej oczach pojawiła się złość i... i chyba podniecenie. Przynajmniej taką miał nadzieję.

- Przestań, Dev. Proszę!

Obejmując ją za szyję, ostrożnie wyjął jej z dłoni kieliszek.

- Obiecałem, że cię uprzedzę, zanim przystąpię do

uwodzenia. No więc za moment, kotku, zacznę cię uwodzić. Zamierzam siedzieć z tobą przed kominkiem, gładzić cię, pieścić, aż zaczniesz mruczeć z rozkoszy. Chcę się z tobą kochać, Tabi, chcę cię dotykać i całować, aż będziesz zwijać się i błagać mnie O więcej.

Starał się mówić cichym, zmysłowym szeptem, ale jego głos zdradzał zniecierpliwienie. Może gdyby zdołał opanować napięcie, wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale mu się nie udało.

Tabitha wierciła się, szarpała i syczała.

- Puść mnie, do jasnej cholery, bo inaczej... - Nie dokończyła. Uwolniwszy się z jego uścisku, podierała się na nogi.

Wiedział, że musi działać szybko, że nie może jej pozwolić wybiec z domu, bo nigdy jej nie dogoni. Z bolącą nogą, bez laski, był bezradny, laska zaś leżała na podłodze poza jego zasięgiem.

- Tabi, nie bądź śmieszna, wróć - powiedział cicho, kiedy zaczęła cofać się w stronę kominka.

Potrząsnęła gniewnie głową.

- Tabi, przecież nie chcesz ode mnie uciec. To ja, Dev. Wróć, kochanie. Pamiętasz, jak nam było razem dobrze? Chodź, pójdziemy do łóżka, będziemy się kochać, przeżyjemy to jeszcze raz...

Niedobrze, cholera! Inaczej powinien to rozegrać, pomyślał, przesuwając się wolno na drugi koniec kanapy. Podejrzewał, że Tabitha rzuci się do drzwi, jak tylko on zacznie się podnosić. Dopiero wtedy będzie kłopot.

- Nie zbliżaj się, Dev! Jeszcze nie podjęłam decyzji. Mam mętlik w głowie, z którym muszę się uporać.

- Wiem, kochanie. I chcę ci w tym pomóc. Ta zabawa w kotka i myszkę ciągnie się za długo. Najwyższy czas ją przerwać.

Siedział na skraju kanapy. Przynajmniej laska była już w zasięgu jego ręki, wystarczyło się schylić. Nie odrywając oczu od jego twarzy, Tabitha cofnęła się kolejny krok.

- Zabawa w kotka i myszkę? Ja się w nic nie bawię, Dev. Nie rozumiesz tego? Po prostu jestem ostrożna. Nie chcę być znów oszukana.

- Nie oszukałem cię!

- Ale wprowadziłeś w błąd. Nie jesteś tym człowiekiem, którego poznałam na statku.

- Więc jesteśmy kwita, bo ty też jesteś inna.

Powoli, nie spiesz się, powtarzał sobie w myślach. Jeszcze kilka centymetrów...

- Co to niby ma znaczyć? - zawołała oburzona.

- Tamta nie miała tak ostrych pazurków. Ale nie szkodzi. Może mnie nie podrapiesz?

Zastanawiał się nerwowo, czy Tabi rzuci się w prawo czy w lewo, by mu umknąć. Przyjrzał się jej uważnie. Lata doświadczenia pomogły mu odgadnąć: w prawo, odrobinę większy ciężar ciała spoczywał na jej prawej nodze. Zacisnął palce na lasce, naprężył mięśnie.

- Tabi, nie walcz ze mną. Wiesz, że chcesz tego tak samo jak ja.

- Wciąż o tym myślę, Dev - oznajmiła chłodno.
- Nie ponaglam mnie. Poinformuję cię o mojej decyzji, kiedy ją w końcu podejmę.

- Nie w końcu, ale dziś.

- Dlaczego, Dev? - spytała z irytacją. - Dlaczego nie chcesz mi dać więcej czasu?

- Bo dręczy mnie dziwne przeczucie - przyznał.

- Nie umiem tego wytłumaczyć, ale intuicja mi mówi, że jeśli nie przyprę cię dziś do muru, wydarzy się coś złego.

-I z powodu przeczucia zamierzasz mnie zgwałcić?

- Och, daj spokój! —zdenerwował się. - Dobrze wiesz, że nie!

Zamierzał ją kochać i całować, a nie gwałcić. Powinna zdawać sobie z tego sprawę. Nigdy by jej nie skrzywdził, nie zadał bólu. Chociaż nie, poprawił się w myślach; za to, co z nim dziś wyczynia, najchętniej przełożyłby ją przez kolano i złoił skórę.

- Tabi, chodź do mnie.

- Lepiej, żebyś sobie już poszedł, Dev.

Podpierając się laską, dźwignął się z kanapy i wykonał krok w stronę Tabi. Tak jak się spodziewał, odskoczyła w bok, w prawą stronę. Czym prędzej pochylił się, jedną ręką przytrzymał się oparcia kanapy, drugą uniósł laskę, by zagrozić jej drogę.

- Psiakrew! - zaklęła, zatrzymując się przed przeszkodą, która nieoczekiwanie pojawiła się na wysokości jej talii.

Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, Devlin przyciągnął ją do siebie laską. Nie próbowała się opierać. Liczyła na to, że Devlin straci równowagę. Tymczasem stracili ją oboje i runęli na podłogę. Na szczęście gruby biały dywan leżący przed kominkiem złagodził ich upadek.

Wylądowawszy na Devlinie, Tabitha wciągnęła z sykiem powietrze. Nie zamierzał ryzykować, czekać, co będzie dalej. Przeturlał się, przygniatając sobą Tabi. Wściekła, daremnie usiłowała go z siebie zrzucić. Wiła się i wierciła. Poczł narastające podniecenie.

- Tabi, pragnę cię... - szepnął ochryple.

Otworzyła usta, by zaprotestować. Zamknął je pocałunkiem. W dalszym ciągu próbowała się wyrwać, ale jej zmagania miały odwrotny skutek: jeszcze bardziej Devlina podniecały.

- Psiakrew! - jęknęła, kiedy na moment udało jej się oswobodzić usta. - Puść mnie, do jasnej cholery!

Uniósł głowę i wbił wzrok w jej pałające furją oczy.

- Nie mogę, kotku. Za bardzo cię potrzebuję.

- Zaczął obsypywać pocałunkami jej gładką szyję.

Szamotała się, usiłowała wbić mu obcas w goleń.

- Obetnę ci pazurki - zagroził. Rozwarł kolanem jej uda. Sukienka podjechała wysoko. Przez cienkie rajstopy czuł żar bijący od jej ciała. - Przestań kopać, mała. Swoimi ślicznymi nóżkami możesz co najwyżej mnie objąć. No, przestań walczyć. Przecież wiesz, że jesteś moja.

- Szybko ci się znudziła zabawa w dżentelmena - syknęła przez zęby.

Uwolniwszy rękę, wbiła mu paznokcie w kark.

- Chryste! - Oderwał palce od swojej szyi, po czym jedną ręką chwycił oba nadgarstki Tabithy, a drugą przyłożył do jej piersi. - Cały wieczór chciałaś, żebym cię tu dotknął, prawda? Specjalnie nie włożyłaś stanika. Żebym szalał z pożądania...

- Nie!

- I szaleję. Pragnę cię. To była tylko kwestia czasu, kiedy się znów będziemy kochać. Sama o tym wiesz.

Pod cienkim materiałem czuł twarde piersi. Ucieszył się, że ciało Tabithy tak cudownie reaguje na jego dotyk. Poruszył biodrami i przesunął w dół rękę. Chcąc zdusić protest, zacisnął usta na ustach Tabithy i dopiero wtedy zaczął gładzić jej uda.

- Kiedy się rano obudzisz, nie będziesz miała na sobie rajstop - szepnął. - Och, Tabi... Jak możesz mówić, że mnie nie chcesz, kiedy czuję bijący od ciebie żar? Powiedz, że mnie pragniesz. Proszę cię, powiedz!

Nie wystarczyło mu, że sam wie. Chciał usłyszeć to od niej. Chciał, by szeptała jego imię, by błagała go o pocałunki i pieszczoty. Po chwili, nie otrzymawszy odpowiedzi, uniósł głowę i napotkał wzrok Tabithy. Spojrzenie miała tajemnicze, nieczytelne, wargi rozchylone, oddech szybki i urywany.

Zaniepokoił się. Do diabła, co się dzieje? Dlaczego milczy? Po raz pierwszy tego wieczoru naszły go

wątpliwości. Strach sprawił, że zapomniał o pożądanym. Boże, a jeśli ona mnie nie kocha? Takiej możliwości nawet nie brał pod uwagę. Po prostu nie wierzył, że rodzące się uczucie można przystopować.

- Tabi! Tabi, powiedz moje imię - wyszeptał, zastygając. - Proszę, wymów moje imię.

I co to da? - pomyślał spanikowany. Może nic, odpowiedział sam sobie, ale niech powie cokolwiek. Niech się odezwie. Chciał usłyszeć jej głos. Przecież nie mogła się aż tak bardzo zmienić! Na pewno wciąż go kocha. Nie mylił się! Nie może się mylić!

Tabitha nie spuszczała z niego oczu, nie wiedział jednak, co zdołała wyczytać z jego twarzy. Żadne z nich się nie ruszało. Devlin tkwił w dziwnym stanie zawieszenia, nerwowego oczekiwania na jakiś znak, że nie popełnił błędu, że intuicja go nie zawiodła.

- Dev - szepnęła wreszcie Tabitha. - Kochaj mnie. Tak strasznie cię pragnę. Proszę cię, kochaj mnie.

Z okrzykiem ulgi i radości zgarnął ją z powrotem w ramiona. Coś mówił, dużo mówił, ale nie kojarzył co. Obiecywał jej tysiące rzeczy, jakie od zarania dziejów obiecują swym partnerkom wszyscy rozmaitych kochankowie. A ona obejmowała go za szyję i spijała mu te słowa z ust. Pragnęła Deva, kochała go. Czuła się jak w niebie. Drżącymi palcami rozpiął jej sukienkę, następnie podsunął ją wyżej i ściągnął jej przez głowę.

Leżała naga, ozłocona blaskiem płomieni.

- Boże, jakie śliczne - jęknął na widok jej piersi.

Zacisnął usta na różowych sutkach. Miała wrażenie, jakby przebiegł przez nią prąd. Gładził jej rozgrzane ciało, upajał się jego smakiem i zapachem. Nagle zaczęło mu przeszkadzać własne ubranie. Wsparłszy się na łokciu, rozwiązał krawat, a potem niecierpliwym gestem zdarł z siebie koszulę i spodnie.

Tabitha obserwowała go przez zmrużone powieki. Podobało jej się to, co widzi. Po chwili wsunęła palce w ciemny zarost na torsie Deva. Wstrzymał oddech, gdy leniwie skierowała je w dół jego brzucha.

- Kotku, doprowadzasz mnie do szaleństwa...

Speszył się, gdy niechcący rozdarł jej rajstopy. Ale zaraz o tym zapomniał. Kto by się przejmował błahostkami, mając przy sobie tak piękną kobietę?

- Kochaj się ze mną - szepnął. - Wpuść mnie, ogrzej sobą. Pragnę cię, potrzebuję. Och, jak bardzo...

W odpowiedzi objęła go nogami i mruczac zmysłowo, zaczęła całować po twarzy. W przerwach między pocałunkami powtarzała jego imię, kusiła, by w nią wszedł. Na to czekał. Ona również. Pochłonał ich żar namiętności.

- Dobrze, dobrze... bądź ze mną... nie wstrzymuj się... nie bój się... tak, chodź do mnie...

- Dev!

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Wbijając palce w ramiona Devlina, razem z nim wzniosła się w przestworza. A potem opadli wolno na puszysty dywan, zziębnięci, spoceni i szczęśliwi. Devlin przytulił ją do piersi. Wiedział, że nigdy jej nie puści. Należała do niego.

Minęło wiele czasu, zanim się poruszyła. Kiedy otworzyła oczy, ujrzał w nich wyraz rozmarzenia i błogości.

- Jesteś niesamowita, Tabi. - Podparłszy się na łokciu, rozciągnął usta w ciepłym, porozumiewawczym uśmiechu. - Boska.

- Ty też, smoku. Jesteś władczy, bezczelny, ale wspaniały - rzekła sennym głosem.

- Zmęczona?

- Uhm. Wykończona. Najpierw się ze mną mocujesz, potem kochasz. To bardzo wyczerpujące, wiesz?

- Też jestem zmęczony - przyznał ze śmiechem.

- Co ty powiesz?

- Chyba powinniśmy przenieść się do łóżka.

- Słusznie.

Kiedy wstali z dywanu, ogień w kominku powoli dogasał. Objęci, skierowali się przez hol do sypialni.

- Powiniennem cię zanieść na rękach - Devlin westchnął ciężko - ale obawiam się, że mógłbym stracić równowagę i oboje wyładowałibyśmy na podłodze. Ta cholerna noga...

- Nie zauważyłam, żeby ci w czymkolwiek dziś przeszkadzała - oznajmiła lekko Tabitha. - Nie miałam szansy, prawda?

- Wymknąć mi się? Żadnej. - Otworzył drzwi sypialni. - Nie puściłbym cię. Tabi...?

Akurat zamierzała ściągnąć z łóżka atłasową narzutę.

- Słucham, Dev?

- Obiecaj, że ty też mnie nie puścisz. - W jego głosie pobrzmiwała nuta błagania.

- Nie puszczę. Wskakuj do łóżka, Dev.

Zawahał się. Stał bez słowa, patrząc, jak Tabitha wsuwa się pod kołdrę. Dopiero po chwili poszedł za jej przykładem. O co chodzi? - zastanawiał się, leżąc w ciemności i gładząc Tabi po ramieniu. Dlaczego wciąż czuł igiełki, ten dziwny zwiastun zbliżającego się nieszczęścia? Przecież zdobył tę kobietę, trzymał ją w ramionach. Był pewien, że gdy to się stanie, igiełki znikną...

Nie myślał o tym, kiedy kochali się przed kominem. Ale teraz, gdy emocje opadły, znajomy niepokój powrócił ze zdwojoną siłą. Dlaczego, do licha? Przytulił Tabi mocniej, jakby szukał pociechy w jej nagrzanym ciele. I znalazł. Wzdychając błogo, zapadł w głęboki sen.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Po raz drugi w ciągu tygodnia Tabithę zbudziło głośne stukanie w drzwi. Przynajmniej tym razem nie towarzyszyło mu potworne łupanie w skroniach. Usiadła na łóżku i spojrzała na wyciągniętą obok postać śpiącego mężczyzny.

Boże, jaki on jest wspaniały, pomyślała, nie mogąc oderwać wzroku od umięśnionego ciała. Gdyby miał łuski jak smok, lśniłyby w porannych promieniach słońca. Nie miał łusek, jego gładka opalona skóra odcinała się od bieli prześcieradła.

Tabitha uśmiechnęła się. Kocha go. Dobrze, że wczoraj postanowił przejąć sprawy w swoje ręce. Nie potrafiła zrozumieć samej siebie: jak mogła tak długo

opierać się mężczyźnie, za którym gotowa jest pójść w ogień?

Walenie w drzwi rozległo się ponownie. Tłumiąc pomruk niezadowolenia, odrzuciła kołdrę, wstała i poczłapała bosą do szafy po jedwabny chiński szlafrok z wyhaftowanym na plecach smokiem. Obejrzała się przez ramię. Dziwne, że Devlin się nie obudził. Miał doskonały słuch, zresztą wszystkie zmysły miał znacznie bardziej wyostrzone niż ona. Cóż, może nie od razu zasnął? Może wiercił się z boku na bok? Kiedy obudziła się w środku nocy, zauważyła, że Devlin śpi jakoś niespokojnie. Przytuliła się do niego i wtedy zapadł w głębszy sen. Zrobiło się jej ciepło na sercu. Naprawdę jej potrzebuje. Nie tylko pragnie, ale również potrzebuje.

W końcu oderwała się od swoich myśli, opuściła sypialnię i skierowała się do drzwi. Otworzyła je w momencie, gdy stojący na zewnątrz siwy mężczyzna w trzyczęściowym garniturze podnosił rękę, by jeszcze raz zastukać. Twarz miał pociągłą, ascetyczną, o surowych rysach.

Wpatrywali się w siebie bez słowa - widzieli się po raz pierwszy w życiu. Po chwili mężczyzna uśmiechnął się przyjaźnie, uśmiech jednak ograniczył się do ust. Jego spojrzenie pozostało chłodne i czujne.

- Dzień dobry. Pani Tabitha Graham, prawda?
John Delaney - przedstawił się.

- Delaney... - Tabitha zmrużyła oczy, następnie

powiodła wzrokiem po tradycyjnym ubraniu mężczyzny, zatrzymała oczy na jego uprzejmej twarzy. - Z Waszyngtonu...

Uniósł siwe brwi.

- Widzę, że nieobce jest pani moje nazwisko?

Zaczęła zamykać drzwi.

- Proszę odejść, panie Delaney. Trafił pan pod niewłaściwy adres. Tu jest stan Waszyngton, nie miasto Waszyngton. Niech pan wraca do stolicy.

Wsunął za próg wypastowany czarny but, tak by uniemożliwić jej zamknięcie drzwi.

- Zakładam, że wie pani, po co przyjechałem.

Zacisnęła dłonie w pięści.

- On z panem nie wróci. Teraz tu jest jego miejsce. Ze mną.

- Wątpię. Jeśli dobrze go pani zna, powinna pani wiedzieć, że to samotnik i indywidualista, który chadza własnymi drogami.

- Myli się pan!

Pchnęła drzwi. Czarny but nawet nie drgnął.

- Co tu się, do licha, dzieje?

Tabitha obejrzała się za siebie. Devlin stał w holu ubrany w same spodnie, które przed chwilą musiał zgarnąć z podłogi w salonie.

- Delaney? - mruknął i podszedł bliżej. - Powiniennem był się domyślić. Nic dziwnego, że cały wczorajszy dzień czułem igły na plecach. Intuicja, psiakrew, nigdy mnie nie zawodzi.

Delaney wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak, ty faktycznie potrafisz przewidywać przyszłość. Dlatego jesteś dla nas tak cenny.

Tabitha otworzyła szeroko oczy.

- Co? Jesteś jasnowidzem? - spytała zdumiona.

Devlin skrzywił się.

- Ależ skąd. Po prostu czasem miewam... takie przebłyski. Intuicyjnie wyczuwam, kiedy ma się wydarzyć coś złego. Na przykład cały wczorajszy wieczór... - Urwawszy, przyjrzał się uważnie swojemu byłemu szefowi. - Co tu robisz, Delaney? Akurat byłeś na zachodnim wybrzeżu i postanowiłeś mnie odwiedzić?

- No właśnie - odparł niewinnym tonem John Delaney, starając się wejść do środka.

- Nie wierz mu, Dev! - zawołała Tabitha. - On cię chce ściągnąć z powrotem do Waszyngtonu.

Popatrzyła z wrogością na obcego, który nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

- Wycieczka na Karaiby powinna była cię przekonać, że wciąż nadajesz się do tej roboty - ciągnął spokojnie Delaney, utkwivszy wzrok w Devlinie.

- Nie tylko zdobyłeś film, ale również rozprawiłeś się z Waverlym. Od pewnego czasu wiedzieliśmy, że w tym rejonie działa niezależny agent, ale nie potrafiliśmy go odnaleźć. A ty... To była bardzo miła niespodzianka. Jesteśmy ci ogromnie wdzięczni.

- Wasza wdzięczność mi pochlebia.

Tabitha przeniosła spojrzenie z intruza na Devlina. Dlaczego tak grzecznie rozmawia z Delaneyem? Dla-

czego nie pośle go do diabła? Przecież już podjął decyzję, że zostanie z nią. A może nie?

Nagle poczuła ostre klucie w sercu. Czy to możliwe, że Devlin znów ją wykorzystał, tym razem dla zabicia nudy? Że przyjechał do Port Townsend, aby zabawić się przez tydzień czy dwa, zanim wróci do pracy w Waszyngtonie?

Boże, dlaczego tak spokojnie rozmawia z Delaneyem? Dlaczego nie wyrzuci go za drzwi?

- Czas najwyższy, Dev, żebyś przestał zawracać sobie głowę biurem podróży i piękną panną Graham. Powinieneś wrócić do Waszyngtonu, do roboty, na której znasz się najlepiej.

Tabitha wstrzymała oddech. Nie była w stanie wyczytać nic z twarzy ukochanego mężczyzny. Chyba nie kusi go perspektywa niebezpiecznej pracy dla Delaneya?

- Nie! - zawołała, nie mogąc dłużej wytrzymać ciszy. - Nie wrócisz z nim, Dev!

- Nie? - Popatrzył jej pytająco w oczy.

- Nie! Prowadzisz biuro, nie jesteś już agentem.

- Biuro podróży - wtrącił Delaney - stanowi doskonałą przykrywkę...

- Ale nie jest przykrywką! - przerwała mu ostro Tabitha i z butną miną podeszła krok bliżej. - Jest prawdziwym biurem, normalną, legalnie działającą firmą, w której Devlin pracuje i w której zarabia na życie! Poza tym jako człowiek żonaty nie będzie ganiał po świecie, wykonując dla pana brudną robotę.

Delaney zmierzył ją uważnym wzrokiem, jakby dostrzegł w niej godnego siebie przeciwnika.

- Jako człowiek żonaty?

- Tak, panie Delaney. Zamierzam go poślubić i nie pozwolę, aby dłużej ryzykował życie w mrocznych alejkach i gęstych labiryntach...

- W labiryntach? - Delaney zmarszczył czoło; najwyraźniej nie rozumiał, o czym ona mówi.

- Żeby gdziekolwiek ryzykował! Devlin wynajmie lokal sąsiadujący z moją księgarnią, w którym będzie sprzedawał bilety samolotowe i wycieczki po ciepłych morzach. Wieczory będzie spędzał w domu, siedząc przed kominkiem i popijając koniak. Nie będzie rozprawiał się z żadnymi zbrojami ani narażał na niebezpieczeństwa. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Delaney wpatrywał się w nią jak w dziwne zwierzę, z którym styka się po raz pierwszy w życiu. Potem skierował spojrzenie na Devlina.

- Do diabła, gdzieś ty ją znalazł?

- Nie ja ją, tylko ona mnie. W ciemnej alejce na St. Regis. Ocaliła mi życie.

- No właśnie! Uratowałam go i nie pozwolę go sobie odebrać!

- Ach tak? - Delaney łypnął na nią okiem, po czym znów wbił wzrok w Devlina. - Wygląda na to, że panna Graham zamierza cię bronić własną piersią. Abyś przypadkiem nie dostał się w moje ręce. - Na moment zaległa cisza. - Tego chcesz, Dev?

Tabitha również wbiła wzrok w Devlina. Przestała oddychać. Serce waliło jej jak młotem. Niewiele może zrobić, jeżeli Devlina kusi powrót do Waszyngtonu. W tej sekundzie waży się jej przyszłość. Co będzie, jeśli Devlin pocałuje ją na pożegnanie i wyjdzie razem ze swoim dawnym szefem? Nie, to niemożliwe! Nie może... nie chce go stracić!

- Dev - szepnęła. - Kocham cię.
- Naprawdę, Tabi?
- Nad życie.

Błysk radości w srebrzystych oczach rozjaśnił całe pomieszczenie.

- Nie bój się, kotku. Nigdzie nie pojedę. Ja też cię kocham. Od chwili, kiedy wyciągnęłaś mnie z tej parszywej alejki na St. Regis. I jedyne, czego pragnę, to zamieszkać tu z tobą.

Rzuciła mu się w ramiona z takim impetem, że aż się lekko zachwiały, po czym przytuliła twarz do jego nagiej klatki piersiowej i z całej siły go objęła.

- Och, Dev!

Ponad głową Tabithy Devlin uśmiechnął się do swojego dawnego szefa.

- Przykro mi, Delaney. Poszukaj na moje miejsce kogoś innego, jakiegoś młodego silnego smoka. Mnie już nie interesuje ta robota. Nie byłem tego pewien, kiedy zgodziłem się popłynąć na Karaiby, ale teraz nie mam już żadnych wątpliwości.

- Rozumiem - odrzekł z niespodziewaną łagodnością Delaney. - Czyli podjąłeś decyzję. Dziwne,

wiesz? Jakoś nie wyobrażałem sobie ciebie jako amatora domowych pieleszy.

- Z pięknym kotkiem na kolanach... - dodał rozmarzonym głosem Devlin, czule gładząc Tabithę po włosach. - Powinieneś spróbować, Delaney. Nie masz pojęcia, co tracisz.

- Ile ona wie o twojej przeszłości?

Tabitha obejrzała się przez ramię.

- Nie obchodzi mnie przeszłość Devlina, panie Delaney, wyłącznie jego teraźniejszość i przyszłość.

- Dev? - Delaney nie dawał za wygraną.

- A przyszłość zamierzam spędzić tu, w Waszyngtonie. Nie w mieście, ale w stanie - oznajmił z przekonaniem Devlin.

- Na pewno?

- Na sto procent.

Delaney westchnął ciężko.

- Tego się właśnie obawiałem, ale uznałem, że muszę z tobą pogadać. - Rozejrzał się po domu.

- Zanim pokażecie mi drzwi, może byście mnie poczęstowali kawą, co?

Oswobodziwszy się z objęć Devlina, Tabitha zmierzyła wroga podejrzliwym wzrokiem. Ale wróg już nie miał srogiej miny. Przeciwnie, uśmiechał się przyjaźnie.

- Proszę się nie bać, Tabitho. Wygrała pani. Zdobyła pani serce Devlina. Zresztą zakochany agent, który ciągle myśli o swojej żonie, na niewiele by się przydał. Miłość stępia zmysły.

- Nie zawsze i nie wszystkie - rzekł ze śmiechem Devlin. - Chodź, Delaney. Zaparzę ci kawy.

- Dzięki. Strasznie często pada w tym waszym Waszyngtonie, prawda?

- Owszem - przyznał Devlin. - Ale jest znacznie sympatyczniej niż w twoim.

Wieczorem, siedząc przed kominkiem na czarnej kanapie, Tabitha przytuliła się do Devlina. Czuła ucisk w sercu, dopóki samolot z Johnem Delaneyem na pokładzie nie wzbił się w powietrze. Teraz w jej świecie znów zapanowała radość i harmonia. Leniwym ruchem pogłaskała Devlina po głowie. W odpowiedzi zacisnął ramię wokół jej talii.

- Dzięki, że mnie uratowałaś od Delaneya - szepnął jej do ucha. - Już dwukrotnie ocaliłaś mi życie. Jestem twoim dłużnikiem... Kocham cię, kotku.

Oczy lśniły jej miłością.

- Kiedy to sobie uświadomiłeś? - spytała zaciekawiona.

- Dziś rano. Kiedy wyszedłem z sypialni i zobaczyłem, jak usiłujesz pozbyć się z domu Delaneya. To znaczy, zakochałem się wcześniej, na St. Regis, ale dopiero dziś zrozumiałem, że to miłość. Przedtem wiedziałem, że cię pragnę, że potrzebuję. I nagle dziś wszystko stało się jasne. A ty, kotku? Kiedy się we mnie zakochałaś?

- Nie jestem pewna, ale tego wieczora na statku,

kiedy cię uwiodłam, byłam już po uszy zakochana - przyznała z uśmiechem.

- Podejrzywałem, że mnie kochasz, ale kiedy po tym incydencie z Waverlym zrezygnowałaś z rejsu, bałem się, że to koniec. I kiedy tu przyjechałem, kiedy zastałem tego szczeniaka na kanapie, a ty traktowałaś mnie jak powietrze... Boże, miałem ochotę rozwalić ten dom. Rozwalić całe miasto! - Zamilkł. - Może nie od początku umiałem nazwać uczucie, jakim cię darzyłem, ale od początku wiedziałem, że bez ciebie moje życie nie będzie miało sensu. Musiałem cię odzyskać.

- Właściwie to nigdy mnie nie straciłeś. Jesteś moim wymarzonym smokiem - szepnęła, obejmując go za szyję.

- Mmm, znów mnie uwodzisz? - W jego oczach pojawił się figlarny błysk.

- Prowadzę badania...

- Na temat?

- Zwyczajów godowych smoków.

- Zwyczaję tego jednego, który siedzi tu obok ciebie, możesz badać do końca życia.

KONIEC